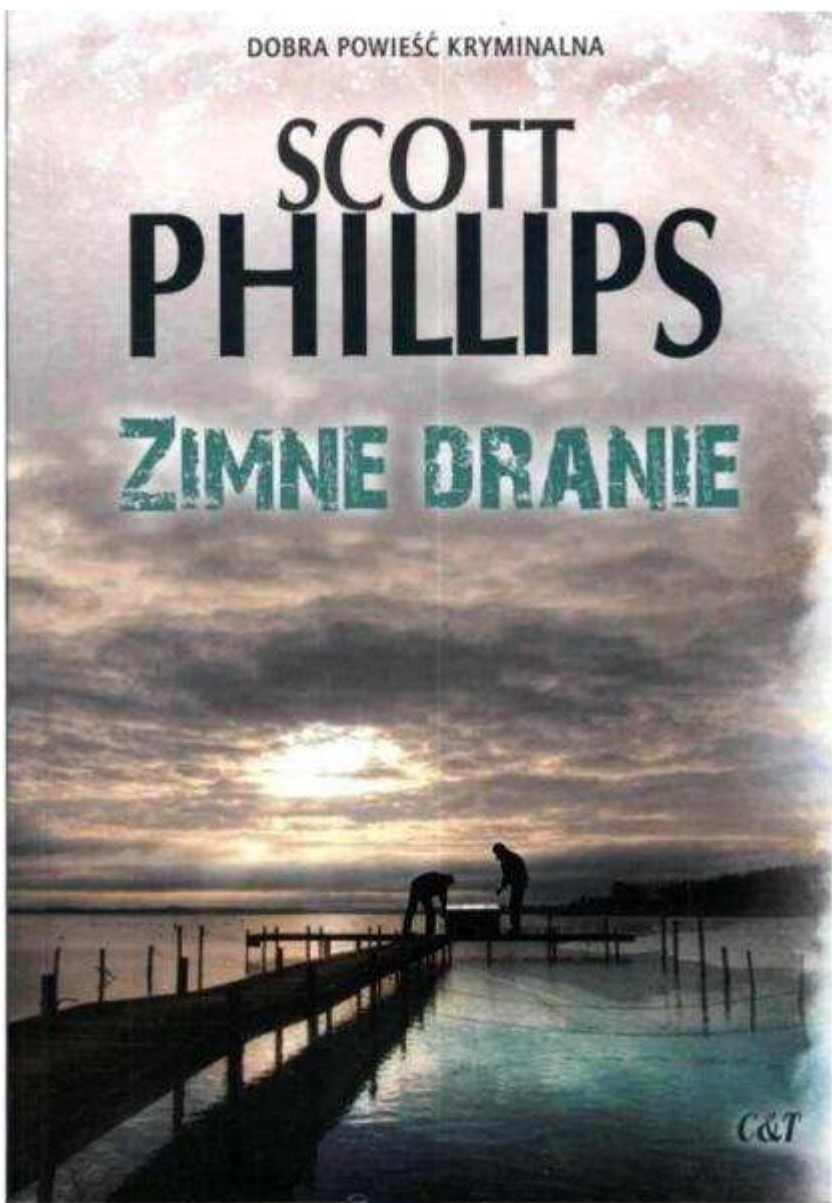


DOBRA POWIEŚĆ KRYMINALNA

SCOTT
PHILLIPS

ZIMNE DRANIE



ULUBIONY PISARZ MICHAELA CONNELLY'EGO.

Charlie Arglist z zawodu jest prawnikiem. Wołał jednak swoją wiedzę pomarać właścicielom klubów nocnych. Co skończyło się roz-wodem. Teraz więc wymyślił nowy sposób na życie. I zdobycie na to środków. Tyle że to wariant bardzo ryzykowny! Charlieemu pozostało wtedy jedno: uciec, jak najdalej od spokojnego Wichita.

Musi tylko jakoś przeczekać kilka godzin. Co jest pozornie proste, gdy siada się przy barze. A prawdziwa piękność po drugiej stronie to Renata, właścicielka lokalu. I bardzo liczy na pomoc Charliego w delikatnej sprawie. Umie się też odwdziżyć...

I nim nastanie ten wyczekiwany, pożegnalny dla Arglista świt w Wi-chita, naprawdę sporo się wydarzy. Niekoniecznie po jego myśli...

Amerykański pisarz Scott Phillips tą właśnie niewielką powieścią przenicował cały świat czarnej powieści kryminalnej. Sam kpiar-ski sposób opowiadania tej historii już zachwycił czytelników wychowanych na prozie Raymonda Chandlera czy Jima Thomp-sona. A kiedy intryga okazała się równie zaskakująca i godna pochwał, szybko wyróżniono młodego pisarza – nominując jego debiut do Edgar Award i równie prestiżowej Hammett Prize. Sam Phillips niedługo dowiódł, że był to trafny wybór, pisząc dwie ko-lejne czarne historie – na równie wysokim poziomie.

ISBN 978-83-7470-124-2



9 788374 701242

C&T

21 zł

SCOTT PHILLIPS

ZIMNE DRANIE

Przekład:
VIOLETTA DOBOSZ

C&T
TORUŃ

Tytuł oryginału: ICE HARVEST

Copyright © Scott Phillips 2000

Copyright © for the Polish edition by „C&T”,

Toruń 2008

Copyright © for the Polish translation by Violetta Dobosz

Opracowanie graficzne:

MAŁGORZATA WOJNOWSKA

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS” Toruń,

tel. 0-56 654-82-04

ISBN 978-83-7470-124-2

Wydawnictwo „C&T”

ul. Św. Józefa

79, 87-100 Toruń,

tel./fax 0-56 652-90-17.

Toruń 2008. Wydanie I.

Druk i oprawa:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp, z o.o.

ul. Mickiewicza 15,

87-200 Wąbrzeźno.

Annie,

z wyrazami najgłębszej miłości

Wichita, Kansas.

Wigilia 1979.

CZEŚĆ PIERWSZA

1

Piętnaście po czwartej w mroźne i suche wigilijne popołudnie do Baryłki wkroczył nerwowy mężczyzna w średnim wieku w drogim płaszczu i bez czapki i stanął przy barze z kartą stałego klienta w dłoni, czekając, aż barmanka skończy rozmawiać przez telefon. Kobieta była ciężka i krępa, miała jakieś czterdzieści lat, świecąca twarz i wypłowiałe blond włosy, które wyglądały tak, jakby spiła się kiedyś i postanowiła je sama obciąć. Mężczyzna wiedział, że go zauważyła, a jednak przez cały czas wychodziła ze skóry, udając, że go nie widzi. Musiała przez to stać dziwnie wygięta, opierając się biodrem o ścianę za barem i spoglądając w stronę drzwi na zaplecze, tak by nie patrzeć ani na przybyłego prawnika, ani na wiszące za nią lustro.

Jedynym klientem o tej porze był niski, bardzo szczupły chłopak w zapiętej pod szyję dzinsowej kurtce, siedzący z łokciem na barze i z policzkiem wspartym o nasadę dłoni, trzymający pomiędzy wskazującym a środkowym palcem papierosa, którego końcówka żarzyła się niebezpiecznie blisko wypomadowanego loka wieńczącego nastroszoną fryzurę. Miał zamknięte oczy i rozchylone usta.

Prawnik rozpiął płaszcz i stał tak dłuższą chwilę, przysłuchując się rozmowie barmanki. Zaczynała się u niej pojawiać pijacka chryпка i gdyby słyszał ją przez telefon, gdyby nie wiedział, jak wygląda, uznałby, że kobieta ma seksowny głos. Wydawała się roztrząsać problemy swojej współlokatorce — chodziło o jakąś stłuczkę, pożyczony samochód i brak ubezpieczenia — i nie zanosilo się na to, że w najbliższym czasie raczy go zauważyć.

Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek przedtem widział Baryłkę za dnia, a i tym razem szarość wpadającą przez brudne okno od frontu

trudno było nazwać dziennym światłem. Było to głębokie, wąskie pomieszczenie z powgniatanym sufitem z prasowanej blachy i długim dębowym barem. Na ceglany murze za podium dla orkiestry wisiał wielki czarny zegar o fosforyzujących, fioletowych cyfrach na tarczy, zaś pod przeciwległą ścianą znajdował się szereg czerwonych boksów. Wszystko to przystrojone było tanim plastikowym ostrokrzewem i kępkami jemioły. A dookoła, wzdłuż ścian, jakieś dwa metry nad podłogą, biegł sznur kolorowych lampek choinkowych, w tej chwili niepodłączonych. Widzę to miejsce po raz ostatni, pomyślał, nieco tym faktem zdziwiony. Od piętnastu lat nie opuszczał miasta na dłużej niż dwa, trzy dni.

W jego zadumę wdarł się pisk barmanki: — Jezu Chryste, Gary, podpaliłeś sobie włosy!

Młody Gary podniósł zezowaty wzrok, zdumiony sykiem mokrej szmaty, którą kobieta okładała jego tłący się lok. Zaprotestował słabo i bez przekonania, kiedy wyrwała mu papierosa, zdusiła w popielniczce i zaraz odstawiła ją za bar.

— No, teraz to chyba oczywiste, że nie wolno ci już brać tego do ręki — stwierdziła, konfiskując mu papierosy i zapalniczkę.

Chłopak miał jeszcze powiedzieć coś na swoją obronę, ale się powstrzymał i zamknął oczy, z dłonią znów przyłożoną do policzka.

— Dostaniesz je jutro — oznajmiła. — A chcesz jeszcze jednego drinka?

Gary skinął głową, nie otwierając oczu.

Dopiero teraz podniosła wzrok na nowo przybyłego, udając zdziwienie. — O, witam. Nie widziałam, jak pan wszedł. — Rzuciła pobieżne spojrzenie na jego kartę stałego klienta. — Co mogę panu podać?

— Whisky z wodą.

Odwróciła się bez słowa i zajęła przygotowywaniem drinka dla niego, a następnie dla Gary'ego.

— Tommy jest na zapleczu? — spytał mężczyzna, kiedy stawiała drinki.

— Nie. Będzie wieczorem.

— Może mu to pani ode mnie przekazać? — Podał jej kopertę.

— Jasne — odparła.

Wzięła od niego paczuszkę i obróciła parę razy w dłoniach, jakby szukała jakichś instrukcji.

— Proszę mu powiedzieć, że to od Charliego Arglista.

— Od Charliego Arglista? — Tym razem w jej głosie dało się słyszeć prawdziwe zdziwienie. Spuściła nieco głowę, przechylając ją na bok i przyglądając mu się bliżej. — Charlie, to naprawdę ty?

— Tak... — W tym momencie był absolutnie pewny, że nigdy w życiu nie widział tej kobiety.

— Jezu, Charlie, to ja, Susie Tannenger. O kurczę, aleś ty się zmienił.

Cofnęła się o krok, by mógł się jej lepiej przyjrzeć. Susie Tannenger, którą pamiętał, była smukłą ślicznotką, co najmniej o sześć albo osiem lat młodszą od niego. Jakies dziesięć lat temu prowadził jej sprawę rozwodową, w trakcie której mąż, pilot cywilny, wielokrotnie odgrażał się, że go zabije.

Wyszła zza baru i uściskała go porządnie, trącając przy tym lekko miednicą. Jej eks nie bez powodu chciał go zabić — honorarium za rozwód odebrał za jej sugestią w naturze, na biurku w swoim gabinecie.

— Ależ to życie zabawne, no nie? Nadal jesteś prawnikiem?... Hej, Gary, popatrz — to jest facet, który przeprowadził mój pierwszy rozwód!

Gary podniósł spojrzenie, skupił je na ułamek sekundy, po czym powrócił do swych najskrytszych rozmyślań.

— Charlie, to jest Gary, mój narzeczony. Do diabła, nie wiedziałam nawet, że wciąż jesteś w mieście, musimy się kiedyś spotkać.

— Tak, tak, musimy. — Charlie wychylił drinka i położył na stole pięciodolarowy banknot. — Cóż, muszę jeszcze zrobić trochę świątecznych zakupów. Miło było znowu cię spotkać, Susie.

Chwyliła banknot i wetknęła mu go z powrotem. — Niepotrzebne nam tu twoje pieniądze, mecenasie. I wesołych świąt!

— Dzięki, Susie. Nawzajem. — Podszedł do drzwi. Na zewnątrz robiło się ciemno, a mimo to Susie nie włączyła jeszcze górnego światła. Z tej odległości, w zadymionym półmroku prawie jakby ją rozpoznał. — I szczęśliwego Nowego Roku — rzekł, otwierając drzwi i wychodząc na lód.

Kiedy drzwi się zamknęły, Susie westchnęła i spojrzała na Gary'ego, którego głowa spoczęła na barze, a on sam zaczął chrapać.

— Tak, to chyba najbardziej niewychowany kochanek, jakiego w życiu miałam — powiedziała.

Kogo to zresztą obchodzi, czy pożegnam się z Tommym, czy nie, myślał Charlie. Było mu ciepło i sucho za kierownicą firmowego wozu, nowińskiego czarnego lincolna continental 1980, najlepszego wozu, jaki kiedykolwiek prowadził. Kierował się na zachód, nie zmierając do żadnego konkretnego celu. Dzień był ciemny i pochmurny, jeden z tych, kiedy to nie sposób zgadnąć, czy słońce już zaszło, czy nie, a jednak śnieg nie zaczął jeszcze padać. Minął knajpę U Hardee naprzeciwko liceum Grove i zobaczył gówniarzy płaczących się po parkingu dokładnie tak jak on w czasach, gdy lokal nazywał się jeszcze U Sandy. Jego dzieciaki nie poszłyby do Grove, chociaż miałyby tak blisko; zapisałyby je do którejś z tych nowszych i prawdopodobnie lepszych szkół bardziej na wschodzie. Tak by było dla nich lepiej i pieprzyć przy tym nostalgii. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął piersiówkę i pociągnął spory łyk. Może to dobra pora, żeby zatrzymać się w Złotej Klatce; popołudniowa zmiana powinna właśnie kończyć, a było w niej parę tancerek, które chciał zobaczyć jeszcze ten jeden ostatni raz. Dopiero co minęło wpół do piątej i miał przed sobą dziewięć i pół godziny, z którymi nie wiedział, co zrobić.

Charlie opierał oba nadgarstki o kierownicę, usiłując zakręcić piersiówkę, gdy ujrzał za sobą na lewym pasie zbliżający się powoli wóz policji. Szybko chwycił kółko lewą ręką i pochylił trzymaną w prawej butelkę, rozlewając przy tym trochę bourbona na nogawkę spodni.

— O cholera... — Spojrzał na plamę tuż obok krocza. — Wygląda, jakbym się zsikał w gacie.

Podniósł wzrok, gdy poczuł, że samochód skręca, i w ostatniej chwili wrócił na prawy pas. Radiowóz zrównał się z nim, a Charlie obejrzał się spokojnie. Gliniarz siedzący obok kierowcy opuścił szybę, a Charlie zrobił to samo.

— Strasznie dziś ślisko, mecenasie — krzyknął policjant, marszcząc twarz, gdy poczuł na niej zimny wiatr.

- To prawda. — Próbował przypomnieć sobie imię gliniarza.
- Jedzie pan sześćdziesiątką w pobliżu szkoły, wie pan.
- O cholera. Przepraszam.

Charlie zdjął nogę z gazu, a gliny zwolniły wraz z nim.

— Nigdy nie wiadomo, kto może tutaj człowieka przyskrzynić, panie Arglist.

- Dzięki. Będę waszym dłużnikiem.
- Wesółych świąt.
- Wesółych świąt, chłopaki.

Podniósł piersiówkę i wypił za ich zdrowie, zaś oni przyspieszyli i odjechali, śmiejąc się i machając. Ale miałeś pieprzone szczęście, pomyślał. Włączył radio i obracał w palcach pokrętło, dopóki nie natrafił na mówiącego przez nos reportera relacjonującego szybko, lecz szczegółowo, bójkę w jakiejś knajpie, udaremnione włamanie w biały dzień oraz falę kradzieży samochodów sprzed miejscowego centrum handlowego. Reporter kończył swoje doniesienia apelem komendanta policji, napominającego ludzi robiących zakupy, by zamykali samochody i zabierali ze sobą kluczyki. Po reporterze rozbrzmiała równie nosowa, nijaka świąteczna ballada country, ciągnąca się wersja „On the First Noël”. Charlie wziął jeszcze jeden łyk i zastanowił się, komu to, u diabła, chciało się dokonywać włamań w biały dzień, w dodatku w Wigilię.

W Złotej Klatce niewiele się działo; stali bywalcy, ludzie pracujący w biurach od dziewiątej do piątej, siedzieli tego dnia w domach z rodzinami albo tkwili na firmowych imprezach. Oprócz Charliego, tylko garstka posepnych gówniarzy z college'u i emerytowany listonosz Culligan podziwiali artystyczne wyczyny Rusti, rudowłosej dwudziestolatki o czarnych oczach i fryzurze à la Farrah Fawcett. Nad jej lewym sutkiem migał prymitywny, sinawy tatuaż ptaka, a słowa „WOLNY PTAK” opisywały ją idealnie, kiedy tak tańczyła w typowym dla siebie powolnym, sennym rytmie, jak zawsze nie zważając na tempo piosenki płynącej akurat z szafy grającej. Zgięte w łokciach ręce trzymała przy bokach i kołysała nimi w przód i w tył, kręcąc przy tym biodrami i kiwając nierytmicznie głową z nieobecny spojrzeniem. Charlie zapytał ją raz o ten szklisty wzrok, a ona wyjaśniła, że gdy tylko jej stanik i majteczki wylądują na deskach sceny i nie musi się już dłużej koncentrować, wpada w trans, podczas którego komunikuje się z różnymi umarłymi i nie słyszy muzyki, do której powinna tańczyć. Charlie pokiwał poważnie głową, grzecznie odrzucając propozycję skontaktowania się z kimś z jego drogich zmarłych.

Jeden ze studenciaków, gówniarz w kozuchu i traperkach, przyglądał się jej wyczynom na maleńkiej, okrągłej scenie ze szczególnym smutkiem i skupieniem, jakby miał się zaraz rozplakać.

Charlie przypatrywał mu się, siedząc przy barze, i zastanawiał się, czy to nie jakiś odrzucony amant. Barman, potężny, facet o wylupiastych oczach i niesfornych, czarnych kędziorach, także patrzył na chłopaka z uwagą.

— Kto jej zafundował ten siniec pod okiem, Sidney? — spytał Charlie.

— Ten dupek, jej chłopak, jakieś dwa dni temu. Chciałem połamać mu te pieprzone łapy. Ublagała mnie, żebym tego nie robił, mówiła, że mu naprawdę przykro, że to się już więcej nie powtórzy, i inne takie bzdury. A ona powiedziała, że go kocha.

— Jezu, to fatalnie.

— I tak połamię mu te łapska, Charlie, klnę się na Boga.

— To ten gówniarz, który tak się na nią gapi?

— Nie, to po prostu jakiś tam gówniarz, twierdzi, że chodził z nią do liceum. Jej chłopak to mały, chudy wypierdek, a wydaje mu się, że zostanie kiedyś wielkim rockmanem. — Sidney udał, że szarpie struny gitary.

— To dlatego chcesz mu połamać ręce, a nie na przykład żebra czy nogi.

— Zgadłeś. Wiesz, ile kości jest w jednej ludzkiej ręce?

— Tak z pamięci ci nie wyliczę.

— Ja też tego nie wiem, ale połamię mu je wszystkie...

Otworzyły się drzwi biura i za barem pojawiła się wysoka kobieta w grafitowym kostiumie w prążki i czarnych szpilkach. Włosy miała czarne, przeplecione kilkoma pasemkami siwizny i upięte w prosty kok tuż nad długą szyją, zaś na jej twarzy próżno by szukać zmarszczek uśmiechu. Jej dokładny wiek i pochodzenie od lat stanowiły przedmiot bezowocnych spekulacji; mogła mieć trzydzieści pięć lat, a mogła i pięćdziesiąt, zaś jej akcent był tak delikatny i zamerykanizowany, że nie dawał się skojarzyć z żadnym konkretnym krajem. Charlie słyszał już argumenty przemawiające za francuskojęzyczną Kanadą, Grecją, Czechosłowacją, Brazylią, Rosją i Portugalią, z czego wszystko można było porównać do strzałów z zasłoniętymi oczami.

Powiodła wzrokiem po nielicznej grupie gości i pokręciła głową. — Ludziom się wydaje, że jak są święta, to nagle nie wolno im popatrzeć na gołe dupcie i cycki.

Sidney skinął głową. — Bo Pan Bóg i Święty Mikołaj widzą.

Obeszła bar i usiadła obok Charliego, rozkładając przed sobą jakieś urzędowe pisma. Sidney podał jej butelkę piwa.

— Cześć, Charlie.

— Witaj, Renato. Jak leci?
— Kijowo. — Nie odrywała wzroku od papierów, zaciskając usta i mrużąc oczy. — Chyba będę musiała przenieść bar poza miasto.
— Serio?
— Albo kazać dziewczynom nosić stringi, albo też zrezygnować z serwowania piwa. Nie widzę sposobu, żeby to obejść. Bo wygląda na to, że tańczenie nago w barach piwnych w granicach administracyjnych miasta będzie zabronione.

Sidney walnął pięścią w bar tak mocno, że wszyscy obecni podskoczyli, wszyscy poza Rusti, której powolna podróż po Zaświatach trwała nieprzerwanie. — A niech ich diabli!

Renata poklepała go na pocieszenie po ramieniu, nie patrząc przy tym zbyt współczująco.

— To pieprzone miasto zamienia się w prawdziwe zadupie. Wyniosę się stąd, naprawdę się stąd wyniosę. — Założył ręce na piersi, patrząc chmurnie z nadąsaną miną.

— Poza miastem interes też może się kręcić — pocieszył Charlie.

— Niby tak, ale nie przychodzą tam pracownicy biurowi po robocie, mam rację? — rzekła Renata. — A to na nich głównie zarabiam. Jakich, u diabła, napiwków możesz spodziewać się za miastem? Dziewczyny ledwo zarobią na opłatę za scenę. Cholera, może trzeba im będzie dać te stringi i zobaczyć, czy rzeczywiście zajrzy nam w oczy plajta...

Wściekłość Sidneya nie przemijała. — Pieprzenie w bambus! Ludzie przychodzą tutaj, żeby napić się piwa i popatrzeć na cipki! Jakie tam stringi i woda sodowa, akurat!

Renata wzruszyła ramionami. — Fakt — przyznała — faceci to chcą cipek, nie da się ukryć. — Spojrzała w papiery rozłożone na barze i westchnęła.

— Ja tam nie wiem, ale masz szansę na dwa głosy poparcia w komisji. Sprawa jeszcze nie jest tak do końca przegrana.

— Owszem, jest. I nie zdobędę żadnego głosu poparcia, uwierz mi. Próbowалам już wszystkiego z obydwoma. Jesteśmy załatwieni.

— Może i tak.

W zasadzie nie było to w tej chwili jego zmartwienie, ale przykro mu było widzieć Renatę tak przypartą do muru.

— Trochę szkoda — odezwała się — że nie mogę się dostać do tego waszego zdjęcia, Charlie...

— Jakiego zdjęcia? — spytał.

— Cholernie dobrze wiesz, jakiego. Sęk w tym, że w Billu Gerardzie nie ma ani krztyny poczucia solidarności.

Sidney parsknął śmiechem. — Chciałbym zobaczyć to zdjęcie na pierwszej stronie porannej gazety — powiedział.

Charlie oparł się o bar, a w jego głowie zaczął się formować pewien pomysł. Jakie znaczenie miało to, co stanie się ze zdjęciem, kiedy go już nie będzie? Był to jeszcze jeden sposób na to, żeby dowalić Deaconowi i Billowi Gerardowi, i całej tej ich bandzie — niech obudzą się w gwiazdkowy poranek i odkryją, że ich as z rękawa znikł razem z Charliem i Vicem, i całą resztą.

— Sidney, dziś wieczór piwo dla mecenasa gratis — rzekła nagle Renata.

Wstała ze stolka i stanęła za Charliem, kładąc dłonie na jego ramionach, tak że przez tkaninę płaszczka i koszuli poczuł jej długie, czerwone paznokcie. Krew natychmiast napłynęła mu do jąder i poczuł mrowienie na skórze głowy, po czym ciepło zalało mu policzki. Renata ścisnęła go kilka razy z czułością i miał już pewność, że czyta w jego myślach.

— Pogadamy później, Charlie. — Odeszła od baru, kierując się w stronę drzwi wyjściowych. — Wrócę za parę godzin — zawołała do Sidneya, nawet się nie oglądając.

Z wyjątkiem jednego tylko kolegi Rusti o złamanym sercu, wszyscy faceci w knajpie skierowali spojrzenia na te kołyszące się prądkowane biodra Renaty. W Złotej Klatce nigdy nie było tancerki, która umywałaby się do swojej szefowej, a jednocześnie Charlie nie znał nikogo, kto widziałby ją rozbierającą się z czegoś więcej niż żakiet od kostiumu.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią z głuchym stuknięciem, wszyscy wpatrywali się w nie jeszcze przez moment, po czym niechętnie wrócili do podziwiania Rusti lub do swoich piw, wyglądając tak, jakby właśnie ocknęli się z przyjemnego, choć zupełnie nierealnego marzenia. Culligan, którego zdolność skupienia uwagi zredukowała się znacznie w ciągu wielu lat codziennego picia, wrócił do rzeczywistości pierwszy i zaczął

klaskać jak obłąkany, ponieważ piosenka z szafy grającej właśnie się skończyła i Rusti powróciła do świata żywych.

— Nie żałujcie napiwków, chłopcy, dała świetny występ — krzyczał głosem łamiącym się z zachwytu. Z radością sięgnął do kieszeni na piersi i podał Rusti dziesiątaka, którego dziewczyna wetknęła zaraz do szklanki na brzegu sceny. — No, dalej, panowie, nie bądźcie kutwami. Bombowa z niej tancerka.

Kilku studenciaków niechętnie wyciągnęło portfele i zaczęło przeliczać gotówkę. Chłopak w kożuchu dalej siedział z nieszczęśliwą miną, piorunując teraz wzrokiem Culligana.

— Widzicie to tutaj? — nie przerywał Culligan. — To ruda cipka, autentyk. Żadnego tam farbowania, nie u Rusti, panowie, to w stu procentach naturalne rude futerko.

Był to rudowłosy wariant standardowej śpiewki, jaką stary raczył gości po występie każdej z tancerek; Rusti zdawała się go w ogóle nie słyszeć, za to wyraz twarzy chłopaka uległ przemianie, od miłosnej rozpacz do morderczej furii. Culligan oblizał górną wargę, cmokając sprośnie, a jego łzawiące oczy zabłyszczały jak w obłądzie.

— Nie zasmakowaliście jeszcze w takiej cipce, gwarantuję wam, że...

Chłopak wstał, wydając z siebie coś pomiędzy szlochom a wojennym okrzykiem, i skoczył na Culligana, którego krzesło złamało się pod nim z głośnym trzaskiem.

— Zamknij się, zamknij — lkał chłopak, powtarzając w kółko to samo.

— O kurwa — rzucił wtedy Sidney, sięgając pod bar po pałkę do baseballu.

Charlie odsunął się w bok, a potężny mężczyzna przeskoczył nad barem i ruszył przez salę, klepiąc pałką w lewą dłoń. Rusti przyglądała się tej scenie z przestraszeniem.

— Donny! — krzyknęła. — Przestań! Zostaw go!

Donny zdawał się jej nie słyszeć. Jego koledzy powstawali nerwowo, jakby chcieli mu przyjść z pomocą, jednak krótkie spojrzenie Sidneya wystarczyło, by się wycofali i zaniechali myśli o bójce.

— Ja jestem kaleką, naprawdę kaleką — zawodził stary — nie rób mi krzywdy!

Prawdę mówiąc, Donny trzymał go tylko na podłodze w niedźwiedzim uścisku i Charliemu prawie żal się zrobiło szczeniaka, gdy usłyszał odgłos uderzenia pałką w kolano. Chłopak wrzasnął z bólu i zaskoczenia, stoczył się z Culligana i leżał tak, trzymając się za kolano, z wytrzeszczonymi oczami i bez tchu. Culligan, uświadamiając sobie, że w zasadzie nic mu się nie stało, usiadł na innym krześle.

— Sidney, przestań! Wystarczy! — krzyczała Rusti ze sceny.

Donny popatrzył na nią przez chwilę, podniesiony na duchu przez tę manifestację współczucia ze strony ukochanej, i w tym momencie pałka trafiła go w prawą goleń, po czym zaraz Rusti zeskoczyła ze sceny i rzuciła się na niego z płaczem.

— Donny, Donny, nic ci się nie stało?

Dyszząc ciężko, Sidney oparł się o pałkę niczym gracz w krykieta. — Stało się, kurwa, akurat.

Trzej chłopcy, którzy wciąż jeszcze stali, zaczęli przemieszczać się ku drzwiom.

— Zaraz — warknął Sidney, prostując się i wyciągając w ich stronę pałkę. Studenci zamarli w bezruchu, przerażeni. Barman machnął pałką w stronę szklanki z samotnym dziesiątakiem. — Napiwek dla pani.

Posłusznie ruszyli przed siebie, omijając leżącego kolegę, wetknęli po parę dolarów do szklanki, po czym ruszyli znów w stronę drzwi.

— Ale nie musicie wychodzić, chłopcy — zawołał Culligan, któremu krótką pamięć nie dała zbyt długo chować urazy. — Zostańcie i obejrzyjcie Amy Sue, już ona sprawi, że zrobi się wam dobrze i gorąco...

— No — wtrącił się Sidney. — Możecie zostać. Ale wasz kumpel będzie musiał poczekać na zewnątrz.

Donny wciąż leżał na podłodze, łkając w ramionach Rusti.

— Och, Donny, Donny... — Kołysała go delikatnie, głaszcząc po włosach krótkimi palcami. — Mój biedny mały Donny.

Chłopak powiedział coś, czego nikt nie był w stanie zrozumieć.

— Co? Nie dosłyszałam.

Powtórzył głośniej: — Ronny. Ja mam na imię Ronny.

Amy Sue, chuda brunetka w błyszczącym niebieskim budini wciskała już guziki, wybierając melodie z szafy grającej. Rozejrzała się po sali,

trochę tylko zniechęcona liczbą widzów. Rozbrzmiała pierwsza piosenka, dziewczyna weszła na scenę i zaczęła tańczyć.

— No, dobra — rzekł Sidney, stukając w but Ronny'ego końcem pałki. — Czas na ciebie, chłopcze.

— Chodź, Ronny — powiedziała Rusti. — Posiedzimy w moim samochodzie, a twoi koledzy niech obejrzą Amy Sue.

Pomogła mu wstać i okryła się szlafrokiem właśnie zdjętym przez tańczącą koleżankę, po czym wzięła kozuch od swego pozbawionego sił, belkoczącego kompana i założyła go na siebie. Chłopak jakby tego w ogóle nie zauważył, obezwładniony jednocześnie przez ból w nogach i niespodziewane zainteresowanie ze strony swego ideału kobiecości. Rusti wyprowadziła go na dwór, a koledzy wrzucyli ramionami i wrócili na swoje miejsca. Wciąż mieli prawie po kuflu piwa do wypicia.

Sidney powrócił za bar i postawił przed Charliem świeży browarek. — Jezu Chryste — rzekł — co tu się jeszcze wydarzy?

Pomimo deklarowanego wcześniej uwielbienia, Culligan przestał interesować się Amy Sue i przykuśtykał do Charliego, przytrzymując się odrapanych plastikowych stolików, które mijał.

— Nie jedziesz dziś przypadkiem do Ramy, Charlie?

Jeszcze godzinę temu nie miał takiego zamiaru, ale teraz pojawiła się kwestia wydostania z rąk Billa Gerarda fotografii i przekazania jej Renacie.

— Tak, chyba się tam wybiorę. Podwieźć cię?

Culligan polował głową z zapalem jak skończony debil. — Pewnie.

Charlie wychylił swoje świeże piwo i zszedł ze stołka. — Jeszcze tu dzisiaj wrócę — oznajmił Sidneyowi.

— I przyprowadź ze sobą klientów — odparł Sidney. — Coś mi się zdaje, że gówno dziś zarobimy.

— Jasne — powiedział.

Amy Sue powiodła za nimi wzrokiem, kiedy zmierzali do drzwi, urażona, że opuszczają lokal w środku jej występu. Ani Charlie, ani Culligan nawet o niej nie pomyśleli, gdy wychodzili.

Zdaje się, że ten chłopak zrobił mi krzywdę. — Drobne kropelki śliny fruwały z ust mówiącego Culligana na szybę po stronie pasażera. Podniósł lewą rękę i zwiesił przedramię, kołysząc nim jak niebezpiecznym wahadłem, które z każdym bujnięciem znajdowało się bliżej prawej ręki Charliego. — Z tą ręką jest coś nie w porządku od czterdziestego trzeciego.

— Wojna?

— Jaka tam wojna, kurwa, nie byłem na wojnie. Hokej. Widzisz, wszystkie zakłady lotnicze miały wtedy swoje drużyny i w niedziele graliśmy na lodowiskach pod gołym niebem. Wielu facetów, którzy zostali w Stanach, czuło, że muszą coś udowodnić. Uważali, że każdy bierze ich za skończone pierdoły, za cioty albo tchórzy, więc kończyło się na tym, że więcej się biliśmy, niż graliśmy. Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek przychodził tam oglądać hokej.

— Pamiętam. Tata zabrał mnie na kilka meczy, miałem wtedy ze sześć albo siedem lat. Pod koniec wojny.

— No i w ten sposób załatwiłem sobie rękę i biodro, i rzepkę w kolanie, za co pewnie mogę podziękować jednemu tłustemu spawaczowi, który wepchnął mnie na bandę. Ruszyłem za nim z kijem i prawie wybiłem mu oko! — Na twarzy starca wykwitł spokojny uśmiech, kiedy tak rozkoszował się wspomnieniami.

Zaczął prószyć słaby śnieg, a droga była ciemna, lampy przy niej nieliczne i bardzo rozproszone. Na północ, za miasto, nie jechały żadne samochody i Charlie wiedział, że w klubie będzie pusto. Miała to być dla niego ostatnia okazja, by posłuchać tancerek zawodzących

i wściekających się na brak ruchu w interesie, tak jakby to on wymyślił te święta tylko po to, żeby orżnąć je na kasie.

Na siedzeniu obok Culligan recytował litanie wszystkich obrażeń, jakich jego ciało doznało podczas wielu lat pijaństwa: stłuczenia, zwichnięcia, złamania, oparzenie trzeciego stopnia na drugiej, nieuszkodzonej ręce. Niemal wszystkie z nich bezpośrednio lub pośrednio sam sobie zadał. Młody wielbiciel Rusti nie był wcale pierwszym, którego pijany Culligan sprowokował do czynnej napaści.

— Byłeś kiedyś żonaty, Charlie?

— Że co?

— Czy byłeś żonaty?

— Tak...

— No to wiesz, o czym mówię. One są gorsze od facetów. Popatrz tutaj... — Culligan wskazał na nierówny, wąski paseczek gładkiej, różowej skóry, przecinający dokładnie na pół łuk brwiowy i kończący się jakieś półtora centymetra nad nim. — Centymetr niżej, i straciłbym oko.

— Żona ci to zrobiła?

— A jakże. Ale dostała za swoje.

— Pobiliś ją?

Culligan się zgorszył. — Nigdy nie uderzyłem kobiety, w całym swym pieprzonym życiu. Chryste, za kogo ty mnie bierzesz?

Charlie wzruszył ramionami. — Przepraszam.

— Kurwa, skądże. Odszedłem od niej, zostawiłem z dwójką dzieciaków w szkole na utrzymaniu.

— Nie wiedziałem, że masz dzieci.

— A pewnie, że mam. Tamtych dwoje i jeszcze jedną córkę, będzie mniej więcej w twoim wieku. Żadne z nich nie chce mieć teraz ze mną nic wspólnego. Matki je przeciw mnie nastawiły.

— Przykre trochę.

— A, mam to w dupie. Niektórzy z nas po prostu nie nadają się na tatusiów. — Milczał przez chwilę. — Nie wiesz, czy tańczy tam dziś Cupcake?

Kiedy wjechali na parking, Charlie zauważył, choć nie miało to już teraz żadnego znaczenia, że neon znów wymagał naprawy. Wysokie

kozaczki tańczącej dziewczyny się nie świeciły, podobnie zresztą jak T i O w nazwie „Tease-O-Rama”. Na parkingu stały trzy samochody.

— Wygląda na to, że będziesz jedynym widzem — stwierdził Charlie. Śnieg padał już nieco mocniej.

Wewnątrz jedna ze striptizerek wydzieraa się na barmana, który podniósł wzrok na wchodzących Charliego i Culligana. Tancerka nie zwróciła na nich najmniejszej uwagi.

— Pieprzyć taką robotę w święta, w dodatku za darmo! — Miała na sobie złote stringi i nic poza tym. — Nie mam zamiaru harować ze stratą w taki dzień! Mogłabym teraz siedzieć w domu i świętować Wigilię razem z dziećciakami!

— Twoje dzieciaki są z twoim mężem, Francie — przypomniał jej barman subtelnym, spokojnym barytonem. — Są w Denver.

— Skurwiel z ciebie, że mi to wypominasz, Dennis. — Usiadła na stolku i się rozplakała.

— No, daj już spokój, Francie, nie jest tak źle. Widzisz? Culligan przyszedł.

Francie podniosła na Culligana i Charliego mokre od łez oczy. Culligan był na jej widok wniebowzięty.

— Siemasz, Francie. Ładna ta twoja nowa fryzura.

Miała na głowie tę samą perukę co zawsze, długie, czarne loki opadające do połowy pleców. Charlie znał ją od dziesięciu lat i nie miał pojęcia, jak wyglądają jej prawdziwe włosy. Z tego, co wiedział, mogła być nawet całkiem łysa.

Francie olała Culligana i wyładowała się na Charliem.

— Słyszałeś, co powiedziałam Dennisowi. Nie będę tańczyć. Pieprzę to, musiałabym zapłacić dwadzieścia pięć dolców prowizji za skorzystanie ze sceny, a będę miała fuksa, jak uda mi się zarobić choćby dziesięć.

Culligan poczuł się urażony. — Wiesz, że ja mogę ci dać dwadzieścia, Francie.

— To i tak będę piątaka do tyłu. Pieprzyć taki przywilej, żebym musiała płacić Billowi Gerardowi pięć dolców za to, by ten napalony stary zbok mógł przez całą noc gapić się w moją cipę!

Charlie westchnął. Ta sama stara śpiewka, jeszcze ten jeden raz. Wygłaszała ją z tysiąc razy w ciągu tych sześciu czy siedmiu lat, chyba ze sto razy do samej Francie: — Francie, nie możesz pracować jedynie wtedy, kiedy sama masz na to ochotę. Jak chcesz tańczyć przy dużym ruchu, musisz też tańczyć wtedy, gdy ruch jest mniejszy. Jeśli opuścisz przydzielony ci wieczór bez naprawdę ważnej przyczyny, tracisz miejsce. Rozumiesz?

— Rozumiem, że jest Wigilia, że nikogo tutaj nie ma, a ja i tak muszę wybulić dwadzieścia pięć dolców prowizji, mimo że nie mam dla kogo tańczyć!

Głos Culligana dobywał się z gardła ściśniętego urazą i pożądaniem: — Ja jestem — wykrztusił.

— No, dalej, Francie, zatańcz dla starego Culligana — mruzczał Dennis za barem.

Odwróciła się do niego, wściekła. — Już ci powiedziałam, gdyby nawet dał mi dwie dychy, to i tak będę pięć dolców do tyłu!

— Może dam ci dwadzieścia pięć, skarbie — skamlał Culligan.

— Wtedy i tak będę tańczyć za darmo!

Charlie podniósł rękę. — Coś ci powiem, Francie. Jest Wigilia. Jak zatańczysz, scenę będziesz miała na koszt firmy.

Francie aż zaniemówiła na moment z wrażenia, co jej się nigdy nie zdarzało. Dennis uniósł brew, przyglądając się uważnie Charliemu, po czym wrócił do asortymentu za barem. Culligan przecisnął się do przodu, wziął Francie za rękę i poprowadził ją na jedną z maleńkich scenek. Dziewczyna obejrzała się na Charliego, nie bardzo wiedząc, jak właściwie rozumieć ten gest.

— Dzięki, Charlie — powiedziała.

— A co to się stało, że zrobił się z ciebie taki przyjaciel pracującej dziewczyny? — Dennis postawił przed Charliem piwo i włączył nagłośnienie.

— Idą święta, Dennis. Najlepszego. — Charlie podniósł piwo i wziął spory łyk. Na scenie Francie zaczęła tańczyć dla zaurozonego Culligana do melodii jakiejś kliwej popowej ballady. — Kto tam jeszcze dzisiaj pracuje?

— Cupcake. Jest na zapleczu. Powiedziałem, że ją zawołam, jak ktoś się pokaże.

- Zapłaciła już prowizję?
- Jasne.
- To daj mi.

Dennis popatrzył sceptycznie, po czym odwrócił się do kasy. — Wyjaśnisz to Vicowi?

- Nie muszę. Pokryję to z własnej kieszeni, jeśli będzie trzeba.

Dennis wręczył mu dwie dziesiątki i piątaka. — Chyba nie w tym rzecz, Charles. Wydaje mi się, że stwarzasz w ten sposób precedens.

- Jest Wigilia, Dennis. Urodziny Boga.

Ruszył w stronę drzwi na zaplecze, trzymając w ręku pieniądze dla Cupcake. Francie zrzuciła już stringi i kuciała pokracznie, w wielkim skupieniu usiłując odebrać wargami sromowymi pięciodolarowy banknot z drżącej ręki Culligana.

Cupcake siedziała w świecącym, złotym bikini przy biurku Charliego, czytając biografię Gandhiego i wykonując z kręconym fotelem niemrawe półkola w rytm dobiegającej z baru muzyki. Kiedy Charlie wszedł, ledwo raczyła podnieść wzrok.

- Sądząc po muzyce, mamy klientów.
- Tylko Culligana. Proszę... — Charlie wręczył jej pieniądze.
- Co to jest? Jakaś pieprzona premia świąteczna?
- To twoja prowizja. Dziś tańczycie na koszt firmy.

Spojrzała ze sceptycyzmem na banknoty w swojej dłoni, po czym wzruszyła ramionami i schowała pieniądze do torebki. — Dwadzieścia pięć dolców piechotą nie chodzi. Dzięki. — Zmarszczyła brwi. — Widziałam dziś rano dzieciaki Desiray.

Charlie przełknął ślinę. — Gdzie?

- Są u jej siostry. Zanioślam im drobne prezenty.
- Wszystko u nich dobrze?
- A niby jak ma być dobrze? Jezu, Charlie... Nie wydaje mi się też, żeby siostra szczególnie martwiła się o Desiray. Jeśli o nią chodzi, to ma kłopot z głowy.

Charlie wolał nie myśleć o Desiray. — Cóż, ona w końcu się kiedyś znajdzie.

- Jasne. A Święty Mikołaj wejdzie tu dzisiaj w nocy przez komin.

Charlie zakaszła lekko, próbując pozbyć się z gardła łaskoczącej flegmy. Usiłował nie wpatrywać się zbyt ostentacyjnie w sejf. — Może pójdziesz do baru i powiesz Dennisowi, że kazałem postawić ci piwo...

— Postawić mi piwo? — powtórzyła ostrożnie.

— Tak. Dołączę do ciebie za chwilę.

Odłożyła książkę na biurko i wstała. — To naprawdę niezwykle, Charlie. — Wyszła, a po chwili zza zamkniętych drzwi dobiegł jej pisk zachwytu: — Sam Culligan!

Charlie podszedł do sejfu, wybrał odpowiednią kombinację cyfr i wyciągnął małą brązową kopertę, zawierającą tylko czarno-biały 35-milimetrowy negatyw. Podniósł go do światła. Pierwsze trzy ujęcia przedstawiały po prostu imprezę i nie były zbyt wartościowe ani interesujące, za to czwarte to była prawdziwa perełka: członek komisji rady miejskiej odbywający po pijanemu stosunek analny z całkiem obojętnie wyglądającą Cupcake, wpatrzoną prosto w obiektyw aparatu.

Poczuł lekkie ukłucie żalu na myśl o przekazaniu negatywu Renacie, jako że pan rajca i członek komisji był z nim na roku na studiach prawniczych i Charlie kiedyś uważał go za przyjaciela. Przyszło mu jednak do głowy, że Bill Gerard i tak któregoś dnia by to zdjęcie wykorzystał. Wyjął pierśiówkę i pociągnął długi łyk. Zastanawiał się, czy powinien najpierw powiedzieć o tym Vicowi, ale stwierdził, że nie ma sensu. Zanim zobaczy się z Vicem, negatyw będzie już w rękach Renaty.

Charliemu zrobiło się słabo, kiedy wychodził z biura; miał zatkana nos i swędziały go oczy. Poszedł do ubikacji, stanął przed jedynym pisuarem i wypuścił z siebie obfity strumień moczu. Razem z Vicem zastanawiali się kiedyś nad zamontowaniem kilku dodatkowych pisuarów i drugiej kabiny, ale uznali, że za dużo by to kosztowało, zwłaszcza iż zostałyby przez to uszczuplone dochody, które mogliby skubnąć dla siebie. Poza tym, jak zauważył Dennis, nasiliłoby to naturalną skłonność niektórych klientów do zamykania się i onanizowania, bo dzięki drugiej kabinnie zmalałby nacisk ze strony innych gości, których naprawdę przypiliłaby potrzeba.

Już nigdy się tutaj nie wysikam, pomyślał Charlie, patrząc na automat z kondomami umieszczony nad ceramiczną miską. Groteskowo przedstawiona kobieta o sprośnym uśmiechu, w psychodelicznej kiece, proponowała po pięćdziesiąt centów za sztukę lateksowe nowości, prążkowane dla jej przyjemności i sprzedawane dla ochrony przed chorobami. Charlie otrzepał małego i umył ręce.

Jakiś kurduplowaty, ubrany w niebieski dres czterdziestoparolatek o wylupiastych oczach i ściętych na pazia włosach dołączył do adorującego Francie Culligana. Cupcake siedziała przy barze i czytała swoją książkę o Gandhim, podczas gdy Dennis opierał się łokciem o blat z tyłu, przegłądając sadomasochistyczny świerszczyk znaleziony poprzedniego dnia w toalecie. Trzymał go koniuszkami palców, jakby to był wściekły nietoperz, starając się nie musnąć żadnej podejrzaney plamy. Charlie wskoczył na stół obok Cupcake i wskazał na książkę.

— I co tam u starego Mohandasa K.?

Cupcake nawet nie podniosła wzroku. — Właśnie umarł.

Dennis postawił przed nim piwo i wskazał na opróżnioną do połowy butelkę Cupcake. — Zapisalem na twój rachunek.

Tym razem podniosła wzrok, rozdrażniona. — Już ci mówiłam, że to na koszt firmy!

— Słyszałem. Ale Charlie...

— Tak, to na koszt firmy. Chyba mogę, do diabła, raz na ruski rok postawić tancerkom jedno nędzne piwo, jeśli mam na to ochotę.

Charlie rozejrzał się po sali, zaczynając czuć gorąco i świąd. Musiał wyjść na chłodne powietrze, otrzeźwieć nieco, zanim ruszy z powrotem do Złotej Klatki.

— W porządku, Charlie. Ty tu jesteś szefem. Chociaż nie chciałbym, żeby Vic się o tym dowiedział.

— Nie dowie się, chyba że sam mu powiesz.

— A właściwie to co się stało, że Vica dzisiaj nie ma? — spytała Cupcake.

— Wziął sobie wolne na Wigilię. — Charlie miał świadomość, że głos dobywa się z niego coraz wolniej, a słowa się zlewają, co stanowiło niechybny znak, iż należy wyjść na zewnątrz i spróbować jakoś się pozbierać.

— A po jaką cholere mu wolna Wigilia? Mieszka sam. Nie rozmawia już z Bonnie, nie widuje się z dziećmi, nie ma żadnych przyjaciół, jeśli nie liczyć was dwóch.

— Zdaje się, że poleciał do Cincinnati zobaczyć się z matką — zmyślił Charlie. „Cincinnati” w jego ustach zabrzmiało mocno bełkotliwie. Zdecydowanie musiał wyjść.

— Ale nieprawda, widziałem go po południu — powiedział Dennis. — Wpadł tu i zostawił jakieś papiery...

Drzwi się otworzyły i weszli studenci ze Złotej Klatki, ale już bez wojowniczego Ronny'ego. Stanęli jak wrzyci na widok Culligana, który wpatrywał się z rozdziawionymi ustami w poruszającą się dolinę rozkoszy Francie. Cupcake wstała i podeszła do chłopców. Charliemu było już nieznośnie gorąco.

— Czy nie powinieneś skrócić trochę ogrzewania, Dennis?

— Jasne. A skąpo ubrana część twojego personelu na pewno by się ucieszyła.

— Rozumiem — odparł Charlie, po czym wstał, dopijając piwo.

— Lepiej już pójdę.

Ruszył w stronę drzwi, mijając Culligana. Pod koniec wieczoru ktoś odwiezie starego do domu.

Zatrzymał się na chwilę w otwartych drzwiach. Od parkingu oddzielał je dwuipółmetrowy mur z betonowych bloczków, który miał zasłaniać widok z zewnątrz, a teraz hulał wokół niego lodowaty wiatr, trzepoczący polami rozpiętego płaszcza Charliego i pudrujący mu twarz drobniutkami, ostrymi płatkami śniegu.

— Zamknij te pieprzone drzwi, Charlie, ja tu jestem *naga* — krzyknęła z sali Cupcake i obracając się powoli, Charlie zauważył, że rzeczywiście stoi już naga na scenie, a trzech studenci siedzą grzecznie przy stoliku.

— No, dalej, chłopcy, dajcie drogiej Cupcake napiwek, bombowa z niej tancerka — usłyszał, zamykając za sobą drzwi. Charlie był pewien, że Culligan ich nie poznał.

Muszę coś wrzucić na ruszt, pomyślał, gdy jego lincoln sunął na południe, z powrotem do miasta, a syjący gęsto śnieg tworzył śliską warstwę na drodze. Połowa palantów w okolicy nie wie, jak w tych warunkach prowadzić auto. Nacisnął delikatnie na pedał i zaczął hamować pulsacyjnie, czując, jak samochód unosi się lekko za każdym razem, gdy stopa powędrowała w górę, jednak zamknął oczy, kiedy lincoln wpadł w poślizg i obrócił się wokół własnej osi o pełne 360 stopni, kierując się znowu dokładnie na południe, jak tylko koła odzyskały przyczepność. Dzięki Opatrzności Bożej w pobliżu nie było innych pojazdów. Charlie odzyskał panowanie nad wozem, a z radia popłynął refren wyszczekiwanej przez psy świątecznej piosenki „Jingle Bells”. Było mu dobrze.

Jakieś pół kilometra za rogatekami miasta dostrzegł mało efektowny pomarańczowo-brązowy neon knajpy U Hardee. Skręcił na pusty parking, wysiadł z lincolna i szarpnął mocno, próbując otworzyć drzwi lokalu. Drzwi nie ustąpiły, a Charlie musiał desperacko chwycić obiema dłońmi za klamkę, żeby nie runąć na oblodzony beton. Od wewnątrz ktoś powiesił na drzwiach profesjonalnie wydrukowaną wiadomość:

DRODZY KLIENCI
W WIGILIĘ ZAMYKAMY O PIĄTEJ
I ZAPRASZAMY DOPIERO PO ŚWIĘTACH
ABY NASI PRACOWNICY
MOGLI SPĘDZIĆ BOŻE NARODZENIE Z RODZINAMI

— To po jaką cholereę zostawiliście zapalony neon? — krzyknął Charlie, kopiąc w drzwi.

Wnętrze restauracji było jasno oświetlone. Miał ochotę wrzucić cegłę przez okno. Obrócił się na pięcie i poczuł, jak najpierw lewa noga zsuwa mu się ze śliskiego betonowego stopnia, potem prawa, a w końcu kość ogonowa grzmoci potężnie o zmrożony chodnik. Siedział tak przez chwilę i nie mógł uwierzyć w to, co się stało; z tyłkiem drętwym od zimna i uderzenia, z głową ciężką jak pięciokilogramowy glut, z trudem powstrzymywał niechciane łzy upokorzenia i wściekłości.

Na parking wjechał mały japoński sedan w zielonym kolorze i zatrzymał się jakieś trzy metry od Charliego. Czarnoskóry, może piętnastoletni chłopak otworzył okno od strony pasażera.

— Hej, wszystko w porządku?

Charlie przełknął. — W porządku. Poślizgnąłem się tylko i upadłem.

— Jedziemy dalej — rzekł kierowca. — Nic mu nie jest.

— Na pewno nic się panu nie stało?

— Do cholery, na pewno. — Przełożył nogi do tyłu, usiłując wykombinować, jak by tu najlepiej się podnieść.

— Wesółych świąt — rzucił chłopak, zamykając okno.

Samochód powrócił na jezdnię i zniknął w zacinającym śniegu.

Charlie dotarł do lincolna, utykając. Gdzie on o tej porze w Wigilię znajdzie coś do jedzenia? Nawet supermarkety były już zamknięte.

Sunąc pustą główną ulicą śródmieścia, słuchając tego samego co wcześniej policyjnego reportera ubarwiającego swą relację o bójce w barze w zachodniej części miasta, Charlie ujrzał światło w oknie Mosiężnej Świcy. Przeciął pusty pas ruchu wiodący w przeciwną stronę, wpadł w poślizg i zatrzymał się trzy metry przed panoramicznym oknem

restauracji, tyłem do kierunku jazdy. Przez szybę w sosnowych ramach zobaczył kelnerkę serwującą jedzenie sporej grupie biesiadników przy stole. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie spróbować obrócić lincolna albo nawet czy nie wjechać na parking, ale doszedł do wniosku, że za parę minut samochód i tak będzie kompletnie pokryty śniegiem, więc kto się tam domyśli, że stoi odwrotnie, niż powinien? Wyglądało na to, że byłby to dość skomplikowany manewr, a on natychmiast musiał coś zjeść. Parking zresztą i tak wyglądał na zapełniony.

Wszedł do oświetlonego słabym, żółtawym światłem korytarzyka, wyłożonego dębową boazerią i udekorowanego sosnowymi girlandami, na których zawieszono aksamitne kokardy z dzwoneczkami i wyciętymi z pozłotka aniołkami. Z głębi lokalu płynęły dźwięki jakiejś kolędy, z trudem przedzierając się przez śmiech i krzyki dochodzące z sali jadalnej i baru. Znacznie bardziej przypominało to Sylwestra niż Wigilię, tak iż Charlie doznał chwilowego wrażenia, że stracił na jakiś czas przytomność i spędził w mieście dodatkowy tydzień, co mogło okazać się fatalne w skutkach.

— Cześć, Charlie, wesołych świąt — rzuciła kierowniczką sali.

Była pulchną, ładną kobietą o krótkich czarnych włosach, a jej imię zaczynało się na C albo K — Christine, Kathleen, a może Cassandra.

— Chcesz tylko posiedzieć przy barze?

Z przyzwyczajenia już prawie odparł „tak”, lecz zaraz przypomniał sobie swoją misję. — Kuchnia jeszcze pracuje?

— Pewnie. Chcesz menu? — Podała mu kartę. — Właśnie zwolnił się stolik przy oknie.

— Świetnie.

Charlie przeszedł przez niewielką salę jadalną. Tak jak mu powiedziano, przy oknie znajdował się wolny stolik. Wysoka, cienka, bladoczółta świeca płonęła pośrodku niewielkiego stroika ze świerka i jemioly na krawędzi stołu, gdzie blat stykał się z oszronioną szybą. Charlie usiadł, rozejrzał się, a nie dostrzegając przy innych stołach nikogo znajomego, zaczął gapić się w okno, nie zważając na menu. W świetle ulicznych latarni wszystko było pomarańczowe, nawet padający śnieg. Kiedyś, za czasów starych latarni, wszystko zdawało się sinozielone, dopóki

nie wprowadzili tych rtęciowych świetlówek. A może to te stare były rtęciowe, a nowe zawierają coś innego? Kino po drugiej stronie ulicy wyświetlało *Cud na Trzydziestej Czwartej Ulicy*. Kilkoro widzów stało w kolejce do kasy, by kupić bilety. Od czasu do czasu przejechał wolno jakiś samochód. Jeden nadjechał, zarzucając mocno tyłem, a Charlie patrzył bezradnie, jak zbliża się do lincolna, skręcając ostro na prawo, na lewo, potem znów na prawo. Na szczęście udało mu się nie uderzyć i pojechał dalej na zachód, wioząc ze sobą zagrożenie dla dumy i radości jakiegoś innego biedaka. Charlie zastanawiał się, dlaczego jeszcze martwi się o ten wóz. Przecież jutro już będzie należał do Deacona. Wesółych świąt, ty pieprzony kurdupłu.

Było po ósmej. Siedział tam już od ponad godziny, w samotności zmagając się z talerzem wyborowych żeberek i butelką czerwonego wina, i obserwował przez okno zawieruchę. Do spotkania z Vicem wciąż miał jeszcze prawie siedem godzin i nie wiedział, co może zrobić albo dokąd pójść, kiedy już przekaże Renacie negatyw. Za wcześniej jeszcze było, by jechać do domu.

— Charlie? — odezwał się jakiś głos z boku.

Wyrwany z zadumy, odwrócił się od okna i mrużąc oczy, podniósł wzrok na bardzo wysokiego i bardzo otyłego mężczyznę w dobrze skrojonym garniturze.

— Peter Van Heuten to twój szwagier, mam rację?

— Aha. Przynajmniej nim był.

— Zastanawiałem się, czy nie mógłbyś podwieźć go do domu. Nie chciałbym, żeby próbował w tym stanie jechać sam. Zwłaszcza w Wigilię.

— Gdzie on jest?

— Przy barze. Może zechciałbyś do niego dołączyć...

— Nie ma sprawy.

I tak już skończył swoje żeberka. Czuł się teraz świetnie, jakby był zdolny ujarzmić stado lwów. Namówienie Pete'a na powrót do domu to będzie pestka.

— Wielkie dzięki, Charlie. A tak przy okazji, ta butelka jest na koszt firmy. Wesołych świąt.

Kochają mnie tutaj. Jestem prawdziwą osobistością. Jak ja mogę tak ich opuszczać? Wstał i skrzywił się, czując zapomniany już niemal ból w biodrze, po czym pokuśtykał do baru.

Przy barze było tłoczno. Wśród ściśniętych gości Charlie rozpoznał członka komisji okręgowej, któremu smarował, i to niemało, przez ostatnich sześć czy siedem lat, żonatego reportera lokalnej gazety i dyrygenta miejscowej orkiestry. Jak wszyscy w tym przybytku, robili, co mogli, żeby kogoś poderwać; ostatecznie co by to były za święta, gdyby człowiek nie przeleciał jakiejś nowo poznanej babki?

Chwiejący się przy barze Peter van Heuten rozdarł się na jego widok: — Charlie Arglist, chodź tutaj, ty nic niewarty sukinsynu!

Przy barze panował gwar, a on był tu bez wątpienia najbardziej hałaśliwym facetem, witającym się chrapliwym głosem z każdym obecnym na sali, czy to znajomym, czy nie. Jego sportowa marynarka z tweedu była pognieciona jak psu z gardła wyjęta, a boczna kieszeń zwisała odpruta w jednym rogu; rudawoblond włosy wyglądały, jakby uczesała je glebogryzarka, a mimo to nie można mu było odmówić swego rodzaju hałaśliwej, pijackiej godności. Pomimo ścisku nietrudno było dostrzec pustkę po obu jego stronach, kiedy tak kołysał się w przód i w tył, atakując każdego, kto nieopatrznie próbował zająć sąsiadujące z nim miejsce.

— Jak rany, Charlie, byliśmy kiedyś rodziną! Kurwa, co za zbieg okoliczności, wpaść na ciebie akurat w Wigilię! Co pijesz?

— Czerwone wino.

— Pieprzyć to, Charlie, napij się szkockiej. Barmanko, proszę dać mojemu szwagierkowi trochę tej trucizny, którą leje pani we mnie.

Młoda kobieta za barem nalala Charliemu drinka i podała z kamienną twarzą. Nie otrzymała jeszcze polecenia, by przestać Pete'a obsługiwać, ale tylko o tym marzyła.

— Popatrz na tych żalonych sukinkotów. Pina colady i trzyczęściowe garnitury z wełny, kurwa mać. — Wskazał na eleganckiego młodego prawnika, którego Charlie znał z widzenia, pograżonego w rozmowie z równie elegancką kobietą. — Cywilizacja bezpowrotnie schodzi na psy, skoro typek ubrany tak jak on jest w stanie zarwać taką dupcię.

— Co teraz porabiasz, Pete?

— Projektuję budynki. Zajebista kasa. Poważnie. Robię zajebistą kasę. A co u ciebie?

- Mniej więcej tak samo jak zwykle.
- Dalej jest z ciebie gangster? — wrzasnął Peter, a Charlie się skrzywił. — Kurde, facet, dobrze wiesz, że tylko się tak nabijam.
- A co tam u naszych dzieciaków? — spytał Charlie.
- Pete był przez moment zbity z pantałyku. — Chyba dobrze, tak myślę. Niech se przypomnę, Melissa trenuje pływanie, a może to Spencer...
- Pytałem o twoje dzieci, nie o moje.
- Ach, moje. W porządku. No wiesz, tak mniej więcej.
- A gdzie jest dzisiaj Betsy?
- U swoich starych, chłopie, w końcu to Wigilia. O Boże święty... — Spojrzał na zegarek z udawanym przerażeniem. — Jestem już o trzy godziny spóźniony... — Roześmiał się i rechotał tak długo, aż kolana się pod nim ugięły, skutkiem czego zjechał w dół i siedział w kucki oparty o bar, świszcząc, ściskając się prawą ręką za brzuch i kołyszając się w przód i w tył w niemym rozbawieniu, ze łzami spływającymi po twarzy. Za barem pojawił się właściciel i ze spojrzeniem wbitym w Charliego pokazał na Pete'a, a potem na drzwi na dwór. Charlie czuł, że Pete nie będzie miał ochoty przyjąć propozycji podwiezienia do domu albo, co gorsza, do domu swoich teściów.
- Słuchaj, Pete, muszę podskoczyć do Złotej Klatki, nie pojechałbyś ze mną?
- Pete podniósł wzrok, wciąż się śmiejąc. — Pooglądać cipki? No jasne!
- Charlie postawił go na nogi.

Lincoln miał na masce białą pokrywę grubą jak materac, a śnieg padał sobie spokojnie, cicho i gęsto. Pete grzebał przy pokrętlach ogrzewania, próbując je podkręcić.

- Chryste, jak ja bym chciał mieć dość odwagi, żeby zrobić to co ty.
- Co masz na myśli?
- No, odejście z tej pieprzonej rodziny.
- To nie był mój pomysł.
- Betsy nie pozwoli mi odejść bez jakiegoś cholernego zamieszania. Chce być, kurwa, damą z towarzystwa.

- No, z Sarabeth było to samo.
- Sarabeth, to dopiero jest koszmarnie babsko. Bardziej koszmarnie niż Betsy. Ale nie tak koszmarnie jak ich matka.
- Niesamowite kobiety, wszystkie trzy — przyznał Charlie.
- Pete prychnął. — Masz, kurwa, rację. Założę się, że mamuśka Henne-ton naprawdę myślała, że wygrała los na loterii, wydając swoje córeczki za dwóch takich jak my, prawnika i pieprzonego architekta.
- Naprawdę świetne z nas partie, to fakt.
- Chryste, nie tknąłem Betsy już od pół roku. Od paru lat robi to z miną świętej męczennicy, zachowuje się, jakbym był jakimś maniakiem seksualnym, bo wciąż chcę się z nią pieprzyć, mimo że dorobiliśmy się już biblijnej trzódki trojga dzieci.
- Macie już trójkę?
- Pete siedział przez chwilę ze zmarszczonym czołem, licząc. — No. To ostatnie to dziewczynka. Trzy i pół roku. Sporo czasu minęło, odkąd opuściłeś tę naszą rodzinę, Charlie. — Przeciągnął się i ziewnął. — A po co jedziesz do Złotej Klatki? To jeden z twoich przybytków?
- Nie. Muszę tylko pogadać o czymś z szefostwem.
- Jasne! Mafijne interesy! O co chodzi, o handelek koką?
- Uważaj, co mówisz, dobra?
- No zaraz, czy Vic Cavanaugh naprawdę nie odciął jednemu facetowi ręki?
- Kto ci to powiedział?
- Pete uznał to za odpowiedź twierdzącą. — Wiedziałem!
- Kto ci powiedział?
- Taki jeden znajomy, dostawca betonu. Powiedziałem mu, że mój eksszwagier jest prawą ręką Vica Cavanaugha, a on na to, że słyszał, jak jeden gość wsadził palec w dziurę striptizerki w Tease-O-Ramie, a Vic zabrał tego biednego pojebańca na zaplecze i odrąbał mu obie dłonie.
- Jasne, na pewno tak było.
- Gdyby rzeczywiście taka była kara za podobne zachowanie, trzeba by ją było stosować ze cztery, pięć razy w tygodniu, a miasto pełne byłoby facetów z hakami zamiast dłoni.
- A ta dziewczyna, która znikła, pracowała dla ciebie, no nie?

- Nie dla mnie osobiście, ale owszem, tańczyła w Tease-O-Ramie.
- A więc ją znałeś, nie?
- Tak, znałem — odparł. — Ale słabo.
- No to co się z nią twoim zdaniem stało? Myślisz, że ktoś ją zabił?
- Pewnie prysnęła z jakimś facetem. Tak się czasem zdarza.
- W gazecie pisali, że zostawiła jakieś dzieci.
- Aha. I co z tego?
- Myślisz, że była jedną z takich, co zostawiają dzieciaki i nawet nie mrugną przy tym okiem?
- Skąd niby mam to wiedzieć? Jezu...
- Z tego, co napisali w gazecie, wynikało, że laska nie żyje.
- No, i wynikało też, że była z niej istna zakonnica. W dupę mać. Któregoś popołudnia, jakiś miesiąc po zniknięciu Desiray, wchodzę do baru, a tam siedzi na stolku ta baba i rozmawia z barmanem. Myślałem, że szuka pracy, a tu okazało się, że robi wywiad do pieprzonej gazety. Wyrzuciłem ją na zbity pysk, ale zdążyła już pogadać z Francie i Cupcake.

Pete parsknął śmiechem. — Francie i Cupcake. Jakbyś mówił o parze pudli.

- Tak czy siak, Cupcake uderzyła w ten swój płaczący ton i powiedziała, że Desiray na pewno nie żyje, bo inaczej dłaczego zostawiłaby bez słowa swoje dzieci?

- No a dlaczego by je zostawiła?

- Kobietom czasem się to zdarza. A ta dziennikarka zrobiła z niej sędziego Cratera* i pieprzoną Eleonorę Roosevelt w jednym.

* Joseph Force Crater (1889-1930?) — nowojorski sędzia, który zaginął w bardzo tajemniczych okolicznościach 6 sierpnia 1930 roku. Ostatni raz był widziany, jak wychodził z restauracji i wsiadał do taksówki, by udać się na przedstawienie w jednym z Broadwayowskich teatrów. Po dziś dzień mówi się o nim jako o „najbardziej zaginionym” z zaginionych nowojorczyków (wszystkie przypisy tłumaczki).

Te artykuły w gazecie były dla Charliego jak wrzód na dupie, jakby mało mu było problemów z gliniarzami miejskimi i stanowymi i z Vicem. Babsko nie ukazało bynajmniej Tease-O-Ramy jako idealnego miejsca pracy dla młodej matki dwojga dzieci.

— A tak w ogóle, Charlie, zdarza ci się bzyknąć którąś z tych striptizerek?

— Czasami, jeśli jestem desperacko napalony albo kompletnie nawalony, albo totalnie wkurwiony.

— Ja jestem i napalony, i nawalony, i wkurwiony praktycznie przez cały czas...! Ty, a wracając do koki, to nie masz trochę przy sobie, co?

— Nie — odparł. — I uważaj, co gadasz, bo wpakujesz nas obu w kłopoty.

W Złotej Klatce było pusto, jeśli nie liczyć Sidneya, który gdy wchodził, wydierał się na kogoś przez telefon. Nie spoglądając nawet na nich ani nie przerywając wrzasków, otworzył dwa piwa i postawił na barze. Twarz miał czerwoną jak pomidor i tryskał śliną.

— I jeśli to nie jest kurewstwo stulecia, to nie wiem co to jest! Jeśli o mnie chodzi, to możesz sobie ten swój tort czekoladowy wsadzić głęboko w dupę!

Charlie dyskretnie otarł z policzka kropelkę śliny. Pete pochylił się i szepnął mu do ucha:

— Jeżeli to z nim masz do pogadania, to może lepiej poczekać na lepszą okazję.

Charlie wyjął piersiówkę, pociągnął i popił piwem. Podał butelkę Pete'owi, który napił się, przezornie łypiąc jednym okiem na Sidneya.

— Pożałujesz dnia, kiedy postanowiłaś wyciąć mi taki numer, ty stara szczerbata jędzo. Obiecuję ci, że jeszcze pożałujesz dnia, kiedy się urodziłaś. — Rzucił słuchawką, po czym podniósł ją i wrzasnął ile sił w płucach, rzucił ją na widelki jeszcze raz, i jeszcze, aż w końcu, dysząc ciężko, spojrzął na Charliego i Pete'a. — Wybaczcie. To była moja matka. Wymyśliła sobie, że mam od niej zabrać dzieciaki dziś, a nie jutro, bo ona i jej pierdolony mężulek wybierają się o szóstej w bożonarodzeniowy poranek do Ogródu Bogów*. — Pokręcił głową, jakby chciał o tym zapomnieć.

* Ogród Bogów (Garden of the Gods) — park w Colorado Springs z unikatowymi formacjami skalnymi z czerwonego piaskowca i licznymi szlakami turystycznymi. W pobliżu parku znajduje się zrekonstruowana XIX-wieczna wioska przyjmująca turystów, gdzie można zapoznać się ze stylem życia dawnych Amerykanów, obejrzeć pokazy rzemiosła oraz posłuchać opowieści o miejscowych Indianach.

— Jest Renata? Coś jej przywiozłem — powiedział Charlie.

Miał w dłoni kopertę. Trzymając ją, czuł się niezręcznie, prawie tak, jakby się spodziewał, że zaraz wyskoczy mu z ręki na podłogę i czmychnie.

— Wróci około północy. Możesz zostawić to u mnie.

— Lepiej oddam jej osobiście.

Sidney wzruszył ramionami. — Jak chcesz.

— A gdzie są tancerki?—jęknął Pete.

— A gdzie są goście? — odjęknął Sidney. — Rusti wyniosła się z tym szczeniakiem, co napadł na Culligana. Amy Sue siedzi na zapleczu i czeka na klientów, którzy gotowi będą zapłacić. Ma się też zjawić Anita, ale jeszcze jej nie ma. Chryste, jak ja bym chciał, żeby Renata pozwoliła mi już dzisiaj zamknąć. Wy nie zamknęliście Tease-O-Ramy?

— Nie, jest czynna.

— Hm, może po Pasterce coś się w końcu ruszy.

— Pewnie tak — odparł Charlie, żłopiąc piwo. — Ile płacimy?

— Dzisiaj pijesz gratis. Powiem Renacie, że byłeś.

— Wrócę przed północą.

— Chryste, może już wtedy pojedę po dzieciaki... Ale jeśli Renata będzie musiała stanąć za barem, nie będzie w najlepszym nastroju.

— Będzie, jak zobaczy, co dla niej mam — rzekł Charlie, uderzając kopertą w otwartą dłoń, gdy razem z Petem wychodzili.

Wetknął potem kopertę do schowka. — To dokąd teraz?

Snifter tkwił wtulony w kąt zbudowanego w kształcie L centrum handlowego, pomiędzy pralnią chemiczną a sklepikiem oferującym kartki z życzeniami na różne okazje. Klub był otwarty od czwartej po południu do drugiej w nocy przez 365 dni w roku. Wzdłuż wyłożonych czerwonym pluszem ścian i nad barem zamontowane były słabe, ukryte przed bezpośrednim widokiem lampki, jednak główne źródło przyćmionego światła stanowiły małe świece umieszczone w postawionych na stołach okrągłych lichtarzykach z czerwonego, wysadzanego kryształem górskim szkła. Dania były drogie i bardzo tradycyjne: stek, homar, smażony pstrąg. Charlie był członkiem klubu, odkąd tylko wolno mu było legalnie kupować alkohol; w czasie trwania małżeństwa Snifter był jego drugim domem, zwłaszcza na krótko przed rozwodem, w którym to czasie stał się też głównym punktem czerpania doznań seksualnych. Jakies pół tuzina mniej lub bardziej atrakcyjnych, mniej lub bardziej zapijaczonych babek spotykało się z nim popołudniami, zmieniając się średnio co dwa tygodnie. To były świetne czasy, dopóki jedna z kobiet nie wzięła go przy barze na stronę i nie oznajmiła, że jej mąż wynajął detektywa i kupił rewolwer. Charlie uznał to za melodramatyczną głupotę, poczuł się jednak na tyle wytrącony z równowagi, że przestał się z nią widywać i zmienił swe alkoholowe nawyki. Nie przestał przychodzić w ogóle, ale rozwód wprowadził w jego życie nowe zwyczaje i potrzebę poszerzenia horyzontów towarzyskich, tak iż od kilku lat bywał w Snifterze najwyżej raz albo dwa razy w tygodniu. Dziś wieczór zajętych było zaledwie kilka stolików, a salę obsługiwał tylko jeden kelner.

Pete'owi znów zebrało się na gadanie, choć mówił już teraz znacznie ciszej. — Którą to mamy? Piętnaście po dziewiątej. Pewnie właśnie kończą rozpakowywać prezenty, gdzieś o wpół do dziesiątej zaczną jeść, a ja pojawię się mniej więcej w porze deseru i zacznie się awantura.

— Brzmi to wspaniale — stwierdził Charlie. — Nie rozumiem, dlaczego Betsy tak cię odtrąca.

— Też powinieneś przyjść. Facet, to by kompletnie zepsuło Sarabeth święta. Już choćby dlatego warto by to było zrobić. A do tego zobaczyłbyś jej nowego męża. Gość w ogóle cię nie lubi. No i kiedy ostatnio widziałeś dzieci?

— Całkiem niedawno.

Tak naprawdę nie widział się z nimi już od kilku miesięcy. Wraz ze zbliżającą się datą wyjazdu typowa dla niego niedbałość w tym względzie przerodziła się w zupełnie rozmyślne unikanie, rzekomo dlatego, żeby dzieci łatwiej zniosły jego zniknięcie. Nie planował spotkania z nimi przed opuszczeniem miasta.

— Posiedzimy tu parę minut, a ty się nad tym zastanów. Może jeszcze parę łyków wprawi cię w bardziej świąteczny nastrój.

— Może — odparł Charlie.

Nie było mu najlepiej z tym, że nie zobaczy się z dziećmi, ale nie miał pojęcia, jak mógłby im spojrzeć w twarz. Podejrzewał zresztą, że kiedy już go nie będzie, dzieci i tak się tym za bardzo nie przejmą.

— Dla mnie jeszcze raz to samo, Kelly — zawołał.

— Dla mnie też — wtrącił Pete, wychylając ledwo napoczętego drinka.

Kelly, wysoka młoda kobieta z czarnym kucykiem i oczami osadzonymi tak blisko siebie, że zdawały się niemal zezować, uśmiechnęła się i zabrała obie szklanki.

— Dziś wieczorem pijecie panowie na koszt naszej Triny.

Charlie obrócił się na stolku, mrużąc oczy w słabym świetle świec.

Przy jednym ze stolików siedziała samotnie ta sama kobieta, której mąż ponoć wynajął detektywa i kupił rewolwer. Podniosła szklankę i skinęła ledwo zauważalnie do Charliego, a po jej twarzy przemknął cień

uśmiechu. Charlie zszedł ze stołka i pokuśtykał przez salę do jej stolika.

- Trina... Miło cię widzieć.
- Wesółych świąt, Charlie. Jakoś sztywno dziś chodzisz.
- To moja rana wojenna. Chateau Thierry*.

* Chateau Thierry — miasto we Francji, miejsce bitwy pomiędzy Amerykanami a Niemcami, jaka miała miejsce podczas I wojny światowej w 1918 roku.

— Nie wiedziałam, że walczyłeś w Korei — rzekła bez większego zainteresowania.

Dobiegała pięćdziesiątki, jak się zdawało Charliemu, ale dobrze się trzymała, najpierw ciężko na to pracując, a potem psując wszystko długimi pobytami na słońcu i ostrym pićciem. Jej uszy, szyja i ręce obwieszane były złotem, srebrem i turkusami, a kilka kosmyków platynowych włosów, upiętych w ciasny kok z tyłu głowy, zaczęło już się uwalniać i zwisało luźno na skroniach.

— Gdzie się podziała ta śliczna pielęgniarzeczka, z którą cię zawsze widywałam?

— Fizjoterapeutka. Już się z nią nie widuję. A gdzie się dziś podzieli twoi przyjaciele? — Nie próbował nawet usiąść.

— Wszyscy się na mnie wypięli, jeden po drugim, po kolei. Każdy myśli, że święta to musi spędzić ze swoją pieprzoną rodziną.

— Ja tak nie myślę.

— Ja też nie. Aleks i ta jego cholerna dziwka zabrali dzieciaki do Val-Il. Powiedziałam sobie, świetnie, to znaczy, że będę mogła w te święta kogoś zaliczyć. Jakie masz na dzisiaj plany, Charlie? Kim jest ten twój interesujący przyjaciel?

Pete zmierzał do stolika ze świeżymi drinkami.

— To mąż siostry Sarabeth. Pete.

— Szwendasz się w Wigilię z członkiem rodziny swojej eks? To takie... wzruszające, Charlie. — Wydała z siebie krótki, chrypliwy rechot. — Cześć, Pete.

— Cześć, Trina. Nie byłem pewien, czy mnie pamiętasz. — Usiadł, przewieszając wolną rękę przez oparcie krzesła.

— Jasne, że tak. Chociaż mógłbyś mi odświeżyć nieco pamięć.

— Jakies dwa lata temu w Mosiężnej Świecy. Byłaś wtedy bardzo zła na męża.

To poruszyło jakąś strunę. Trina pochyliła się do przodu, żeby lepiej się Pete'owi przyjrzeć, usiłując dopasować twarz do dawnego wspomnienia.

— Położył wtedy łapę na tyłku jakiejś małej zdziry? A ja wyszłam z tobą, kiedy nie patrzył?

— Zgadza się.

— Chryste, ale był wtedy wściekły. Wszyscy nasi przyjaciele tam byli. Wszyscy z firmy, wszyscy, kurwa, znajomi... To byłeś ty?

— Omacywaliśmy się przy barze, o ile pamiętam. — Jeśli nie liczyć lekkiego bełkotania, prawie zerowego w porównaniu z Triną, Pete mówił, jakby był całkiem trzeźwy. — Wsadziłem ci rękę pod sukienkę, a potem w majtki. Naciskałaś na nią z całych sił. Wszyscy w barze patrzyli.

— Poza Alexem — rzekła. Na jej twarzy wykwitł nowy kolor, a głos stał się jakby trochę zduszony. — I byłam dosyć pijana.

— Pojechaliśmy do Holiday Inn w śródmieściu, a ty zadzwoniłaś do męża i zostawiłaś mu wiadomość na jego nowiuńskiej automatycznej sekretarce, podczas gdy ja brałam cię od tyłu.

Teraz była już wyraźnie zarumieniona. Charlie nie wiedział, czy to ze złości, czy z podniecenia. — To byłeś ty?

— Ja, nikt inny. — Pete promieniał.

Trina kiwnęła na Kelly, żeby dziewczyna podeszła. — Kelly, Pete i ja musimy o czymś pogadać na zewnątrz. Podasz Charliemu to, na co będzie miał ochotę? Zapłacę, jak wrócimy.

Już wstała z krzesła i ciągnęła Pete'a za rękę, próbując podnieść i jego. Powlokła go ku drzwiom, krocząc na wysokich obcasach zaskakująco pewnie, zważywszy na to, jaka była pijana. Charlie pomyślał, że z tyłu wygląda całkiem nieźle. Pete obejrzał się i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Charlie znów poczuł potrzebę i udał się do toalety.

Gdy chodzi o warunki, tutejsza łazienka plasowała się o kilka poziomów wyżej niż ubikacja w Tease-O-Ramie, a zamiast automatu z gumkami nad każdym z trzech pisuarów wisiał oprawiony w ramki kalendarz z panienkami z 1940 roku. Mydło w dozowniku było delikatne, nie żrące, a woda płynęła gorąca. Osuszył dokładnie ręce pod strumieniem

ciepłego powietrza z suszarki i wrócił po swojego drinka.

Moim zdaniem ona jest nieszczęśliwa. — Charlie siedział znudzony przy barze, słuchając Kelly dokonującej psychoanalizy Triny. — No wiesz, jest atrakcyjna, ma pieniądze, więc dlaczego płacze się tutaj przez cały czas?

— Może nie ma dokąd pójść — podsunął Charlie.

— Wydaje mi się, że powinna wstąpić do jakiegoś klubu czy czegoś takiego, żeby się czymś zająć.

— Przecież to jest właśnie klub, kotku.

— Nie nazywaj mnie kotkiem, Charlie. Chodzi mi o klub ogrodnika albo klub kolekcjonerów znaczków.

— O tak, już widzę, jak Trina z zapalem rzuca się w wir kolekcjonowania, to z pewnością świetnie by jej zastąpiło chłanie i rozwiązłość.

— Oj, to był tylko taki przykład! — Kelly miała zaledwie dwadzieścia parę lat i niezachwianą wiarę w ludzkie możliwości. — Uważam po prostu, że gdyby się czymś zainteresowała, mogłaby czerpać z życia znacznie więcej.

Drzwi od podwórza otworzyły się i wróciła Trina z lepiącym się mocno do jej boku Petem. Jej makijaż był nieskazitelny, zaś Pete wyglądał tak, jakby zaraz miał zapaść w błogi sen. Nie było ich może piętnaście minut.

Pete siadł obok Charliego i obaj patrzyli, jak Trina niespiesznym krokiem kieruje się do łazienki.

— Zdecydowanie muszę tu przychodzić częściej. — Bełkotliwość mowy powróciła, i to w wersji gorszej niż przedtem. — Nie sądziłem, że w tym stanie uda mi się go jeszcze postawić. Chodzę pijany od trzeciej po południu. To musiał być jakiś świąteczny cud.

Kelly popatrzyła na Pete'a ze współczuciem i dezaprobatą zarazem. Oto miała przed sobą kolejną duszę, którą należało zbawić. — Mam więc nadzieję, że teraz naprawdę do nas wrócisz, Pete.

Zmierzył ją wzrokiem. — O, tak. Na pewno. Wiesz, Charlie, chyba tu zaraz uderzę w kimę. Powinniśmy już jechać do rodziniki.

— To ja zaczekam w samochodzie, a ty pożegnaj się z Triną.

Pete wyszedł pięć minut później i wsiadł do lincolna.

— Myślałem, że to Andy Sandovel wyszedł z nią tamtego wieczora, Wedy zadzwoniła i zostawiła wiadomość na automacie Alexa.

— Bo tak było. Ale jak mi powiedział Andy, widział się z nią potem ze cztery czy pięć razy i zdawała się nie pamiętać, że to był on.

— Ciekawe, jak takie coś można zapomnieć.

— Ciekawe, no nie? A dzisiaj wydawała się taka pijana i napalona, że postanowiłem strzelić w ciemno. Takie już jest to życie, Charlie, że jadę sobie teraz do teściów na wigilijną kolację ze starym poczciwym wackiem cudnie pachnącym Triną.

— Może powinniśmy się gdzieś zatrzymać, żebyś mógł umyć małego.

— Nie ma mowy. — Chwycił się za koszulę i przytknął ją do nosa, biorąc długi, głośny wdech. — Do tego jeszcze ten mocny zapach perfum. Musisz iść tam ze mną. To będą niezapomniane święta!

— Jesteś dziwnie ożywiony jak na faceta, który omal nie zasnął jeszcze chwilę temu.

— O, tak — odparł Pete. — Patrz, co mi dała, jak wyszedłeś. — Wyciągnął maleńki kwadrat folii aluminiowej. — Zrobiliśmy kilka kresek w damskiej toalecie, a resztę podarowała mi na Gwiazdkę. Masz ochotę?

— Nie, kiedy jestem za kółkiem.

— W porządku. Zostawimy sobie na spotkanie z Dorrie. Zaoferujemy jej coś ekstra na poprawę humoru.

Charlie wyjechał z parkingu, skręcając w prawo, na południe, gdzie znajdował się dom jego byłych teściów. Jeśli wyjadę z miasta bez ostatniego spotkania z dziećmi, pewnie kiedyś będę tego żałował, pomyślał. Załatwię to szybko.

Kiedy ostatnio zdarzyło ci się widzieć tę starą wiedźmę? — spytał Pete.

— Dokładnie dwa lata temu. W Wigilię. W centrum handlowym kupowałem dla wszystkich prezenty, kiedy zauważyłem ją, obładowaną torbami. Udawała, że mnie nie widzi, więc podszedłem, przywitałem się i zaproponowałem, że pomogę z pakunkami.

— Pewnie nie może cię za to znieść.

— Uśmiechnęła się do mnie, jak to ona, no wiesz... — Charlie wyszczerzył zęby, napinając mocno skórę twarzy, aż wystąpiły mu ściegna na szyi. — I powiedziała: „Dziękuję ci bardzo, Charlie, poradzę sobie”.

Pete pociągnął spory łyk z piersiówki Charliego. — Już prawie pusta. Możemy ją napełnić u teściów. Zawsze mają dobrą gorzałę.

Jechali ulicą, przy której stały porządne, stare rezydencje i wysokie, bezlistne drzewa, dające cień latem. Większość domów ozdobiona była sznurami dużych, wrzecionowatych, różnokolorowych żarówek zawieszonych pod okapami i wśród drzew. Charlie zwolnił, widząc budynek z maleńkimi punktami białego światła rozmieszczonymi na wszystkich węglach i krawędziach. Zjeżdżając do krawężnika, przeholował trochę i z potężnym szarpnięciem wjechał na chodnik, zatrzymując się w połowie czyjegoś zaśniewzonego trawnika.

— Kurwa! Wylałem. Sorry. — Pete od niechcenia przecierał spodnie rękawem sportowej marynarki. — I tak niewiele już tam było.

— W ogóle nie widziałem tego pieprzonego krawężnika — powiedział Charlie z lekkim zawstydzaniem. — Wszędzie ten cholerny śnieg.

— Chcesz zjechać na jezdnię czy zostawisz wóz tak, jak stoi? Jest Wigilia, nikt się nie przypieprzy.

— Zostawię go. I tak nie mam zamiaru tam długo zabawić.

Pete formował już białe kreski na okładce nowiutkiego *Atlasu drogowego*. — Przyłączysz się, zanim wejdziemy?

Już miał powiedzieć „nie”, ale czuł się lekko wstawiony, a nie chciał bełkotać w obecności Melissy i Spencera. — Jasne.

Przy pierwszym niuchu zaczął tego żałować. Najpierw zapiekło go w nosie, a zaraz potem gęsta, gorzka ślina spływająca po tylnej ścianie gardła sprawiła niemal, że wymiotował, lecz gdy wysiadał z lincolna, alkoholowe otumanienie zaczęło go opuszczać.

Obeszli dom od wschodu, kierując się na tyły, bo Pete chciał zajrzeć do jadalni, zanim wejdą do środka. Charlie rozejrzał się po znajomym podwórzu, czując się jak duch w słabym pomarańczowym i fioletowym świetle. Było tak cicho, że zdawało mu się, iż słyszy płatki śniegu spadające na wierzchołki zasp. Skręcili znów za róg i znaleźli się po zachodniej stronie domu, gdzie przez okno jadalni dobywała się delikatna żółta poświata.

— Będzie fajnie — wyszeptał Pete na tyle głośno, żeby usłyszał go stojący pięć metrów z tyłu i obserwujący go Charlie. Pete stał na palcach, podglądając ostatnią fazę świątecznej kolacji. — Jedzą deser. Nikt nic nie mówi. Dzieciaki siedzą naburmuszone.

— Powiniennem chyba stąd iść.

— Za późno. Już się nie wywiniesz. Nie możesz teraz pozwolić, bym wszedł tam sam i powiedział, że byłeś tu, ale nie chciałeś się z nimi zobaczyć. Chodź. — Opadł z powrotem na stopy i dał znak Charliemu, żeby wszedł za nim w stronę frontu.

Weszli po stopniach na werandę i Pete otworzył nie zamknięte na klucz drzwi. Charlie przystanął, by wytrzeć buty przynajmniej z części śniegu, podczas gdy Pete wmaszerował do środka i chwiejnym krokiem ruszył ku jadalni, tupiąc mokrymi butami po litej dębowej podłodze i zbaczając nieco z trasy, żeby podskoczyć i zachłapać śniegowym błotem nieskazitelnie czystą kremową kanapę.

— Wesołych pieprzonych świąt! — zawołał.

Charlie podążył ostrożnie kilka metrów za nim, gotów czmychnąć na pierwszy znak, że może dojść do zastosowania przemocy. Pete wpadł do jadalni i otworzył szeroko drzwi. Charlie pozostał w tyle, wyglądając zza pleców szwagra. Dorrie siedziała w milczeniu przy jednym końcu stołu na wprost męża, zaś na całej długości mebla rozproszona była piątka sennych, nadąsanych wnuków, dwie dobiegające wieku średniego kobiety i jeden pulchny zięć, jedyny ruchomy element w tym obrazie, jako że jego widelczyk wędrował z zapalem pomiędzy talerzykiem z ciastem a ustami. Na stole stały po części opróżnione półmiski: indyk, nadzienie, tłuszcz z pieczenia, tłuczone ziemniaki, sos żurawinowy, fasolka szparagowa. Z trzech ciast pośrodku tego wszystkiego tylko jedno zostało pokrojone i nikt prócz męża Sarabeth się nie częstował.

— Hej, po kim ta stypa? — wydarł się Pete.

Nikt nie odpowiedział. Charlie cofnął się za jego plecami, rozważając ostatnią możliwość ucieczki. Zdawało się, że nikt go jeszcze nie zauważył. Przez moment ujrzał Melissę usadowioną obok Dorrie przy odległym końcu suto zastawionego stołu. Ile już miała lat? Sześć? Nie, siedem.

— To się nazywa milczące potraktowanie, Charlie...

Wzmianka jego imienia też nie wywołała żadnej reakcji ze strony dorosłych zgromadzonych przy stole, za to Melissa wskoczyła na siedzisko swojego absurdalnie wielkiego krzesła, zeskoczyła zaraz z niego i z piśkiem rzuciła się pędem wokół długiego, mocnego stołu, by minawszy wujka Pete'a, wpaść z całym impetem na ojca. Charlie podniósł córeczkę i tulił mocno przez chwilę, po czym postawił. Mała przywarła do nogawki jego spodni, wciąż krzycząc i trzymając się tak, jakby nigdy nie zamierzała puścić. Teraz już wszyscy dorośli patrzyli na niego, skonsternowani i wściekli.

— Cześć, Spence — powiedział do chłopca siedzącego obok męża Sarabeth, starając się nie faworyzować żadnego ze swych dzieci. — Wesołych świąt.

Syn wpatrywał się w niego bez słowa. Dzieciaki Pete'a i Betsy gapily się na Charliego, nie mając pewności, kim jest.

— Przepraszam, że wpadłem tak bez zapowiedzi. Podwiozłem tutaj Pete'a i pomyślałem, że wejdę złożyć życzenia.

Znów nikt się nie odezwał. Były teść Charliego siedział na krześle obrócony w jego stronę i gapił się z otwartymi ustami na ekszycia, jakby desperacko usiłował sobie przypomnieć, skąd go zna. Mąż Sarabeth z ustami pełnymi bakaliowca patrzył tak, jakby miał zaraz wstać i walnąć Charliego jednym ze srebrnych lichtarzy Dorrie, zaś sama Sarabeth odwróciła wzrok. Betsy spoglądała z obrzydzeniem to na Pete'a, to na Charliego, najwyraźniej nie mogąc się zdecydować, który z nich reprezentuje niższą formę życia. W końcu ciszę przerwała Dorrie.

— Jesteśmy już po kolacji, Charlie. Czy mogę zaproponować ci kieliszek wina? — Mówiąc to, uśmiechała się w miarę przekonująco, zapewne widząc nieukrywane zdziwienie Charliego jej uprzejmością.

— Bardzo chętnie, Dorrie, dziękuję. — Podszedł do jej miejsca przy stole, mijając Sarabeth, lecz nie patrząc jej w twarz.

Dorrie wstała, nalała mu kieliszek czerwonego wina i podała. — Utykasz, Charlie. Zrobiłeś sobie coś?

— To tylko lekki objaw biodra tenisisty — odparł.

— O, nic o tym nie wiedziałam — rzekła Dorrie.

Odwrócił głowę w stronę Sarabeth, która nie odwzajemniła jego spojrzenia. Nosiła teraz równo obciętą grzywkę, a ciemnobrązowe włosy sięgały za ramiona pierwszy raz, odkąd się poznali. Policzki miała zarumienione, zaś oczy wilgotne. Zapomniał już prawie, jak bardzo podobała mu się ta jej smutna twarz. Odsunęła się z krzesłem od stołu, a kiedy wstała, Charlie ze zdziwieniem spostrzegł, że jest w ciąży. Poczul dziwne ukłucie nostalgii na widok jej brzucha, krótki, lecz ostry ból, do odczuwania którego nawet nie wiedział, że jest zdolny. Napomniął sobie zaraz, że przecież jej nienawidzi.

— Przepraszam — rzekła, przeciskając się obok Pete'a.

Betsy spojrzała na Charliego, układając usta tak, że zdawało mu się, iż zawarczała. Charlie zawsze ją lubił, prawdę mówiąc, wręcz durzył się w niej, gdy jego małżeństwo przechodziło jeden z wielu kryzysów, i fakt, że zwróciła na niego uwagę choćby i w ten sposób, mile go w tej chwili polechtał. Betsy miała już coś powiedzieć, lecz się powstrzymała, wstała i wyszła za Sarabeth z pokoju, przystając na moment w drzwiach, by pochnąć Pete'a:

— Ty sukinsynu! — syknęła cicho.

Pete wyszczerzył się w uśmiechu, ale daleko mu było do serdecznego ubawu, jaki przewidywał i obiecywał.

— Jak ci idzie w pracy, Charlie? — spytała Dorrie.

— Ja i ten tutaj mafioso musieliśmy złożyć pewnemu gościowi propozycję nie do odrzucenia i dlatego tak się kurewsko spóźniliśmy.

Dorrie mimo woli skrzywiła się tylko nieznacznie, a poza tym zdawało się, że w ogóle go nie słyszy.

— W pracy wszystko porządku — odparł Charlie.

Dorrie po raz pierwszy zwróciła się przeciw niemu w trakcie pozornie niewinnego sporu o to, czy Spencer jest już na tyle duży, by mieć rower. Walka na krzyki odbyła się też po tym, jak ogłosił swoją decyzję o porzuceniu odnoszącej średnie sukcesy własnej kancelarii prawniczej i zaangażowaniu się w pracę na pełen etat dla Billa Gerarda i Vica Cavanaugha. Od tamtej pory Charlie konsekwentnie unikał towarzystwa teściowej, nawet na największych rodzinnych uroczystościach, aż do samego rozwodu. Nieobecność zięcia w tamtym czasie stała się jakby rodzinną tradycją Hennestonów.

— A kto to jest? — ryknął starszy mężczyzna na drugim końcu stołu.

— Pamiętasz przecież Charliego — odkrzyknęła Dorrie.

— Nie Charlie, *on* — powiedział, wskazując na Charliego.

— To jest właśnie Charlie, Bert. Prawdziwy ojciec Spencera i Melissy.

Stary pokazał na gotującego się ze złości męża Sarabeth. — Myślałam, że to jest Charlie.

— To jest Tony. A teraz cicho bądź.

Spencer wstał wtedy tak gwałtownie, że przewrócił krzesło i musiał się chwycić krawędzi stołu, żeby nie stracić równowagi. — To Tony jest moim prawdziwym tatą! A jego w ogóle nie znam!

Charlie był szczerze zdumiony, jak ten mały sukinkot szybko rośnie. Kiedy on go ostatnio widział? Chyba nie dalej jak parę miesięcy temu.

— Nawet nie przysłałeś nam w tym roku prezentów!

Cholera, pomyślał Charlie, to fakt. Jak to się mogło stać?

Melissa podniosła na niego wzrok.

— Nie lubię Tony'ego — wyszczebiotała. Nie zabrzmiało to szczerze, ale miło było coś takiego usłyszeć.

— Chyba lepiej by było, gdybyś już poszedł. Może mógłbyś znów odwiedzić Pete'a. Zdaje się, że Betsy i dzieci zostaną u nas na noc.

— Nikt mnie nie musi odwozić, ty suko — powiedział Pete, ale był już pokonany i sam o tym wiedział.

— Do zobaczenia, Charlie. — Dorrie uśmiechnęła się do niego i usiadła.

— Cóż, dziękuję jeszcze za wino. — Przechylił niemal pełny kieliszek i wypił wszystko.

Melissa ciągnęła go za rękę. — Wiesz co? Grałam w sztuce, w *Opowieści wigilijnej*, o tym panu Bobie Cratchicie.

— No i co z tego — wrzasnął Spencer po drugiej stronie stołu. — Byłaś tylko siostrą Małego Tima i nie mówiłaś ani jednej kwestii.

Melissa pokazała bratu język.

— A on nawet nie przyszedł cię zobaczyć! — wytknął Spencer Charliemu i wybiegł z pokoju, po drodze wpisując się na listę krewniaków obszturchujących Pete'a kolejnym dobrze wymierzonym ciosem prosto w brzuch.

— Przyszedłby, gdyby mama wysłała mu zaproszenie! — krzyknęła za nim Melissa.

Mąż Sarabeth popatrzył za wychodzącym Spencerem z pełnym aprobaty, prawie nie hamowanym uśmiechem, zaś Charlie nagle zdał sobie sprawę, jak tamten jest potężnie zbudowany. Był tłusty, to prawda, ale miał przy tym mocne, wielkie jak bochny chleba dłonie i Charlie nie miał wątpliwości, że facet mógłby go stłuc na kwaśne jabłko, gdyby tylko chciał. Zastanawiając się, ile czasu jeszcze upłynie, zanim Tony zacznie migać się od tych rodzinnych uroczystości, Charlie uściskał Melissę i wyszedł z jadalni.

Pete przygasał wyraźnie, kiedy pokonywali salon, kierując się do drzwi. Triumfalny pogrom, jakiego się spodziewał, nie nastąpił, a Charlie podejrzewał, że na dłuższą metę takie milczące traktowanie może okazać się skutecznym sposobem na podporządkowanie Pete'a, o ile sam postanowi i będzie miał przyzwolenie na to, by zostać.

Kiedy otwierał drzwi, z jadalni wyskoczyła i podbiegła do niego Melissa. — Przyjdiesz mnie odwiedzić w tym tygodniu?

— Oczywiście, skarbie — odparł Charlie, a ona odwróciła się i biegiem wróciła do stołu.

Szli potem z Petem przez pokryty chrzęszczącym śniegiem trawnik do samochodu. Charlie jeszcze się odwrócił i obejrzał, i przez moment zdawało mu się, że widzi Sarabeth patrzącą na niego z okna sypialni na piętrze, ale możliwe, że była to jej siostra. Zaciągnęła zasłony, zanim zdążył się upewnić.

Pete odezwał się dopiero po paru minutach.

— Ale z tej Dorrie jest suka. — Mówił powoli, ze zdumieniem, jakby doznał nagłego objawienia. — Cholera, zapomnieliśmy też napełnić flaszkę.

— Zawieźć cię do domu?

Jechali na zachód i Charlie chciał odstawić Pete'a przed powrotem do Złotej Klatki z niespodzianką dla Renaty.

— Zachowam resztę koki od Triny na później, ale musimy chyba stanąć jeszcze gdzieś na drinka. Tylko jednego, a potem najwyższa pora złożyć główkę na podusi i śnić o cukiereczkach, dobrych starych elfach i innych tych pierdołach. — Oparł głowę o szybę w drzwiach i zamknął oczy. — Nie będę spał. Szturchnij mnie tylko, jak znajdziemy jakąś czynną knajpę.

Kilka minut później Charlie zjechał z szosy na dojazdówkę prowadzącą na parking Klubu-Restauracji Terwilligera. Pete poruszył się, odchrząknął i rozejrzał dokoła.

— Gdzie jesteśmy?

— U Terwilligera.

Knajpa tkwiła wciśnięta w kącie parkingu przed centrum handlowym.

— Kurwa, nie cierpię tego miejsca. Rozwodnione drinki i te stare reklamy lekarstw na wszystkich ścianach.

— Jest Wigilia. Nie znajdziemy innej czynnej knajpy w tej części miasta.

— Fakt — zgodził się Pete. — Ale i tak jej nie cierpię. — Otworzył drzwi samochodu.

— Wiesz, że to jednak całkiem niezłe miejsce, jak chce się zarwać dupcie...

— Wątpię, żeby poszczęściło mi się dwa razy w ciągu jednego wieczora. Nawet gdyby mi stanął. — Pete się nachmurzył i wysiadł, ładując się w śnieg sięgający mu do połowy łydek. Na parkingu stały jeszcze tylko trzy samochody. — Masz tutaj kartę członkowską?

— Mam karty członkowskie wszędzie.

Młoda kobieta za barem ustawiała czyste szklanki. Nie przerwała, kiedy weszli. — Zamykamy. Przykro mi.

— Chcemy tylko jednego drinka — rzekł Charlie.

— Po jednym dla każdego — dopowiedział Pete, w razie gdyby źle zrozumiała i próbowała im podać jednego na spółkę.

— Zamykam — powiedziała.

Nie miała ochoty z nimi dyskutować. Była całkiem ładna, pomyślał Charlie, wyglądała jak jedna z tych studentek ze Środkowego Zachodu o nieco pulchnej twarzy i prostych kasztanowych włosach do ramion. Wydawała mu się za młoda jak na barmankę. W kącie sali mocno zbudowany młody człowiek układał krzesła na stołach. Światła wzdłuż ścian były pogaszone i tylko okrągły bar pośrodku pomieszczenia pozostawał oświetlony.

— To dlaczego drzwi nie są zamknięte na klucz? Na moim zegarku jest za osiem jedenasta — powiedział Pete. — Żądam drinka.

— Zamknęłam już kasę.

— Chodź, Pete, idziemy stąd. — Charlie złapał Pete'a za łokieć.

Pete strącił jego rękę. — Wie pani, że ten tutaj mój brat jest mafiossem?

— Daj spokój, Pete — rzucił Charlie. — Przepraszam, kotku.

Spojrzała na potężnego chłopaka ustawiającego krzesła. Wtedy też zmiękła. — Coś wam powiem — rzekła. — Jeśli od razu wypijecie i pójdziecie, to dam wam drinka na koszt firmy. Nie chcę po prostu znów otwierać kasy.

Koniec końców pozwoliła im wypić dwie kolejki. Przy drugiej dołączyła do nich wraz z kolegą. Oboje byli z daleka, studiowali na tutejszym uniwersytecie i nie mogli pojechać do domu na święta.

— No, to ja jeszcze was o coś zapytam. O co chodzi z tymi reklamami? — ryknął Pete.

— Z jakimi reklamami?

Powiódł ręką dokoła sali. — Z tymi wszystkimi starymi reklamami. I z innymi rupieciami na ścianach. Po co, kurwa, wieszac na ścianie stary rower?

— Nie wiem — odparła barmanka. — Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

— Ani ja — dodał chłopak. — Chociaż teraz, jak tak pomyślę, też wydaje mi się to głupie.

Chyba zrobiłem na tych dwojgu wrażenie, Charlie. — Stali pod daszkiem przed wejściem, a chłopak od środka zamykał za nimi drzwi. — Wiesz, jeżeli ten gówniarz jej dzisiaj nie przeleci, to tylko dlatego, że nawet nie spróbuje.

— Sam nie wiem. Ona miała na szyi łańcuszek z wisiorkiem w kształcie tej Jezusowej ryby.

— Pieprzyć rybie wisiorki. Nie widziałeś, jak wymachiwała tą swoją margaritą? I to nie był bynajmniej słaby drink. Moim zdaniem wprowadzi tego młodego człowieka tam w knajpie do Koleżeńskiej Krucjaty na rzecz Miłości Francuskiej. — Wziął głęboki haust mroźnego powietrza. — Tego mi było trzeba. Wiesz, jak to jest, kiedy wypijesz akurat tego jednego drinka, który wprowadzi cię w stan upojenia idealnego? To właśnie była ta szklaneczka. Czuję się jak młody bóg. Jedziemy.

Dał krok z oblodzonego chodnika na parking i się poślizgnął.

— Ja pieprzę. Charlie, przewróciłem się.

— I coś ci się stało?

— Jestem za bardzo pijany, żeby miało mi się coś stać.

Podnosił się z mozołem, ślizgał się i przewracał znowu, a Charlie stał i patrzył. W końcu zdołał dźwignąć się na kolana. Samochód stał może ze dwa i pół metra dalej.

— Dojdziesz?

— Pewnie, kurwa, że dojdę. Tylko nie mów potem nikomu, że to widziałeś — powiedział i ruszył na czworakach do drzwi. Otworzył je, wepchnął głowę i barki do środka i zaczął nagle zwracać pochłanianą przez

dziewięć godzin gorzałę i barowe przekąski na podłogę przed fotelem pasażera.

— Na litość boską, Pete, rzygaj w cholerę na śnieg, a nie do mojego lincolna!

Pete przestał na moment, podniósł na Charliego czerwone ślepie, rękawem marynarki otarł usta i zaczął znów haftować potężnie do wnętrza wozu.

Gotów jesteś wracać do domu? — spytał Charlie, wyjeżdżając z parkingu na dojazdówkę.

Pete ze skruczą uprzątnął przedtem z grubsza swój bałagan z samochodu na śnieg.

— Znam swoje możliwości, Charlie. Tak, zawieź mnie do domu. — Głos miał ochrypły. Popatrzył niewidzącym wzrokiem przez boczną szybę, a potem znów na Charliego. — Masz papierosa? Do pełni szczęścia teraz brakuje mi tylko fajki.

— Rzuciłem palenie trzy lata temu.

Tak naprawdę miał w schowku ponad pół paczki, ale nie mógł znieść myśli o zapachu dymu z papierosa mieszającym się z coraz bardziej dokuczliwym smrodem wymiocin. Opuścił szybę po swojej stronie, żeby choć trochę rozproszyć odór.

— Charlie, zamknij to okno, zimno mi — jęknął Pete. Powielią miał opuszczone, a ręce założone na piersi.

— Przeżyjesz — odparł Charlie i uchylił też nieco szybę Pete'a, robiąc przeciąg.

Pomimo wiejącego mu w twarz zimnego wiatru Pete spał głęboko, gdy dotarli do jego domu, a Charlie dopiero po dziesięciu minutach zdołał ocucić go na tyle, by wysiadł z wozu o własnych siłach. Gdyby całe ciało Pete'a nie było śliskie od rzygowin, Charlie zwyczajnie chwyciłby go i sam zawlókł pod drzwi.

Pete długo jeszcze siedział z nogami wystawionymi z samochodu, odychając głęboko i szykując się powoli do startu ku wejściu.

— Chodź, pokażę ci dom, ładny jest, Betsy sporo w nim pozmieniała od twojej ostatniej wizyty. W tym roku nawet wyremontowała strych. Musiałem zabić chyba ze sto pięćdziesiąt nietoperzy.

— Mieliście nietoperze?
— Jak chyba każdy dom w tym mieście, o ile się wie, gdzie szukać. Mieszkamy w nietoperzowej stolicy Środkowo-Zachodnich Stanów Zjednoczonych!

Gdy tylko zdołał otworzyć drzwi, Pete dowlókł się do kanapy w salonie i runął na nią, paćkając tapicerkę w kwaśnych, zaschniętych już trochę wymiocinach.

— Pomóc ci położyć się do łóżka? — spytał Charlie, ale Pete spał już jak zabity.

Charlie chodził po pokoju, przyglądając się obrazkom na ścianach, kupionym przez Betsy kosztownym drobiazgom, drogim meblom. Był ciekaw, ile kosztowała kanapa, którą właśnie rujnował Pete. W kącie stała choinka ozdobiona drobnymi, gustownymi świecidełkami stylizowanymi na te z początku wieku i — Charlie musiał spojrzeć powtórnie, by się upewnić, że dobrze zobaczył — maleńkimi świeczkami zamiast elektrycznych lampek. Przyszło mu do głowy, że w przeciwieństwie do jego dawnych fantazji i pomimo tej słodkiej twarzyczki życie z Betsy okazałoby się pewnie bardziej przerażające niż życie z Sarabeth.

W garażu stał całkiem nowy mercedes benz. Albo ktoś przyjechał po Betsy i dzieciaki i zawiózł ich dziś wieczorem, albo ona i Pete mieli trzy samochody, a jednym z nich był nowy merc. Charlie schylił się i zajrzał przez okno z prawej strony. W stacyjce tkwiły kluczyki. Wrócił do kuchni i napisał wiadomość:

Pete,

Mój wóz cuchnie jak diabli, więc pożyczam Twój. Bądź tak miły i NIE CZYŚĆ lincolna, tylko zwróć go prawowitemu właścicielowi. Po świętach zaparkuj go w centrum przed Chłodnią Carswella, zostawiając silnik na chodzie i włączone na maksa ogrzewanie.

Charlie

W mercedesie musiał odsunąć fotel o jakieś trzydzieści centymetrów, żeby usiąść wygodnie, a i kierownica opuszczona była zbyt nisko. To i umazane szminką chusteczki w popielniczce pozwoliły mu się domyślić, że siedzi w wozie należącym do Betsy. Był równie wygodny jak lincoln,

może nawet wygodniejszy, mimo że o jakąś jedną trzecią krótszy. Przygazował na luzie. Silnik pracował nieźle. Włączył radio i zdumiał się, słysząc, jak głośno i wyraźnie odbiera, nawet na długich falach.

— Pieprzyć lincolna — mruknął, gdy brama garażu podniosła się i ruszył powoli podjazdem, lecz zaraz poczuł się winny i niewierny, widząc przycupniętego na ulicy adresata swego przekleństwa.

Zatrzymał mercedesa i przedarł się przez zasy do lincolna. Otworzył drzwi i ostatni raz zajrzał do środka. Jedynym przedmiotem przedstawiającym w nim jakąkolwiek wartość był nowy atlas samochodowy, który znalazł się na drodze strumienia wymiocin Pete'a. Z kieszeni marynarki wyjął kluczyki i wetknął do stacyjki, po czym przypomniał sobie to, o czym omal nie zapomniał. Otworzył schowek, wyjął kopertę z negatywem i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Chciało mu się płakać, kiedy wracał do mercedesa. Lincoln należał już do przeszłości.

Już po raz trzeci tego wieczora wjechał na parking przed Złotą Klatką i zajął puste miejsce obok poobijanego transama. Przed knajpą stało teraz w sumie osiem samochodów pokrytych śnieżnymi czapami o różnej grubości.

Przechodząc obok, spojrzął na transama. Z przerdzewiałej rury wydechowej buchały gęste chmury spalin, okna były od wewnątrz zaparowane, a cały gruchot podskakiwał i kołysał się na boki. Chryste, pomyślał Charlie, najpierw Trina i Pete, a teraz to. Jak można pieprzyć się w samochodzie w takie zimno?

W środku Amy Sue prezentowała się na scenie w samych skąpych niebieskich majteczkach. Jakaś piętnastka widzów, z tego kilku ubranych jak do kościoła, gapiło się na wygibasy jej chudego tułowia. Za barem Sidney w założonym już płaszczu rozmawiał z Renatą zbyt cicho, by Charlie mógł cokolwiek pochwycić. Nie wyglądało na to, by sprawy miały przyjąć dla barmana korzystny obrót.

— Mogę z tobą chwilę pogadać, Renato? — spytał Charlie.

— Za moment — odparła. — Mam tu mały problem.

Wróciła do rozmowy z Sidneyem, którego głos z rozpaczny brzmiał o dobrą oktawę niżej niż zwykle.

— Renata, gdyby to nie chodziło o moje dzieci, powiedziałbym, pieprzyć to, ale muszę je odebrać. Moja eks znów zawlecze mnie do sądu, jak się o tym dowie.

— Nie rozumiem tylko, dlaczego nie powiesz tej starej suce, żeby się lepiej wystrzeliła na księżyc.

— Powiedziałem — odparł Sidney. — Ale ona uparła się jak cholera na ten Ogród Bogów.

— Parszywa z niej babunia moim zdaniem.
— To fakt.
— No dobra, znikaj. Ale policzę ci to jako wolny wieczór.
— W porządku. Dzięki, Renata. — Sidney wyszedł z za baru. — Na razie, Charlie.

— Cholera, nie mam ochoty stać dzisiaj za barem, Charlie. Po co ludzi w ogóle mają dzieci? Komplikują przez to życie nie tylko sobie, ale i wszystkim dookoła. Ty też masz dziecko, prawda?

— Dwójkę.
— Ale nie pozwalasz, żeby rządziły twoim życiem, co?
— Raczej nie. Czy Sidney mówił ci, że coś dla ciebie mam?
— Nie, za bardzo był zajęty zawodzeniem o swoich dzieciakach i o tym, że musi wcześniej wyjść. Co tam masz? Gwiazdkowy prezent?

— A możemy pójść do twojego biura?

Uniosła jedną brew. — Jasne. — Krzyknęła w stronę zaplecza: — Anita! Przyjdź tutaj i zajmij się przez chwilę barem.

Zaraz pojawiła się śliczna, wysoka Murzynka w jasnozielonym bikini, podejrzliwie marszcząc brwi i spoglądając na Renatę. Uśmiechnęła się na widok Charliego. — Witam, mecenasie, dawno się nie widzieliśmy. — Głos Anity był tak niski, że dopóki Charlie nie zobaczył jej nago na scenie, podejrzewał, że mogła kiedyś być facetem. — Mam teraz przerwę — przypomniała. — Długo to potrwa?

— Być może. Ale przestań jęczeć. Masz tylko nalewać piwo.

Chodź, Charlie, zobaczmy, co tak nosi cię przez całą Wigilię...

Utykasz, Charlie — zauważyła potem Renata.

— To przez ćwiczenia marynarki wojennej w sześćdziesiątym drugim. Załatwiłem sobie wtedy kolano.

— Jasne. Siadaj.

Biuro było malutkie, ale Renata zadała sobie trud i przestawiła krzesło z za biurka, stawiając je obok niego. Pokazała Charliemu, by usiadł, a sama też zajęła miejsce, w wyrafinowany sposób i z wdziękiem zakładając powoli nogę na nogę, a potem bujając nią rytmicznie i robiąc stopą kółka. Pod rajstopami widać było niezwykle delikatną złotą bransoletkę, założoną dokładnie pomiędzy zgrabną wypukłością prawej kostki i czarnym czółenkiem, a Charlie uświadomił sobie nagle ogromną potrzebę

przełknięcia i był pewien, że Renata doskonale to usłyszy.

— Słyszałam dziś o tobie, Charlie, zabawną historię...

— Jaką? — Zdusił w sobie chęć patrzenia na jej nogi.

— Podobno podarowałeś dziewczynom prowizje. Podobno stawiałeś im drinki. To do ciebie w ogóle niepodobne.

Znów przełknął. — Kto ci powiedział?

— Nieważne. Co tam dla mnie masz?

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął kopertę. — Wesołych świąt — powiedział, podając ją Renacie.

Rozdarła kopertę, wzięła głęboki wdech i popatrzyła na Charliego. Szczeka jej opadła, a wargi rozchyliły się nieco. W końcu coś cię ruszyło, pomyślał, lecz w tym momencie Renata wzięła się w garść, zacisnęła z powrotem usta i zmrużyła oczy. Podniosła negatyw za jeden perforowany brzeg do światła stojącej lampy.

— Boże, jest! Nie masz przypadkiem odbitki, co?

— Nie, ale widziałem jedną i była ostra jak żyłeta. Widzisz jego lewą rękę, tę, którą trzyma ją za nadgarstek? Widać obrączkę, wyraźnie jak na dłoni. I prawie można odczytać drobny druk na słóiczku z wazeliną.

— Kurczę, z małym w tyłku Cupcake... — Zmrużyła oczy. — Ile to Billa kosztowało?

— Fotograf dostał dwie i pół stowy. Cupcake miała dostać tyle samo, ale podniosła raban, jak się dowiedziała, że chce ją wziąć od tyłu, i Billy musiał dać jej równo cztery seciaki.

Renata prychnęła. — Daj spokój. Tak jakby nigdy wcześniej nikt jej nie rznął w tyłek.

— Twierdziła, że zawsze robiła to tylko z miłości.

— Hm. Może i tak. Różnie to z nimi bywa. — Zdjęła z lampy abażur i dalej podziwiała negatyw, mrużąc oczy w świetle gołej żarówki. — Powinam chyba teraz zapytać, co chcesz w zamian?

— Nic. To prezent na Gwiazdkę. Gerard i tak ma lokal poza granicami miasta, więc nie potrzebuje haka na komisję.

— Daj spokój, Charlie. Gerard nie para się pieprzoną dobroczynnością. I jakoś nie wyobrażam sobie, żeby to on albo Vic podarował mi to zdjętko. O co ci chodzi?

- O nic.
- Gówno prawda.

Oparła się, zdjęła nogę z nogi i pochyliła się w przód z obiema stopami na podłodze i z dłońmi na kolanach. Przyglądała się Charliemu przez chwilę, po czym wyprostowała się i znów założyła nogę na nogę. Odgłos nylonu ocierającego się o nylon raz jeszcze sprawił, że Charlie musiał przelknąć. Jej nogi były o ćwierć tonu ciemniejsze od nagiej skóry, a on wyobraził sobie, że wyciąga rękę i dotyka jej kolana, pozostawiając na nim swą dłoń i rozkoszując się chłodnym dotykiem nylonu i bijącym spod niego ciepłem. Przechyliła głowę na bok i przyglądała mu się, jak gdyby widziała go po raz pierwszy w życiu.

- Albo zwariowałeś, albo masz zamiar prysnąć z miasta.
- Nieprawda.
- Pewnie skubałeś od jakiegoś czasu swoich chlebobawców, co?
- Muszę już iść. — Zaczął się podnosić.
- Zaczekaj. — Wstała szybciej od niego i pchnęła go z powrotem na krzesło jedną smukłą ręką. — Wykorzystam to natychmiast, to znaczy w Boże Narodzenie, ale potem będę musiała udowodnić Billowi Gerardowi, że nie zamierzałam go orżnąć. Napisz dla mnie liścik, w którym przekażesz mi negatyw, twierdząc, że to Gerard kazał ci to zrobić.

Charlie był przerażony. — Chcesz to na piśmie?

- I pokażę tylko Gerardowi. Ja będę wobec niego czysta, a ciebie i tak już od dawna nie będzie w mieście. — Przyłożyła mu dłoń do policzka. — To naprawdę miłe z twojej strony, Charlie.

Twarz go piekła. Renata otworzyła szufladę w biurku, żeby wyjąć kartkę papieru i długopis.

Droga Renato,

Bill Gerard chce, żebyś wykorzystała ten negatyw tak, jak sama uznasz za stosowne.

Charlie Arglist

Siedział przy biurku, a ona stała tuż za nim, lewą pierś przyciskając do jego prawego barku, a ramieniem obejmując drugi bark.

- To jest dobre. Krótko i zwięźle — rzekła mu cicho do ucha.

Pod biurkiem Charlie miał już prawie erekcję, hamowaną tylko przez uciskające spodnie i nadludzki wysiłek woli. Wzięła pierwsze trzy nieudane wersje i przyłożyła do nich jednorazową zapalniczkę, trzymając nad koszem na śmieci, a tymczasem on złożył list i włożył go do koperty razem z negatywem.

— Wygląda na to, że z Tease-O-Ramy wszyscy ostatnio znikają. Ciekawe dlaczego.

Charlie poczuł lekki ucisk w gardle.

— Skończyłaś już, Renata? — Drzwi się otworzyły i zajrzała Anita.

— Prawie. Wytrzymaj jeszcze chwilę.

— Muszę już iść na scenę. Amy Sue potrzebuje zmienniczki, a ktoś musi się zająć barem.

— A gdzie się, do cholery, podziała Rusti?

— Sidney mówił, że wyszła z jakimś gościem, kiedy nie było ruchu.

— No tak. Rozumiem. Zaraz tam będę. Szlag by to trafił.

Anita wzruszyła ramionami i odeszła.

— Co jeszcze zaplanowałeś na tę Wigilię, Charlie?

— Nic.

— Widziałeś się już z dziećmi?

— Tak.

— Czuję, że jestem ci coś winna. — Uśmiechnęła się i przysunęła bliżej.

Charlie prawie zwił się na krześle. — Nie zrobiłem tego, bo czegoś od ciebie chcę... — zaczął.

— Wydajesz się nieco spięty, Charlie. Chodź, dzięki tej twojej spronej fotce moje dziewczyny będą tańczyć nago, a piwo nie przestanie lać się strumieniami jeszcze przez długi czas... — Znowu dotknęła jego policzka, lekko drapiąc go po uchu długimi paznokciami. — Myślę, że to trzeba uczcić... — Pochyliła się i musnęła wargami jego usta. — Może wpadniesz tu znowu o drugiej i pojedziesz ze mną do domu?

— O drugiej muszę się z kimś spotkać. — Poczul, jak coś go ściska w piersi. Nie słyszał jeszcze, żeby ktoś był zaproszony do Renaty do domu.

— Szkoda. Więc chodź do baru, to postawię ci jeszcze jedno piwo, zanim nas opuścisz.

Ruszył za nią do drzwi biura wpatrzony w biodra, które kołysały się jak rozbujany kościelny dzwon.

Mając na koncie jeszcze jedno niepotrzebne do szczęścia piwo, Charlie otworzył drzwi i wyszedł z suchego gorąca Złotej Klatki na sypiący śnieg. Pośrodku parkingu stało w kółku kilku mężczyzn, z czego część wznosiła okrzyki, a paru obejrzało się nerwowo na Charliego. Rusti i Ronny opierali się o transama. Jego silnik wciąż warczał, ale kołysanie ustało. Rusti nadal miała na sobie kozuch Ronny'ego, zaś Ronny miał na czole świeże otarcie, nieźle komponujące się z jej podbitym okiem; wyciągnięta ze spodni koszula zwisała mu nad rozpiętym paskiem. Charlie podszedł i dołączył do kółka.

Sidney trzymał akurat gówniarza o długich blond włosach, w puchowej kamizelce, ale z gołymi rękami, wciskając mu twarz w brudny śnieg parkingu i boleśnie wykręcając do tyłu lewą rękę. Sidney był taki czerwony na twarzy i dyszał tak ciężko, że Charlie pomyślał, iż za chwilę straci przytomność. Z kącika ust kapiała mu ślina, zamarzając na skórze.

— Tylko nie lewą, kurwa, nie lewą rękę, nie lewą — błagał chłopak z twarzą mokrą od krwi i roztopionego śniegu.

Jakiś facet w pomarańczowej kurtce narciarskiej i narciarskiej czapce odwrócił głowę w stronę Charliego i uśmiechnął się szeroko. — Łamie gościowi palce.

Chrupnięcie i niemal jednoczesny wrzask skupiły uwagę tamtego znów na zapasach. Prawa ręka chłopaka leżała już bezwładnie wyciągnięta w bok, paskudnie spuchnięta.

— Charlie! — Rusti biegła do niego na szeroko rozstawionych nogach, brnąc w śniegu. — On go zabije!

Charlie obejrzał się na Sidneya. Wydawało się to całkiem prawdopodobne. — Co mam twoim zdaniem zrobić?

Chłopak wydał z siebie piskliwy jęk, gdy Sidney złamał mu kolejny palec.

— Powstrzymaj go! Przystanie, jeśli ty mu każesz!

Charlie zrobił krok w przód, mijając gapiów, i przykląkł jakieś półtora metra od miejsca, gdzie Sidney trudził się, by dobrze złapać trzeci palec lewej ręki chłopaka.

— Sidney, jako prawnik radzę ci, żebyś go puścił.

Sidney jakby go nie słyszał i nie był nawet świadom jego obecności. Oczy chłopaka napotkały na moment oczy Charliego, po czym odwróciły się w rozpacz.

— To jest napaść z pobiciem. — Nie uzyskując ze strony Sidneya żadnej reakcji, próbował wymyślić, co by to jeszcze mogło być: — Poważne uszkodzenie ciała. Rozmyślne okaleczenie. Przy świadkach. Możesz się przez to wpakować w bardzo wielkie kłopoty.

Sidney podniósł na niego wzrok. — Siedem z głowy—powiedział zdyszczanym głosem. Skrzywił się, odginając do tyłu palec, jednak nie rozległ się trzask, a jedynie żalosne wycie chłopaka. Wygiął palec znowu, mocniej, i tym razem dało się słyszeć chrupnięcie, a po nim kolejny pełen bólu jęk. — Osiem z głowy.

— Czy zamierzasz poprzestać na tych dziesięciu palcach?

Sidney znów na niego spojrział. — Tak, o ile mi nie powiesz, że gnojek nauczy się grać na gitarze palcami u nóg.

Podczas gdy Sidney usiłował dobrze chwycić kolejny palec, Charlie podniósł się i podszedł do transama. Chłopak zaskamlał znowu ku uciesze gapiów.

— Nie możesz go powstrzymać? — zawodziła Rusti.

— Jeszcze tylko jeden palec i będzie po wszystkim. A tak w ogóle to co się stało?

— No wiesz, najpierw wybraliśmy się na przejażdżkę... Ronny i ja... A potem gadaliśmy i gadaliśmy o naszych szkolnych czasach i takich tam... I o tym, jak Ronny się strasznie we mnie kochał, a ja nic nie wiedziałam... I jak chodziliśmy razem tylko na chemię i angielski, a ja nie zwracałam na niego najmniejszej uwagi... I jak podczas tej dzisiejszej przejażdżki odkryłam, jaki jest słodki...

— Może pominiesz tę część opowieści i powiesz od razu, dlaczego Sidney łamie temu młodzieńcowi ręce.

— No wiesz, wróciliśmy tutaj, żebyśmy zdążyła na swoją zmianę... W razie gdyby znów zrobił się ruch... I siedzieliśmy, i znów gadaliśmy, i tak

od słowa do słowa... — Zaczerwieniła się, a Ronny zaraz przytulił ją do siebie.

— Pobieramy się — oznajmił, a ona uśmiechnęła się do niego promiennie.

Charlie spróbował raz jeszcze. Pokazał Sidneya, który, dopingowany przez gapiów, starał się złapać porządnie ostatni palec. — Rusti, dlaczego on to robi?

— No wiesz, ni stąd, ni zowąd drzwi samochodu otworzył Stroke.

— Stroke?

— Tak ma na imię. Tak ma na imię mój chłopak. Chyba już były chłopak. — Rzuciła spojrzenie Ronny'emu, który uśmiechnął się lekko. — Tak czy siak, próbował wyciągnąć mnie z tego samochodu, wrzeszczał, kłął i groził, i uderzył Ronny'ego w czoło, i wtedy właśnie zjawił się Sidney, i odciągnął go od samochodu, zawlókł tam i zaczął mu łamać palce.

— Sam bym mu skopał tyłek, tylko że nie zdążyłem — powiedział Ronny.

Rusti chwyciła go za rękę i przyglądała się w nabożnym skupieniu jego twarzy. Jej uwagi nie odwrócił nawet ostatni przejmujący trzask i towarzyszący mu krzyk, tym razem wyrażający tyleż cierpienie, co ulgę.

Sidney wstał i podszedł chwiejnie do transama. Gapie zaczęły omijać kompletnie wycieńczonego, chlipiącego Stroke'a, kierując się do Złotej Klatki.

Sidney oparł się o wóz, wyczerpany. — Nie chcę go tu więcej widzieć, zrozumiano?

— Zrozumiano — odparła Rusti.

— To dobrze — powiedział Sidney. Spojrzał groźnie na Ronny'ego, a chłopak odwrócił wzrok. — Spróbuj z nią kiedyś takich numerów, a już wiesz, co cię czeka. — Ronny zbladł i skinał głową, a Sidney poklepał go przyjaźnie po ramieniu. — Dobry chłopak.

— Sidney, może powinienes stąd zniknąć, zanim pojawią się gliny...

— No — odparł Sidney, którego oddech stopniowo się wyrównywał. — Zresztą i tak muszę się już zbierać po dzieciaki. Cholera, tracę formę. — Kiwnął głową w stronę drzwi wejściowych. — Rusti, idź tam już lepiej

i bierz się do roboty. Zostały tylko Anita i Amy Sue. Renata się wścieka.

Ronny odezwał się słabym głosem: — Rusti skończyła z tańcem. — Stanął pomiędzy Rusti i Sidneyem, a Sidney patrzył na niego z niedowierzaniem.

— W porządku, Ronny, jeszcze tylko dzisiaj, ten ostatni raz.

— Nie ma mowy — orzekł Ronny. — Postanowiliśmy już, że koniec z tańczeniem.

— Posłuchaj, gnojku, właśnie uratowałem ten twój dumny łeb przed rozplataniem pieprzoną łyżką do opon. Rusti, jeśli nie chcesz wracać dziś do pracy, nie będę naciskał, ale lepiej, żebyś wróciła.

— Wiesz, Ronny, ja nie mogę tak po prostu odejść w środku ruchliwego wieczoru. Przysięgam, że jeszcze tylko dziś i na pewno z tym skończę. Będę tańczyć w domu wyłącznie dla ciebie.

— Już ci powiedziałem... — zaczął, lecz urwał, widząc spojrzenie Sidneya, który zdawał się dokonywać oceny łamliwych części jego ciała. — Tylko dziś i na tym koniec, tak?

Rusti dotknęła rękawa Ronny'ego, starając się go pocieszyć. — Tak. Sidney, czy Ronny może wejść ze mną?

Sidney westchnął. — Może.

Kiedy Rusti i Ronny ramię w ramię wchodzili do Złotej Klatki, na parking wjechał poobijany volkswagen bus, skręcając w ostatnim momencie na widok leżącego na jego drodze Stroke'a i ze zgrzytem ocierając się o bok kombiaka z nalepką „Znajda” na zderzaku. Bus cofnął i ustawił się porządnie, znów omal nie przejeżdżając Stroke'a. Wysiadł z niego facet około czterdziestki, długowłosa, siwobroda, w zszarganej skórzanej kurtce, i przyjrzał się najpierw przodowi swojego pojazdu, potem znacznemu otarciui, jakie zafundował kombiakowi, a na końcu Stroke'owi. Oderwał wzrok od gówniarza i popatrzył niepewnie na Sidneya i Charliego.

— Leżał już tutaj, kiedy wjechałem na parking — próbował się tłumaczyć.

— Może powinniśmy go przenieść, zanim jakiś biedny frajer naprawdę go przejedzie — zasugerował Sidney. — No, dalej, niech nam pan pomoże — zawołał do kierowcy.

— A nie widzieliście, co mu się stało?

— Ruszył na jedną z tancerek z łyżką do opon — oznajmił Sidney, biorąc Stroke'a pod pachy i dźwigając w górę.

— Jest w szoku. Patrzcie na niego...

Twarz Stroke'a była blada, a wzrok rozbiegany. — Moja kapela — mamrotał.

Poprzez wycie wiatru do uszu Charliego dotarł dźwięk policyjnej syreny. — Chodźcie, pospieszmy się — rzucił.

— Chwyćcie go za nogi. Zaniesiemy go na sąsiedni parking.

— Może lepiej wezwać lekarza — zasugerował mężczyzna.

— Racja, Sidney. Ty już jedź. My się nim zajmiemy.

— No dobra. Ale nie cierpię zostawiać nie załatwionych spraw. — Podszedł i wsiadł do pogruchotanego białego falcona.

Kiedy Charlie i człowiek w zszarganej kurtce koniec końców nieśli Stroke'a do Klatki, na parking wjechał radiowóz. Sidney znikł najdalej pół minuty wcześniej. Nieznajomy facet zrobił wielkie oczy na widok policyjnego wozu.

— To ciekawe, że widzimy się już drugi raz tego wieczora, mecenasie — odezwał się jeden z gliniarzy.

— Fakt. — Charlie znów usiłował przypomnieć sobie jego imię.

— Co się tu dzieje? Ktoś z naprzeciwka dzwonił, zgłaszając bójkę.

— Tak naprawdę to sami nie wiemy. Właśnie znaleźliśmy tego gościa, jak tutaj leżał. Myśleliśmy, że stracił przytomność. Chcieliśmy wnieść go do środka, żeby nie zamarznął.

Pierwszy z dwóch gliniarzy wysiadł z samochodu, a Charlie i facet w skórze złożyli swe brzemię na ziemi.

— Moja kapela — mamrotał Stroke. — O kurwa, moja kapela...

— Wygląda na to, że się naniuchał — stwierdził wtedy policjant. A Charlie spojrział szybko na jego naszywkę z nazwiskiem. Wilmington. Tom? Tim? — Cholera, spójrzcie na jego ręce. Nie widzieliście, co się stało?

— Nie. Może trzeba by go zawieźć na pogotowie.

— Hej, Chet, chodź zobaczyć.

Gliniarz zza kółka wysiadł i kucnął obok swojego partnera. — Jezu, Ted — rzekł. — Kto ci to, chłopcze, zrobił?

— Moja kapela — zachlipał Stroke.

- Jest na haju jak stąd do Księżyca — roześmiał się Chet.
- Nie, jest w szoku. Chyba powinniśmy go zawieźć na pogotowie.
Zanieśli Stroke'a do radiowozu i wrzucili na tylną kanapę.
- Wesółych świąt, mecenasie — krzyknął jeszcze gliniarz Ted, kiedy wycofywali z parkingu z powrotem na ulicę.

Osiadłe Charliego znajdowało się kilka kilometrów od zachodnich granic miasta i składało się z przeważnie nie zamieszkanymi, identycznymi, luksusowymi klocków, zaś Charlie bywał tam wyłącznie po to, żeby się przespać. Rok wcześniej ubrał choinkę, prawdziwą, której suche gałęzie i pożółkłe igły wokół stojaka stanowiły już poważne zagrożenie pożarowe w marcu, gdy ją rozbierał. Przystroił ją wtedy dla dzieci, a potem jakoś tak się złożyło, że nawet ich nie zaprosił. Na cieniach ścianach nic nie wisiało, a na wyposażenie salonu składał się jedynie czarny fotel, podnózek do kompletu i mały telewizor. Charlie stał tam teraz w ciemności i zastanawiał się, czy nie włączyć go i nie obejrzeć paru minut jakiegoś filmu, ale bał się, że zaśnie i przegapi spotkanie z Vicem. Dwie walizki stały już gotowe przy drzwiach. Wydawało się, że wytaszczenie ich obu naraz przysporzy mu niemałego kłopotu, i Charlie raz jeszcze zastanowił się, czy nie przepakować się w jedną, ale nie wiedział, ile miejsca będzie potrzebował na pieniądze. Lepiej się zabezpieczyć, mając w odwodzie jedną na poły pustą torbę.

Na lodówce znajdowała się jedyna w całym mieszkaniu ozdoba, wykonany kredkami rysunek klauna, jaki Melissa dała mu przed dwoma laty. Otworzył drzwi i zajrzał do środka, zadając sobie pytanie, czy znajdzie tam coś nadającego się jeszcze do zjedzenia, jednak wszystko to, co kiedyś było jadalne, najwyraźniej już się popsulo. Na półce na drzwiach stał karton z ośmioma jajkami, a on usiłował przypomnieć sobie, kiedy zjadł pozostałe cztery z kupionego tuzina. Pamiętał, że robił jakieś omlety tamtego ranka, kiedy Dora spędziła u niego noc. Kiedy to przestał się

z nią spotykać, jakoś we wrześnieu? Czy może jeszcze wcześniej?

Wszedł do sypialni i po ciemku usiadł na łóżku. Dorę przywiózł tu tylko raz. Prawie zawsze chodzili do niej, głównie dlatego, że u niego było tak pusto. Może powinien do niej zadzwonić na pożegnanie, przeprosić, spróbować wyjaśnić, dlaczego wyjeżdża, może nawet przez wzgląd na dawne czasy zaciągnąć ją do łóżka.

Znów poczuł, że zaczyna mieć erekcję. Co się z nim dzisiaj działo? Może to fakt, że wyjeżdżał z miasta, czynił go takim jurnym, jakaś socjologiczna potrzeba pozostawienia materiału genetycznego przed wyruszeniem dalej. A może to koka niwelowała antyropędowe skutki działania alkoholu. A może wszystko to przez niespotykane bliski kontakt z Renatą i jej niewiarygodną propozycję nagrody. Dobry Boże, czyżby naprawdę zmarnował okazję przelecenia Renaty? Cóż by to było za pożegnanie ze starym miastem...

Potrząsnął głową, zwalczając przepotężne pragnienie położenia się na łóżku. To było bez sensu; pozostając w mieszkaniu dłużej, na pewno by zasnął. Lepiej było wyruszyć na wschód, w stronę domu Vica. Zatrzyma się jeszcze w Baryłce, tam spędzi trochę czasu i może w końcu zdoła zobaczyć się z Tommym. Podniósł walizki i wystawił je za drzwi. Zaczął już przekręcać klucz, lecz zmienił zdanie i odszedł, zostawiając go w zamku. To przynajmniej da im do myślenia.

Jadąc stanową autostradą na wschód w stronę miasta, czuł, że znów zaczyna przysypiać, a do tego dokuczał mu tępy ból w biodrze. Śnieg padał teraz gęsto wielkimi płatkami wirującymi w jasnym świetle jego reflektorów, a widzialność sięgała najwyżej paru metrów. Jechał niecałą sześćdziesiątką, po części z ostrożności, a po części przez słabą, lecz wzrastającą świadomość własnego upojenia. Dojeżdżając do zjazdu z autostrady tuż przy granicy miasta, pod wpływem impulsu skorzystał z niego i ruszył na zachód drogą, która osiemset metrów dalej kończyła się parkingiem za podłużnym parterowym budynkiem. Błędnie ocenił prędkość, wjeżdżając na miejsce parkingowe, i walnął przodem mercedesa w ceglana ścianę. Wysiadł i podszedł obejrzeć szkody. Pękło kilka cegieł, a zderzak merca był porządnie poharatany. Wzruszył ramionami i wszedł do lokalu. Budynek należał do Billa Gerarda, a mercedes do Betsy van

Heuten. Co go obchodziły jakieś tam szkody?

Gdy otwierał drzwi, wiszący nad nimi dzwonek zabręczał głucho i smutno. W środku było ciemno i pachniało amoniakiem.

— Charlie, a już miałem nadzieję, że to klient. — Za kontuarem po-
tężnie zbudowany młody człowiek o niesfornych kręconych włosach po-
chyłał się nad przycinarką do błony filmowej. Miał na sobie podarte nie-
bieskie ogrodniczki i znoszony podkoszulek z długimi rękawami. — To ty
właśnie walnąłeś w ścianę?

— No, ja. Jak leci, Lenny?

— Potrzebny nam nowy projektor w piątce. Ten, który tam jest, co
rusz wciąga filmy.

Charlie skrzywił się na myśl o konieczności wybulenia kasy na nowy
projektor; jeszcze do niego nie dotarło, że to już nie jego problem. — Nie
możemy go po prostu naprawić? — spytał z przyzwyczajenia.

— Był naprawiany już chyba ze sześć razy. Dzisiaj pokaleczył ten
film tak, że nie wiem, czy coś z niego jeszcze zostanie.

— Ale nie ma wielkiego ruchu, co? — spytał.

Lenny rozłożył ręce i powiódł nimi po pustym lokalu. — Jakoś o wpół
do dziewiątej przyszedł jeden żulik i zasnął w dwójce. Poza tym było tak
jak teraz, odkąd tylko zacząłem zmianę. Nie wiem, czy to przez święta,
czy przez śnieżycę, ale przynajmniej mam okazję ponaprawiać filmy.

— To fatalnie, że musisz pracować w święta — rzekł Charlie.

— Zwisa mi to. Rodzinę mam na wschodzie, a sam jestem ateistą.
Noc jak każda inna, jeśli o mnie chodzi.

— W ogóle nie świętujesz Bożego Narodzenia?

— W zasadzie nie... Ale zaczekaj, coś ci pokażę. Mam to w bagażni-
ku w swoim wozie.

Wyszedł, a Charlie wszedł za kontuar i przyjrzał się pudełku od filmu
naprawianego przez młodego człowieka. Na jego okładce młoda blond-
dynka pozowała przed obiektywem z zamkniętymi oczami i rozchyłonymi
wargami odsłaniającymi w bólu i podnieceniu zęby i język. Film nosił
tytuł *Gospoia wpuszczająca tylnymi drzwiami* i stanowił część serii
„Analny koneser”. Na spodzie opakowania widniały reprodukcje okładek
innych tytułów z serii: *Asystentka prof. Zadkoluba*, *Pielęgniarka*

doktora Per Rectum, Pupa-niania, Tyleczek dziewczyny z pomponami, Analna debutantka – wszystko, czego tylko dusza analnego konesera-podglądacza mogła zapragnąć. Raz jeszcze spojrzął na zdjęcie na pudełku, porównując pełen namiętności wyraz twarzy modelki ze śmiertelnym znudzeniem malującym się na twarzy Cupcake sfotografowanej w podobnej sytuacji, i doszedł do wniosku, że Cupcake nie zrobiłaby w pornobiznesie oszałamiającej kariery.

Młody człowiek wrócił, niosąc wielki karton. – Zrobiłem to na zajęcia ze sztuki studyjnej. – Wyciągnął przykrytą płótnem rzecz wysokości jakichś trzydziestu centymetrów i postawił ją na kontuarze obok przycinarki do filmów. – Gotów?

Charlie skinął, tak naprawdę niezbyt zainteresowany. Po odsłonięciu nad figurką leżącego twarzą do ziemi Mikołaja stała Pani Mikołajowa, naga, jeśli nie liczyć wysokich czarnych kozaków, z domalowanymi lubieżnie sutkami i owłosieniem łonowym i z prymitywnym biczem w dłoni. Leżący pod nią Mikołaj miał skąpą białą halezkę i związane ręce. Na obu cherubinowych twarzyczkach wykwitły słodkie uśmiechy.

– Zatytułowałem to: *Witaj, Święty Mikołaju*.

– Niezłe – stwierdził Charlie.

– Sprzedają te laleczki w sklepach z upominkami. Ludzie kupują je i ubierają po swojemu, tworząc własnych Mikołajów i Mikołajowe. Mają na sobie tylko bieliznę, ona halkę, a on bokserki. Więc skojarzenie jakoś tak samo przyszło.

– Co za skojarzenie?

– Ściągnąłem to ustawienie z jednego z tych...

Przebiegł wzrokiem po regale dla sadomasochistów i wyciągnął piśmiśko zatytułowane *Władcze Zdziry*. Przewrócił kilka kartek i podał Charliemu. Było tam zdjęcie pary dokładnie w tej samej pozycji, chociaż władczą kobietą i płaszczący się przed nią mężczyzną byli zdecydowanie młodszy i zgrabniejszy niż Mikołaj i jego żona.

– Dostałem za to szóstkę.

– Całkiem słusznie – orzekł Charlie.

Lenny przykrył figurki płótnem i schował z powrotem do kartonu, po czym obrócił się na stołku i wrócił do klejenia filmu. – To jak sądzisz? Damy radę skołować nowy projektor?

Charlie skrzywił się, nie chcąc obiecywać gotówki, mimo iż wiedział, że sam nie będzie musiał jej wykładać. Od czasu, kiedy wraz z Vicem zaczął prowadzić podwójne księgowanie, stał się niemal ascetycznie oszczędny, gdy chodziło o wydatki firmy, zaś kupno nowego projektora, mimo że konieczne, było kosztem, przed którym migałby się tak długo, jakby się tylko dało. Z drugiej strony, dlaczego miałby się teraz o to kłócić?

- Jasne — rzekł. Za dwa dni i tak miał to już być problem Deacona.
- I nie żartujesz?
- Nie, dlaczego miałbym żartować?
- Nie wiem, ale spodziewałem się, że będę ci musiał truć co najmniej przez pół roku. Super, Charlie.
- No, to wesółych świąt, Lenny — powiedział.

Kierując się drogą na wschód, w stronę stanowej autostrady, słuchając jednym uchem dalszych doniesień policyjnego reportera, tym razem o gwiazdkowym przyjęciu, które przerodziło się w pijacką awanturę i doprowadziło do siedmiu aresztowań, poczuł nagłą potrzebę złożenia wizyty w jeszcze jednym z bastionów swojego imperium w zachodniej części miasta. Nadepnął mocno prawą nogą na hamulec i po raz kolejny obróciło nim gwałtownie na lodzie, znacznie szybciej niż w lincolnie, tak iż przez moment zdawało mu się wręcz, że unosi się w powietrzu. Nawet gdy już zdał sobie sprawę, że zupełnie stracił panowanie nad wozem, odkrył, że wciąż analizuje różnice pomiędzy mercedesem i swoim niezawodnym lincolnem. Inaczej umieszczony środek ciężkości — myślał spokojnie, gdy peryferie miasta wirowały mu przed oczami — dlatego nie zdołałem nad nim zapanować. Nastąpiło potężne szarpnięcie i głęboki, głośny łomot, a mercedes zjechał z pobocza drogi do rowu z wygasłym silnikiem, zapalonymi światłami i radiem, z którego nadal płynęła ku przestrodze słuchaczy relacja ze świątecznej hulanki zamienionej w bijatykę.

Dygotając, siedział w milczeniu przez jakieś pół minuty. W końcu przekreślił w stacyjce kluczyk do pozycji wyłączonej i spróbował włączyć ponownie. Silnik zaskoczył od razu, już przy pierwszej próbie. Charlie wrzucił wsteczny, potem jedynkę i znów wsteczny, i po niecałej minucie

takiego bujania wygrzebał się z rowu i sunął znów drogą na zachód. To wcale nie był talo zły samochód. Musiał przyznać, że nie miał pewności, czy nawet lincoln zapaliłby tak od razu i tak szybko wydostał go z rowu. Jak się już na nowo urządzi, będzie musiał sobie takie cacko sprawić.

Przejechawszy jakieś półtora kilometra, zobaczył jasnożółte światła reklamy umieszczonej na przyczepie zakopanej niemal do połowy w śniegu:

NAJPRZYJEMNIEJSZY MASAŻ W MIEŚCIE DOBRE STAWKI NOWE MASAŻYSTKI

Na dachu wykonanego z bloczków betonowych budynku stał połamany plastikowy szyld przedstawiający prymitywny kobiecy akt i słowa: „SALON MASAŻU DOTYK MIDASA”. Przed wejściem zaparkowane były trzy samochody, wszystkie pokryte trzydziestocentymetrową warstwą śniegu i bez widocznych śladów opon, które prowadziłyby do miejsca, gdzie tkwiły. Były za to inne ślady opon i wgniecenia w śniegu, które wskazywały, że jeszcze całkiem niedawno stały tu dwa inne pojazdy.

Zatrzymał się obok zżartego przez rdzę, zielonego darta, wyłączył silnik w połowie jakiejś świątecznej piosenki i wysiadł, żeby sprawdzić szkody wyrządzone autu w rowie. Na przednim zderzaku przybyło parę wgnieceń, ale podwozie, z tego, co widział, nie ciekło. Sprawdzi ewentualne plamy na śniegu, gdy wróci.

Trzydziestoparoletnia kobieta o krótkich, nastroszonych blond włosach i wielkiej wierze w udoskonalającą moc makijażu siedziała za biurkiem, czytając grube romansidło. Na widok otwierających się drzwi na jej ustach wykwitł uwodzicielski uśmiech, który zgasł natychmiast, choć bez złośliwości, gdy tylko zobaczyła Charliego.

— Ach, to ty. Już myślałam, że będę musiała ruszać do pracy.

— Wesółych świąt, Ivy — zawołał. Jej oczy już zdążyły powrócić do romansidła. — Nie ma ruchu, co?

— Pewnie, że nie ma. Jest Wigilia, a do tego śnieżycy i większość ludzi ma ciekawsze rzeczy do roboty niż jazda taki kawał za miasto po to tylko, żeby dać sobie zrobić dobrze za dwadzieścia dolarów.

— Byli w ogóle jacyś klienci?

— Paru. Głównie goście, którzy byli z żonami i dziećmiakami w kościele, a potem wzięła ich chętką na świńskie gadanie. Jak myślisz, dlaczego z facetami tak się dzieje?

— Nie wiem.

— No widzisz, mieliśmy tu dzisiaj takich dwóch, a w sumie wszystkich może ze czterech. Madelyn była z jednym takim, myślałam, że robi jej krzywdę. Wydierał się bez przerwy: „Ty pierdolona kurwo nie myta!”, tak głośno, że słyszałam tu, w recepcji, więc sprawdziłam przez lustro, patrzę, a on stoi tam w trzyczęściowym garniturze ze spodniami spuszczoneymi do kostek i z fiutem w jej ustach, trzymają za uszy i patrzy, jakby chciał ją zabić. Weszłabym tam, ale Madelyn wiedziała, że patrzę, i dała mi znak, że wszystko w porządku. Po wszystkim dostała pięć dych napiwku. Pięćdziesiąt dolarów! A jak wychodził, zostawił to...

Podowała mu tandetną broszurkę zatytułowaną: „Czy taniec jest godny chrześcijan?” Pod jaskrawoczerwoną kursywą nagłówka dwójka prymitywnie narysowanych dzieciaków, chłopak z fryzurą rekruta i dziewczyna w wywijanych skarpetach, podrygiwała z satanistycznym zapamiętaniem.

— Mam nadzieję, że uświadomiłaś mu, iż sam taniec jest tutaj absolutnie wzbroniony... Madelyn jeszcze nie wyszła?

— Jej zmiana kończy się o drugiej.

— Daj jej jeszcze pięć dych z kasy. To taka świąteczna premia. Dla ciebie też.

Popatrzyła na niego, mrużąc oczy. — E-e... Jesteś pijany. Słyszałam już, co się dziś stało w Tease-O-Ramie.

— Co słyszałaś?

— No, że podarowałeś Cupcake i Francie prowizje, a po twoim wyjściu Dennis kazał im i tak zapłacić.

— Co takiego?!

— Rozmawiałam z Cupcake. Ponoć Dennis stwierdził, że byłeś pijany, i lepiej, aby Bill Gerard nie dowiedział się, że stawiałeś drinki i dawałeś prowizje, a jeszcze brakowałoby tylko, żeby Deacon albo Vic zjawił się tam akurat, dowiedział się o twojej szczodrości i spieprzył wszystkim święta.

— Niech szlag trafi tego Dennisa. Jak coś robię, to nie obchodzi mnie, czy on się z tym zgadza, czy nie, tylko chcę, żeby tak było i już. Cholera.

— Uspokój się, Charlie. To miły gest, tylko że nie mogę go przyjąć.

— Wypiszę ci kwit kasowy i go podpiszę. Biorę to na swoją odpowiedzialność.

— E-e. — Ivy wróciła już do świata swojego romansu i Charlie równie dobrze mógł mówić do ściany.

— No dobra, proszę... — Wyjął z kieszeni portfel i wyciągnął dwie pięćdziesiątki. — Wesołych świąt. To dla ciebie i dla Madelyn. — Położył oba banknoty na biurku.

Przez chwilę nie ruszała pieniędzy, lecz w końcu je zabrała. — Dzięki, Charlie.

— Kto tu jeszcze pracuje?

— Hm, jest jeszcze Lynette, ale już poszła do domu, a Tiny w ogóle dzisiaj nie było...

Charlie wyjął kolejne dwa banknoty z portfela.

— I raz w tygodniu wpada też Cupcake.

Dał następną pięćdziesiątkę.

— To dużo pieniędzy, Charlie.

— Jest ktoś jeszcze?

— Chyba nie.

— To dobrze, bo zostało mi mniej niż pięć dych.

— Jesteś pewien tego wszystkiego, Charlie?

— Jestem pewien. Mam mnóstwo forsy, więc się nie przejmuj.

— A chcesz, żebym ci obciągnęła, Charlie?

Schował portfel z powrotem do kieszeni w spodniach. — Nie robię tego, bo chcę, żebyś mi obciągnęła.

— Wiem. Miałam na myśli raczej taki świąteczny prezent.

— Tak czy inaczej, dziękuję. Muszę już lecieć. Baw się dobrze w święta.

— No, właśnie się bawię. I dzięki za tę premię.

Na mercedesie przybyło śniegu, ale spod spodu nie wyciekł żaden płyn. Naprawdę kapitalny wóz. Gdyby miał czas, pojechałby znów do Tease-O-Ramy i ustawił Dennisa w sprawie prowizji, ale chciał jeszcze

wpaść na jednego szybkiego do Baryłki przed udaniem się do Vica i wyjazdem z miasta. Może zadzwoni do Dennisa z tamtego lokalu.

W Baryłce panował półmrok i ciepło, paliły się zawieszona dokoła sali lampki, a z głośników płynął smętny głos Andy'ego Williama śpiewającego o małym doboszu. Barman dyskretnie skinął do Charliego na powitanie, obsługując jednocześnie parę starszych ludzi przy odległym końcu baru. Na sali siedziało rozproszonych może ze dwudziestu gości, z czego nikt nie wyglądał szczególnie radośnie.

— Chętnie dorwałbym tego małego dobosza — rzekł barman, podchodząc wreszcie do Charliego. — Skręciłbym mu ten pieprzony kark. Pa-ram pam pam.

— Nie przepadasz za tą świąteczną piosenką, co?

— Za żadną z nich nie przepadam. Nie byłoby jeszcze tak źle, gdyby Tommy nie kazał nam puszczać tej cholерnej taśmy co wieczór w kółko od nowa. Jakby policzyć, to muszę wysłuchać tych samych dwudziestu kolęd ze dwieście chyba razy pomiędzy Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem, i tak co roku.

— No, to może zabić w człowieku ducha święt.

— Ale żadna z nich nie jest tak paskudna jak ten „Mały dobosz”.

Charlie przytaknął i podskoczył, bo niespodziewanie ktoś go klepnął w ramię. Stał za nim Tommy w ciemnobrązowym kombinezonie i fedorze z szerokim rondem, wyglądając z tymi swoimi rękami na biodrach tak, jakby obecność Charliego stanowiła dla niego przyczynę ogromnej konsternacji.

— Jak leci, Charlie? Czy Lester znowu truje o muzyce?

— A pewnie, że truje. To gówno odstrasza klientów.

— Tak, tak, a do Święta Dziękczynienia to samo mówiłeś o Peterze Framptonie. Odstrasza klientów, gówno prawda...

— Jasne, że tak. Słuchają tego samego przez cały dzień w radiu, w supermarkecie, w centrum handlowym, więc jak przychodzą do baru, to mają tego dziadostwa już powyżej uszu. Zwłaszcza pieprzonego „Małego dobosza”.

— Wyhamuj, Les, mówisz przecież o Biblii.

Les westchnął. — „Małego dobosza” nie ma w Biblii, Tommy.

— A co ty, kurwa, wiesz o Biblii, pieprzony ateisto?

— Wiem, że „Mały dobosz” to kreskówka, którą pokazują w telewizji co roku na Gwiazdkę, i nie ma o nim ani słowa w Biblii.

— Zamknij się już lepiej, daj Charliemu drinka i zostaw nas samych. Musimy pogadać.

Lester ze znużeniem wzruszył ramionami i przygotował Charliemu whisky z wodą, po czym nadąsany przeszedł na drugi koniec baru.

— Dostałeś kopertę? — spytał Charlie.

— No, całe szczęście. Co ci odbiło, żeby dawać ją Susie?

— Przekazała ci ją, nie?

— Jasne, a potem trwała mi przez czterdzieści pięć minut, dopytując się, co to jest. Chryste, ależ z niej irytujące babsko. Twierdzi, że ją przeleciałeś. To prawda? — Nozdrza zadrżały mu lekko na tę myśl.

— Prawie dziesięć lat temu. Bez kitu, powinieneś być ją wtedy widzieć.

— Była z niej lepsza laska niż teraz?

— Zdaje się, że miała więcej czynnych komórek w mózgu.

— A więc dlaczego, kurwa, dajesz mi to tak wcześnie? Dostawę mamy dopiero trzydziestego, no nie?

— Nie byłem pewien, czy się jeszcze do tego czasu zobaczymy.

— Nie znoszę, kiedy ludzie zaczynają kombinować, Charlie. Zaczynam się wtedy denerwować, że coś się może zmienić. Ty i Vic dalej grać ze mną w jednej drużynie, mam rację? A Gerard nadal o niczym nie wie?

— Oczywiście — odparł Charlie. A przynajmniej jeszcze nie wiedział.

— Mam nadzieję. No a jak tam święta? Spotkania z dzieciakami i te pozostałe bzdury?

— Już się z nimi widziałem.

— To dobrze, to dobrze... — Rozejrzał się po sali. — Popatrz na tych biednych, żalonych dupków, jest Wigilia, a oni nie mają dokąd pójść. Wy też mieliście dziś otwarte, no nie?

— Całe trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, Tommy.

— Ktoś musi mieć otwarte. Przynajmniej ja tak uważam. I niech sobie pracownicy zrządzą, ile chcą...

— Cholera, przypomniało mi się, że muszę zadzwonić.

*

Telefony znajdowały się przy męskiej toalecie i bezpośrednio pod dudniącym głośnikiem, z którego płynęła akurat wykonywana przez Jacka Jonesa „Maleńka mięscina Betlejem”. Charlie dał znak Lesterowi, żeby ściszył dźwięk, lecz on wzruszył tylko bezradnie ramionami. Najwyraźniej poruszano tę kwestię już wcześniej. Charlie wrzucił ćwierćcentówkę i wybrał numer.

Telefon w Tease-O-Ramie zadzwonił chyba ze dwadzieścia razy, zanim Dennis w końcu odebrał. — Tease-O-Rama — rzucił.

— Dennis, tu Charlie.

— Nie mogę teraz rozmawiać. Mam pełne ręce roboty, i to, kurwa, przez ciebie. W klubie jest pełno rozwścieczonych gości, a nie ma kto dla nich zatańczyć.

— Jak to, nie ma kto zatańczyć?

— Cupcake i Francie sobie poszły.

— Dlaczego?

— Bez powodu.

— Gówno prawda. Słyszałem, że kazałeś im z powrotem zapłacić tę prowizję, którą obu oddałem.

— Nie powinieneś był tego robić, Charlie. Teraz patrz, co mam na głowie.

— To nie moja wina. To ty kazałeś im zapłacić prowizję...

— Muszę już kończyć, Charlie. Stawiam kolejkę na koszt firmy. No wiesz, ci goście naprawdę są wkurzeni.

— Zobaczę, może uda mi się odnaleźć dziewczyny i kazać im wrócić do pracy.

— Po jaką cholere? Za dwadzieścia minut zamykamy. Za mało mi płacie, żebym musiał się tak użerać w Wigilię!

Charlie spojrział na wielki czarny zegar i fluorescencyjne fioletowe wskazówki konkurujące z mrugającymi lampkami dookoła. Była za dwadzieścia druga. Odwiesił słuchawkę. Zresztą i tak czas już było ruszać do Vica.

Vic mieszkał w nowym piętrowym domu należącym do Billa Gerarda. Stał na skraju lesistego przedmieścia na wschodzie zaledwie kilka przecznic od miejsca, gdzie mieszkała Sarabeth i dzieci. Większość innych domów w okolicy była obwieszona świątecznymi dekoracjami i w okresie Bożego Narodzenia wczesnymi wieczorami ulice zwykle były zapchane samochodami, którymi ludzie jeździli powoli, podziwiając podświetlane żółbki, dwumetrowe cukierki w kształcie laski i warsztaty Świętego Mikołaja. Vic, którego miejscowe osobistości nie uznały za godnego sympatii sąsiada, zadowolili się w kwestii dekoracji jednym sosnowym wieńcem z czerwoną aksamitną kokardą na drzwiach wejściowych. Charlie zastukał w szybkę w drzwiach i czekał, po czym zastukał głośniej, aż w końcu poddał się i zadzwonił. Było siedem po drugiej, a w domu panowała ciemność.

Obszedł budynek, mijając garaż, i zauważył kilka śladów opon, przy czym wszystkie były częściowo przysypane śniegiem.

Stał na tylnej werandzie i zajrzał przez szybę do kuchni. Nie dostrzegł żadnego znaku, który świadczyłby o czyjejs obecności. Zastukał i czekał. Czyżby Vic go wykiwał? Charlie miał oba bilety na samolot, lecz przy tej ilości gotówki, jaka była w posiadaniu Vica, cenę zagranicznego biletu na samolot bez wątpienia można było uznać za stratę do przyjęcia. Sięgnął do klamki i odkrył, że drzwi nie są zamknięte na klucz.

— Vic?

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Dom był urządzony w podobnie bezdusznym stylu jak mieszkanie Charliego. Włączył światło w pokoju dziennym. Zdawało się, że wszystko jest na swoim miejscu. Charlie

podszedł do barku i nalał sobie podwójną porcję porządnej szkockiej, która już stała otwarta na blacie obok kubelka na lód pełnego ciepłej wody. Zaczął kręcić się po domu, zapalając światła, pokój po pokoju. Zajrzał do piwnicy, ale i tam nie zastał nic niezwykłego, podobnie jak w pralni i w kuchni, i w łazience na parterze. Na piętrze w głównej sypialni z ulgą odkrył walizkę Vica, spakowaną, lecz otwartą, leżącą na łóżku.

— Vic? — zawołał znowu.

Na dole otworzył drzwi garażu. Samochodu Vica nie było; pewnie przypomniało mu się coś ważnego i nie zdążył załatwić tego tak, żeby wrócić przed drugą. To w jego stylu, że nie zadał sobie trudu, by zostawić wiadomość. Charlie wrócił do pokoju dziennego, by poczekać, i włączył telewizor. O tej porze nocy leciał tylko jakiś stary film o piratach i krótkie kazanko na zakończenie programu. Przez kilka minut oglądał piratów, po czym wstał i wyłączył telewizor, bo poczuł, że znów zaczyna go ogarniać senność. Nie mógł pozwolić sobie na takie przymulenie, zwłaszcza że czekały go dwie i pół godziny jazdy. Gdy pomyślał o podróży, przyszło mu do głowy pytanie, ile paliwa zostało jeszcze w mercedesie.

Miał niecałe ćwierć baku. W oczekiwaniu na powrót Vica mógłby trochę dotankować. Przejechał przez osiedle i wrócił na główną drogę prowadzącą do autostrady stanowej, gdzie znalazł zajazd, a przed nim dystrybutory paliwa. Po chwili kombinowania zdołał otworzyć klapkę baku, ale po tym, jak wetknął tam końcówkę węża i pstryknął włącznik, nic się nie stało. Nachylił się do samochodu i nacisnął na klakson, a przez interkom dotarł do niego głos pracownika stacji.

— Najpierw się płaci, a potem nalewa — warknął ledwo słyszalnie przez szum zakłóceń.

Charlie wszedł do środka i dał facetowi dziesięć dolarów. Mężczyzna miał około sześćdziesiątki, siwe, żółte od nikotyny włosy i nie był najszczęśliwszy, że przyszło mu pracować w Wigilię. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem.

Charlie zatankował za osiem dolarów i sześćdziesiąt centów i wszedł do środka. Mężczyzna bez słowa wydał mu resztę, a kiedy Charlie odwrócił się, by wyjść, przyłapał się na tym, że patrzy na stojak ze

słodyczami. Miał jakiś metr dwadzieścia wysokości, prawie dwa metry szerokości i cały był obwieszony najróżniejszymi cukierkami w kolorowych opakowaniach, a Charlie przypomniał sobie Spencera i Melisę.

Obok stojaka ze słodyczami stał inny, obrotowy, z którego zwisały foliowe torebki z tanimi, tandetnymi, plastikowymi zabawkami z Tajwanu. Obrócił nim, przyglądając się celofanowym opakowaniom i sprawdzając, czy coś mogłoby się spodobać któremuś z jego dzieci: koślawe plastikowe dinozaury i żołnierze, lalka bobas cztery razy mniejsza niż normalna, skakanka o jasnoniebieskich rączkach. Zdjął skakankę i lalkę i spojrzał znów na stojak ze słodyczami. Jakie to obrazki z gumy do żucia kolekcjonował Spencer?

— Ma pan jeszcze gumy Wacky Packs?

Sprzedawca popatrzył na niego. — Na samym dole po lewej stronie.

I były tam. Charlie sięgnął ręką ponad napoczętym już pudełkiem i z półki z tyłu wziął takie nie rozpieczętowane, po czym położył gumy i zabawki na ladzie.

Sprzedawca zaczął go kasować, dając się i spoglądając pomiędzy pozycjami na stojącego przy dystrybutorach mercedesa. — Razem osiemnaście dwadzieścia pięć.

Charlie dał mu dwie dychy, a kiedy mężczyzna wydawał resztę, zdało mu się, że usłyszał, jak mruczy: „Co za hojność”.

— Słucham?

— Nie, nic. Mam tylko nadzieję, że pańskie dzieciaki naprawdę się ucieszą z tej gumy do żucia i gównianych plastikowych zabawek.

— One nie są dla moich dzieci. Kupiłem je dla siostrzeńców.

— No jasne.

Mężczyzna odwrócił wzrok, nie mając ochoty ciągnąć tematu, a Charlie wyszedł.

Dojeżdżając do domu Sarabeth, zastanawiał się nad wszelkimi sensownymi powodami, jakie mógł mieć Vic, by przegapić spotkanie. Faktem było, że Vic lubił się spóźniać. Może coś się stało z jego samochodem. A w takim wypadku jakie mieli opcje? Mogli wziąć wóz Betsy i zostawić go na lotnisku, ale gdyby Pete van Heuten musiał jechać

dwieście pięćdziesiąt kilometrów na południe, żeby go odebrać, na pewno biadoliliby potem długo i głośno każdemu, kto tylko zechciałby słuchać, i w końcu dotarłoby to do uszu Gerarda. Może bezpieczniej byłoby wziąć lincolna, ale ten z kolei był zarejestrowany na firmę i Gerard dostałby informacje jak na talerzu, kiedy zarządca parkingu przy lotnisku uznałby samochód za porzucony i przyholował go do miasta. Nie to, żeby zaraz zdołał ich wytropić, znając jedynie pierwsze lotnisko, z jakiego wylecieli, i to dopiero po paru miesiącach, ale po co dawać mu cokolwiek, skoro można było tego uniknąć? Zresztą lincoln cuchnął wymiocinami, a było zbyt zimno, by jechać przy wyłączonym ogrzewaniu.

Zatrzymał się w miejscu, gdzie, jak sądził, powinien znajdować się krawężnik przed domem Sarabeth – wielkim budynkiem w ranczerskim stylu, z kolistym podjazdem. Sznurek maleńkich białych lampek biegł wzdłuż rynny pod okapem, prosto i ze smakiem, jak u jej matki. Poczul chęć, by wejść do środka, obudzić ich i spróbować wyjaśnić jej i dzieciakom, dlaczego już go więcej nie zobaczą, lecz potrzeba ta została stłumiona przez świadomość, że jego wyjazd nie wpłynie tak naprawdę na ich codzienne życie. Może z wyjątkiem Melissy, cała rodzina powita jego stałą nieobecność jako ostateczny i nieunikniony rezultat wielu lat nieobecności częściowych i chwilowych.

Siedzę w samochodzie przed domem ekszony o wpół do trzeciej w noc Bożego Narodzenia i użalam się nad sobą, pomyślał. Może to znak, że za dużo wypilem. Wsiadł, zostawiając włączony silnik, przeszedł cichutko przez podjazd i zostawił gumę do żucia, skakankę i lalkę na zaśnieżonej wycieracze. Mogłem jeszcze kupić kartkę świąteczną, pomyślał. Kiedy wrócił do wozu, dotarło do niego, że znów chce mu się sikać, więc podszedł do krzewu rosnącego obok domu i ulżył sobie, obserwując obłok pary wznoszący się z topniejącego śniegu pokrywającego krzak. Po tym, jak wytopił już sporą jego część, zapiał rozporek i wrócił do samochodu. Powoli ruszył od krawężnika i skierował się do Vica.

Jadąc uliczką, spostrzegł, że zostawił w domu pozapalane światła. Wszedł frontowymi drzwiami i zaczął je gasić mniej więcej w takiej samej kolejności, w jakiej je zapalał. Ale gdzie, do jasnej cholery, był Vic?

Żeby się jeszcze upewnić, zajął znów do garażu. Samochodu nadal nie było. Przez chwilę Charlie stał tam w chłodnym powietrzu, próbując wymyślić następny logiczny krok, o ile w tej sytuacji w ogóle taki istniał. Nachylił się i oparł płaską dłońią o blat roboczy, który odsunął się nieco, sprawiając, że Charlie opadł na jedno kolano. Z pewnym trudem wstał, a spoglądając w dół, dostrzegł niewielką kałużę krwi, nie zakrzepłej jeszcze na zimnej, betonowej posadzce pod jedną z nóg blatu. Wziął gwałtowny, głośny wdech i poczuł, jak napina mu się skóra twarzy. Zrobił krok w tył, podnosząc i odwracając wzrok, bez powodzenia usiłując wyobrazić sobie jakąś niewinną przyczynę obecności krwi na posadzce w garażu Vica. Poczuł pierwsze, nieśmiałe jeszcze zawroty głowy i położył dłoń na blacie roboczym, szukając wsparcia, po czym znów spojrział w dół.

Na imadle przytwierdzonym do krawędzi stołu dokładnie nad małą, ciemnoczerwoną kałużą też była krew, rozmazana. Do chropawej powierzchni jednej ze szcęk urządzenia przyczepił się postrzępiony fragment skóry o mniej więcej dwucentymetrowej średnicy z równoległymi fałdkami typowymi dla środkowego stawu ludzkiego palca.

Charlie obrócił się, oparł obiema dłońmi o ścianę i zwymiotował. Rękawem marynarki otarł usta i wybiegł z garażu przez kuchnię i pokój dzienny do drzwi, które zostawił otwarte, i popędził przez trawnik do mercedesa. Wsiadł, zapalił silnik i dojechał do wylotu uliczki, gdzie dysząc ciężko, stanął. Siedział tam przez dwie minuty, trzy, pięć, nie mogąc się zdecydować, czy skrócić w prawo, czy w lewo.

Była za piętnaście trzecia nad ranem i wszystkie bary dawno już pozamykano. Nie miał dokąd pójść.

CZEŚĆ DRUGA

12

Ruszył na północ od miasta, nie zmierzając do żadnego konkretnego celu, i bezskutecznie próbował wymyślić jakieś usprawiedliwienie dla nieobecności Vica, które nie wiązałyby się z katastrofą. Parę kilometrów za rogatkami miasta pod wpływem impulsu zjechał na nieczynną stację benzynową i zaparkował obok telefonu. Nie znał domowego numeru Renaty, więc kierując się intuicją, spróbował w Złotej Klatce. Na drugim końcu linii odebrano po dziesięciu dzwonekach.

— Złota Klatka.

— Renata? Mówi Charlie.

— Jesteś w piekielnych tarapatach, Charlie, wiesz o tym? Zaraz po twoim wyjściu zjawił się tu Roy Gelles. Chciał się upewnić, czy nas nie odwiedziłeś.

— Aha.

Renata prychnęła. — „Aha”?

— Mogę przyjechać?

Przez moment milczała. — Ale zaparkuj na innej ulicy

— Nie jeżdżę swoim wozem.

— Gównu mnie obchodzi, czyim wozem jeździsz, mamy zamknięte i nie chcę żadnych aut na parkingu. Zostaw samochód za rogiem. Gdzie teraz jesteś?

— Za miastem. Przyjadę za dwadzieścia minut. — Znów poczuł ciepło w kroczu. — Vic się do ciebie nie odzywał?

— Nie. Roy też go szukał.

— Pewnie to nic poważnego.

— Skoro Roy pofatygował się do miasta w Wigilię, to raczej *musi* być coś poważnego.

84

– Chyba masz rację.

Wrócił do samochodu i na drogę prowadzącą z powrotem do miasta. Deacon poszedł pewnie po południu do banku, żeby w ostatniej chwili pobrać pieniądze z jednego z rachunków firmowych, odkrył, że konto jest puste, i zadzwonił do Billa Gerarda. Royowi Gellesowi dojazd do miasta zająłby jakieś dwie i pół, może trzy godziny, więc prawdopodobnie był na miejscu od dawna, a doskonale wiedział, gdzie którego wieczora można znaleźć Charliego albo Vica. Może właśnie Vica już znalazł. Jeżeli nie napatoczył się jeszcze na Charliego, to zdecydował o tym tylko szczęśliwy traf.

Jechał wzdłuż rzeki na zachód od centrum, obserwując jasnopomarańczowe niebo, z którego powoli spadały wielkie płatki śniegu. Oczami wyobraźni ujrzał, jak zabiera Spencera i Melissę na sanki na spadzisty brzeg rzeki, tak jak dawniej, kiedy był chłopcem, zabierał go wraz z braćmi i siostrami ich ojciec. Powiedział sobie, że gdyby nie wyjeżdżał, to tak by właśnie zrobił, choć minął już ponad rok od czasu, gdy ostatni raz gdziekolwiek zabrał swoje dzieci. Zaprzagnął nagle zadzwonić do brata, Dale'a, żeby się pożegnać. Dale miał niewielką farmę w pobliżu Shattuck i także do niego Charlie nie odzywał się od ponad roku. Nie licząc sporadycznych rozmów z Dalem, list na Gwiazdkę od najstarszej siostry stanowił jego jedyny regularny kontakt z resztą rodziny, a właśnie przyszło mu do głowy, że w tym roku listu nie dostał. Nie pamiętał też, czy otrzymał go rok temu.

W lusterku jakieś pięćset metrów w tyle dostrzegł sedana podążającego za nim wzdłuż tworzącej zakole rzeki. Zesztywniał i usiłował sobie przypomnieć, czym jeździ Roy. Tak bardzo skupił się na wozie we wstecznym lusterku, że wjechał na pusty pas prowadzący w przeciwną stronę i w tej chwili na dachu sedana zaczęło błyskać czerwone i niebieskie światło. Spanikował, wcisnął hamulec i wpadł w poślizg, sunąc gładko do samego krawężnika, zaś radiowóz przyspieszył i stanął tuż za nim, pohukując krótko syreną.

Charlie wyciągnął prawo jazdy i sięgnął po przeźroczyste pudełko miętowych tic-taców, jakie widział w schowku. Potrząsnął pudełeczkiem i wysypał kilka białych fasolek do ust, rozgryzając je najszybciej, jak potrafił. Idący w jego stronę policjant dał krok nad krawężnikiem i

wdepnął w zaspę. Charlie połknął resztki rozgryzionych miętusów, opuścił szybę i podał swoje prawko.

— Zdaję sobie sprawę, że stoję na przeciwnym pasie ruchu, ale wpadłem w poślizg.

— Chciałbym też zobaczyć dowód rejestracyjny.

— W porządku, ale w zasadzie to nie jest mój samochód. Należy do mojej szwagierki.

— Pił pan dzisiaj wieczorem?

— Tylko parę kieliszków wina u teściów... Chwileczkę, gdzieś tutaj musi być.

Grzebał w schowku Betsy, szukając dowodu rejestracyjnego. Pudełko chusteczek higienicznych, komplet kluczy, świadectwo szkolne jednego z dzieci i najwyraźniej zero dokumentu, bez którego był udupiony.

Jednak policjant już oddawał mu prawo jazdy. — Nie wiedziałem, że to pan, panie Arglist. Musi pan zachować większą ostrożność przy tej pogodzie. Pod śniegiem jest po prostu szklanka.

Był uprzejmy, ale zdecydowanie chłodny. Charlie go nie znał, lecz najwyraźniej był to jeden z ich ludzi i całe szczęście, bo wyglądał na takiego, co z przyjemnością zawłókłby jego tyłek do wytrzeźwiarki.

— Dziękuję. Powinienem już chyba jechać do domu.

— Doskonały pomysł. — Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż jak przytaknięcie.

— Wesołych świąt — rzucił Charlie, podnosząc szybę.

Gliniarz wrócił do radiowozu, jakby go w ogóle nie słyszał.

Zaparkował za zakrętem od Złotej Klatki, na ulicy, przy której stały same domy mieszkalne, i pieszo ruszył na parking. Było tak cicho, że słyszał nad głową nagie gałązki uderzające o siebie na lekkim wietrze. Przy wyłączonych lampach parking wydawał się dziwnie jasny, a zachmurzone niebo słało na śnieg bladą poświatę niczym namiastkę światła dnia. Czarne plamki krwi wciąż odbijały się od szarości śniegu tam, gdzie Sidney zakończył muzyczną karierę Stroke'a, przy czym na całym parkingu nie było ani jednego pojazdu. Charlie podszedł do drzwi frontowych, poruszył klamką i odkrył, że są zamknięte. Zastukał porządnie i czekał. Po dłuższej chwili zapukał znowu, jeszcze głośniejszy. Przeszedł do

bocznych drzwi, bliżej biura Renaty, i zastukał ponownie.

— Renata?

Nikt nie odpowiedział.

Poszedł do budki telefonicznej na rogu i wybrał numer. Po dwudziestym dzwonku w końcu się rozłączył.

Droga wiodąca do Tease-O-Ramy była jeszcze bardziej śliska niż przedtem, a na dodatek zerwał się lodowaty wiatr, który nawiewał na nią iskrzące tumany śniegu. Charlie nie do końca wierzył już teraz w swoją zdolność do utrzymania niezbyt dobrze poznanego auta na drodze, ale był na tyle blisko Tease-O-Ramy, że gdyby się rozkraczył, zawsze mógł tam dojść na piechotę. Miał jednak pewne problemy ze zorientowaniem się, gdzie właściwie jest, dopóki nie ujrzał częściowo pokrytej śniegiem sylwetki striptizerki jaśniejącej na tle nieba. Fakt, że znak wciąż się świecił o tej porze, zaniepokoił go, ale znacznie mniej niż obecność trzech wozów szeryfa stojących blisko siebie na parkingu. W pierwszej chwili zareagował chęcią zjechania na pobocze, zawrócenia i ucieczki tak szybko, jak to tylko było możliwe. Już w tym celu zwalniał, lecz przyszło mu do głowy, że obecność policjantów szeryfa może mieć coś wspólnego z tym, co spotkało Vica.

Zaparkował mercedesa na drugim końcu parkingu i przeszedł do zbudowanego z pustaków muru przed wejściem, gdzie stał z groźnie zmarszczonym czołem policjant w lustrzanych okularach.

— Klub jest już dzisiaj zamknięty. Lepiej niech pan jedzie do domu.

— Reprezentuję właścicieli.

Nadąsanie i pogarda na twarzy gliniarza zelżały nieco, a Charlie ledwo zdusił w sobie chęć rzucenia jakiejś uwagi na temat ludzi, którzy w nocy noszą ciemne okulary.

— Pan Cavanaugh?

— Charles Arglist. Pracuję z panem Cavanaughem.

— Aha. No to musiałby pan wejść do środka i pogadać z moim dowódcą, bo mieliście tu dzisiaj niezłe zamieszanie.

Policjant odsunął się, a Charlie ominął mur i otworzył drzwi.

Gdy je za sobą zamykał, Dennis spiorunował go wzrokiem. I dodał: — Zwalniam się.

Prawe oko miał tak zapuchnięte, że nie mógł go otworzyć, i przykładał zakrwawioną ścierkę do otarcia na lewym policzku. Policjant stojący obok niego i skrupulatnie zapisujący coś w notesie zmierzył Charliego wzrokiem.

— Kto to jest? Cavanaugh?

— Jego chłopiec na posyłki. Charlie Arglist. To wszystko jego wina.

Dennis powiódł ręką dookoła klubu. Na scenach leżały połamane krzesła, podłoga usłana była potłuczonymi szklankami i butelkami, zaś trzech kolejnych policjantów spisywało zeznania jakiegoś pół tuzina klientów, z czego kilku wyglądało jeszcze gorzej niż Dennis.

— Dennis, ty widziałeś dzisiaj Vica?

— Kogo to obchodzi? Popatrz, co tu się, kurwa, dzieje...

— Widziałeś go?

— Nie.

— Wystarczy już. Nasza rozmowa się jeszcze nie skończyła. — Policjant odwrócił się od Dennisa i spojrzał na Charliego: — Pan będzie miał szansę za chwilę.

— Szansę na co?

— Szansę na przedstawienie nam swojej wersji. Na razie niech pan siada i będzie cicho.

Charlie rozejrzał się dokoła, lecz nie znalazł nic, na czym dałoby się usiąść. — Nie mam nic do powiedzenia. Nie było mnie tutaj.

— Nie rozumie pan, co to znaczy usiąść i być cicho? A jak pan rozumie, to niech pan lepiej siada. Inaczej będę musiał pana aresztować tak jak tamtych obywateli.

Policjant wskazał ręką z notesem na grupkę nieszczęśników pod przeciwległą ścianą. Trzech z nich było zakutych w kajdanki, a jeden płakał, pełen skruchy, podczas gdy gliniarz cierpliwie spisywał jego zeznanie.

Najwyższy rangą stróż prawa skupił się znów na Dennisie. — A więc zaczęły spadać pierwsze butelki. I co pan wtedy zrobił?

Dennis popatrzył najpierw w jedną stronę, potem w drugą. — Hm, wtedy postanowiłem strzelić ze śrutówki. — Wskazał na sufit, gdzie

jeden z paneli głośnikowych odleciał zupełnie, a dwa sąsiednie zwiślały żałośnie w szczątkach.

— Zazwyczaj to natychmiast przywraca porządek — stwierdził policjant.

— Ale nie tym razem.

Połowa butelek za barem była potłuczona, podobnie jak znaczna część szklanek i kieliszków. Na samym barze rozlała się spora kałuża lepkiej krwi.

Charlie przyjrzał się gliniarzom, lecz nie dostrzegł nikogo znajomego. Nie przypuszczał, by pozwolili mu odejść bez ważnego powodu, ale Vica tutaj nie było, a on musiał go odnaleźć. Wiedział, że wszelkie próby wyjaśnienia, iż cała ta historia to już nie jego problem, nie miałyby najmniejszego sensu.

— Mogę poczekać na zewnątrz? — spytał.

Policjant spojrział na niego ostro znad notatnika, zastanowił się i skinął. Charlie wyszedł głównymi drzwiami, minął mur i stojącego przy nim funkcjonariusza.

— Jednak mnie tam nie potrzebowali — rzucił, przechodząc.

Górna warga policjanta uniosła się, ukazując zęby, lecz z jego ust nie padło ani jedno słowo.

Za kierownicą jednego z radiowozów szeryfa siedział szósty gliniarz, wypełniający jakiś formularz, a kiedy Charlie go mijał, z ciemności tylnej kanapy wychyliła się ku oknu rechocząca, paskudnie zniekształcona twarz z wytrzeszczonymi oczami, umazana zaschniętą krwią. Był to Culligan. Wyglądał, jakby brakowało mu zęba, a policjant odwrócił się i warknął do niego, wydając jakiś niezrozumiały dla Charliego rozkaz. Culligan uspokoił się i posłusznie ukrył w cieniu na tylnej kanapie. Charlie wrócił do mercedesa Betsy van Heuten i odjechał.

Jadąc, nastawił radio na stację C&W, żeby sprawdzić, czy nie mówią czegoś o awanturze w Ramie, ale reporter policyjny już dawno zszedł z anteny, zaś wiadomości, kiedy się w końcu pojawiły, składały się z krajowych wieści odczytywanych monotonnym głosem prosto z dalekopisu. Kiedy minął roгатki miasta, włączył jakąś rozrywkową stację, gdzie spiker, którego głos brzmiał, jakby gość miał już nieźle w czubie, medytował

nad znaczeniem świąt. Cała ta chryja to i tak była wina Dennisa. Nie powinien był na nowo pobierać od dziewczyn prowizji.

Znalazł się niedaleko mieszkania Dory i pod wpływem impulsu zawrócił na środku jezdni i ruszył w tamtą stronę. Dora z koleżanką mieszkała we wschodniej części piętrowego bliźniaka cztery przecznice od szpitala. Zaparkował przed domem i wszedł po schodach na werandę od frontu.

W pokoju dziennym było ciemno, ale w błękitnawym świetle płynącym od ulicznej latarni i wpadającym przez okno Charlie dostrzegł małą, byle jak udekorowaną choinkę, a pod nią kilka paczek. Przyłożył policzek do chłodnej szyby w drzwiach i stał tak dłuższą chwilę, nie mogąc się zdecydować, czy zadzwonić, czy nie. Zrobił krok w tył i oparł się o balustradę, usiłując wymyślić, co powie, gdy stanie przed nim Dora.

Może nie było jej w domu. Zszedł ostrożnie po ośnieżonych stopniach i ruszył krótkim żwirowym podjazdem do garażu. Stając na palcach, zajązł do środka i zobaczył dwa samochody, w tym żółtego garbusa Dory. Wrócił pod drzwi i stał tam przez parę sekund z palcem zawieszonym jakieś dwa centymetry od dzwonka. W końcu nacisnął. Było Boże Narodzenie, wpół do czwartej nad ranem, a on nie miał pojęcia, co powiedzieć, gdy Dora mu otworzy.

Na górze zapaliło się światło, a on poczuł chęć, by uciec. Zaczął grzebać w kieszeniach spodni w poszukiwaniu grzebienia, ale go nie znalazł, więc przecesał włosy palcami, po czym wetknął ręce szybko do kieszeni płaszcza, widząc odziane w kaptcie stopy na najniższych stopniach schodów. Miała na sobie szlafrok i przeszła przez pokój dzienny bez zapalania światła. Zapaliło się za to światło na werandzie, a on zmrużył oczy, przesłaniając je dłonią, by dojrzeć jej twarz. Drzwi się otworzyły. Ale to nie była Dora.

— Charlie? — To była Lori, współlokatora Dory. Twarz miała obrzmiałą i czerwoną.

— Przepraszam. Obudziłem cię?

— Nie, dopiero godzinę temu skończyłam dyżur. I tak nie mogłam zasnąć.

Zmusił się do nieszczerego uśmiechu. — Czekasz na Mikołaja, co?

— Co się stało, Charlie? — Była poważna, ale usunęła się na bok i wpuściła go do pokoju.

Zamknęła drzwi i zapaliła stojącą lampę. W pokoju było zimno jak w psiarni, nawet kiedy weszło się z dworu.

— Przyszedłem zobaczyć się z Dorą. Pewnie śpi?

— Ona już tu nie mieszka.

— Widziałem w garażu jej samochód.

— Odkupiłam go od niej. Mam teraz nową współlokatorkę, Litwin-kę. Chodź do jadalni, włącz grzejnik. — Kiwnęła na niego i ruszyła w głąb domu, szurając nogami w puchatych różowych kapciach.

— Dokąd się wyprowadziła?

— Do Teksasu, parę miesięcy temu. Do Fort Worth. — Ukłękła przed małą, tanią dmuchawą i włączyła ją, nastawiając na maksa, po czym zamknęła drzwi jadalni.

— Nic mi nie mówiła.

— Przestałeś się do niej odzywać, Charlie.

— Przepraszam.

— Nie przepraszaj mnie. Napijesz się czegoś ciepłego?

— Chętnie wypiłbym drinka, skoro już mowa o picciu.

— Mam tylko kawę. Nie piję już alkoholu.

— Aha. No dobrze, chętnie napiję się kawy.

Bez słowa przeszła do kuchni, gdzie zamknęły się za nią drzwi, a Charlie usiadł przy okrągłym, niczym nie nakrytym stole. Spirale dmuchawy powoli zmieniały barwę z szarej na pomarańczową, podczas gdy on rozglądał się po małej, przygnębiająco znajomej jadalni. Na półce stały dwa ogromne albumy ze sztuką, jakie podarował Dorze, a jego zeszloroczny prezent na Gwiazdkę — oprawiony w ramy pastelowy plakat przedstawiający siedzącą na kocu i tłukącą kukurydzę Indiankę — wciąż wisiał na ścianie. Kupił go dokładnie rok temu w śródmieściu, w ponurym sklepiku z pamiątkami, który krótko potem upadł. W bożonarodzeniowy poranek Dora sprawiała wrażenie, jakby o niczym innym nie marzyła.

Przez drzwi do kuchni dobiegło pomrukiwanie mikrofali, a po chwili głowę wetknęła Lori. — Z mlekiem? Z cukrem?

— Nie, dziękuję.

Głowa znikła, a w kuchni brzęknął dzwonek mikrofalówki. Za moment Lori pojawiła się z dwoma kubkami, a w każdym tkwiła łyżeczka. — Może trzeba będzie jeszcze zamieszać. Niestety, miałam tylko rozpuszczalną. — Klapnęła na jedno z krzesel. — No, to wesołych świąt.

— Nawzajem. Zamierzasz jutro odwiedzić rodzinę?

— Cała moja rodzina jest w Indianie. — Ostrożnie wzięła łyk kawy, sprawdzając, czy nie za gorąca. — A ty będziesz widział się z dziećmi?

— Już się z nimi widziałem. U teściów. — Podniósł kubek do ust, pociągnął małeńki łyk gorącego, piekącego płynu i dyskretnie wypluł go z powrotem do kubka.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem, z głową przechyloną na bok i zmrużonymi oczami. — Zamierzasz się zejść ze swoją byłą?

— Nie, wpadłem właściwie tylko na parę minut.

— Bo Dora uważała, że może do tego dojść.

— Nie dojdzie — odparł. Wpatrywała mu się prosto w oczy, a jemu trudno było odwzajemnić to spojrzenie. — Przykro mi.

— Z jakiego powodu?

— Przykro mi, że skrzywdziłem Dorę.

— Charlie, jesteś taki zarozumiały, że to nawet nie jest śmieszne.

— O czym ty mówisz?

— Nie chciałam zranić twojego ego, ale wcale nie skrzywdziłam Dory. To znaczy, jasne, że na początku nie było jej z tym najlepiej, ale szybko się pozbierała. Zresztą i tak wiedziała, że donikąd to nie prowadzi. Wiedziała od dawna.

— Naprawdę?

Lori się oparła. — Co chciałbyś usłyszeć, Charlie, że zламаłeś jej serce? Kurczę, spotykała się z jednym doktorkiem na stażu, jeszcze zanim przestała się do niej odzywać. I skoro on nie zdołał powstrzymać jej przed wyjazdem do Fort Worth, to tobie na pewno by się to nie udało. Nie martw się. Twoje sumienie jest czyste.

— Co za ulga — rzekł, choć, o dziwo, żadnej ulgi nie odczuł.

— Nie chciałam ci dokuczyć, naprawdę. A jak tam w robocie i w ogóle?

— Jak zawsze.

— Dowiemy się kiedyś, co się stało z tą zaginioną striptizerką? Dora mówiła, że dobrze ją znałeś...

— Posłuchaj, powinienem już chyba iść. Muszę być na mszy o szóstej rano.

Lori prychnęła. — No, to tak jak ja.

Przy drzwiach Charlie cmoknął ją w policzek.

— Miło cię było znowu zobaczyć, Charlie. Przepraszam, że zachowywałam się trochę jak ostatnia suka. I przepraszam za kawę.

— Dziękuję, że mnie wpuściłaś. Mnie też miło było cię zobaczyć.

— Wiesz, mógłbyś czasami do mnie wpaść. Niczego nie musielibyśmy komplikować.

— Tak, pomyślę o tym. — Otworzył drzwi i wyszedł na werandę.

— Jasne. Wesołych świąt — rzekła i zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy schodził z werandy, jakaś kobieta we flanelowym szlafroku popatrzyła na niego z okna w drugiej części bliźniaka, ukazując w wielobarwnym świetle bijącym od choinki szeroko otwarte, gniewne oczy i zmarszczoną ze złości twarz.

Wrócił na stanową autostradę i ruszył na zachód, po czym zбочył na drogę dojazdową do Dotyku Midasa, ciemnego już i opuszczonego, będącego jedynym budynkiem na odcinku półtora kilometra. Siedział w samochodzie i przebierał w pęku kluczy, aż znalazł ten oznaczony literami MAS. Na drzwiach wisiała przypięta pinezką odręcznie zapisana kartka z zeszytu:

W BOŻE NARDZENIE MAMY NIECZYNNE
ŻEBY NASI PRACOWNICY MOGLI SPENDZIĆ ŚWIĘTA
Z RODZINAMI

W środku było zimno i cicho i unosił się lekko stęchły zapach. Włączył światło, a z taniej drewnianej boazerii zamrugła do niego jaskrawa gło-wa plastikowego Świętego Mikołaja.

— Jest tu kto?

Nie uzyskał żadnej odpowiedzi. Odwrócił się, żeby wyjść, i zauważył, że wchodząc, naniósł błota, więc oparł się o biurko i podniósł lewą stopę, by przyjrzeć się podeszwie. But był mokry, poprzylepiały się do niego

maleńkie kryształki zlodowaciałego śniegu, ale nie mogło być mowy o żadnym błocie... Spoglądając w dół, ujrzał na podłodze błotnisty szlak prowadzący do Pokoju Spotkań 2 i poczuł, że zwieracz zaciska mu się, jakby miał już nigdy nie puścić. Mimowolnie zerknął na Mikołaja, którego rumiane lico i chytre spojrzenie wydały mu się nagle groźne, i ostrożnie podążył tropem naniesionego błota. Szlak prowadził do stołu do masażu, zabłoconego i usmarowanego wciąż jeszcze lepką krwią, i ciągnął się dalej do składziku, a wreszcie do tylnych drzwi. Charlie patrzył przez chwilę, zastanawiając się, czy kogoś za nimi nie ma. Lampka alarmu paliła się, a przy tylnym wejściu można go było włączyć i wyłączyć tylko od wewnątrz. Wetknął swój klucz do skrzynki alarmu, przekręcił i wyszedł na zewnątrz, najwyraźniej nie zyskując żadnego towarzystwa. Dwie równoległe bruzdy w białym puchu prowadziły do łąty śniegu cieńszej niż w innych miejscach, na jakieś dwa metry długiej i na metr szerokiej. Stał nad nią czas jakiś, po czym wrócił do środka, żeby znaleźć łopatę i, jeśli się da, coś mocniejszego do picia.

Otworzył górną szufladę Ivy, lecz nie znalazł nic oprócz fikuśnych majtek i pliku kuponów rabatowych: wykup pięć Masaży Orientalnych, a Piersiomasowanie otrzymasz *gratis*. Pozostałe szuflady były puste, jeśli nie liczyć kilku grubych, wymiętoszonych romansów. Był pewien, że Ivy trzyma w biurku butelczynę; musiała zabrać ją ze sobą do domu na święta. Nie czuł się na siłach wykopywać tego czegoś na tyłach lokalu bez wzmacniającego drinka, ale po pobieżnym przeszukaniu szuflad i szafek w Pokojach Spotkań, musiał się pogodzić z myślą, że tego gwiazdkowego poranka nie ma w Dotyku Midasa ani krzty alkoholu.

Łopata stała oparta o ścianę składziku. Była mokra i pokryta szarobrazowym zmrożonym błotem. Charlie wziął ją, włączył lampę za budynkiem i znów wyszedł za drzwi. Tylne podwórze ogrodzone było starym, chylącym się gdzieniegdzie, metalowym płotem, za którym nie było widać śladu życia. Stał przez chwilę nad podejrzanym miejscem, aż w końcu zaczął kopać. Jeśli to Vic tam leżał, to już było po pieniądzach — wszystko wyszło na jaw i Charlie miał tylko jedno wyjście: wiać. Tak czy siak, kopał, z każdą łopatą zyskując przekonanie, że to Vic. Ból w biodrze, prawie już zapomniany, znów zaczął dawać o sobie znać.

Łopata wchodziła łatwiej, niż się spodziewał, odłupując wielkie bryły zbitej, na poły zmarzniętej ziemi, spulchnionej przez wcześniejsze kopanie. Mimo to serce waliło mu z wysiłku jak młotem i zanim natrafił na coś miękkiego jakiś metr pod powierzchnią gruntu, sapał i świszczął jak astmatyk. Odkrył już prawie całe znalezisko, opakowane w płócienny worek i przewiązane sznurkiem, kształtem bardzo przypominające

ludzkie ciało. Patrzył w dół, czując, jak kropelki potu zamarzają mu na twarzy. Przeciął sznurek na głowie scyzorykiem, a następnie rozciął worek. Pod nim ujrzał ludzką potylicę i krótkie, czarne włosy pozlepiane krwią. To mógł być Vic, ale nie musiał. Uświadomił sobie klucie w boku, będące skutkiem nadmiernego wysiłku, ale czuł się dziwnie spokojny. Próbował odwrócić ciało, żeby przyjrzeć się twarzy, ale płótno worka przymarzło porządnie do ziemi poniżej i nie dało się ruszyć. Wziął głębokimi wdech boleśnie zimnego powietrza, obiema dłońmi chwycił dobrze głowę i mocno przekręcił. Nie odwróciła się, ale rozległo się ciche, obiecujące chrupnięcie, więc spróbował znowu, angażując w to całą siłę obu rąk. Tym razem głowa ustąpiła, a towarzyszył temu przeciągły odgłos rozszczepiania i delikatnego chlupotania, przerwany w kilku momentach głośniejszymi trzaskami. Zakrwawiona twarz, oczy i usta rozwarły najwyraźniej ze zdumienia, należały do Deacona. Podnosząc się i mierząc wzrokiem płócienny worek, Charlie dostrzegł, że to ciało było zdecydowanie za małe, by należeć do Vica. Poczul się pijany z radości i niedowierzania. Przynajmniej na czas jakiś zyskał ulaskawienie.

Z lokalu zadzwonił do domu Vica. Ktoś odebrał, ale się nie odzywał. Charlie zawahał się. — Vic?

— Co się, kurwa, dzieje? Wróciłem do domu, a tu drzwi wejściowe otwarte na oścież. Mało co zawału nie dostałem. Gdzie jesteś?

— U Midasa. Deacon nie żyje.

— Chryste, coś ty zrobił, wykopałeś kurdupla?

— Zobaczyłem grób. Myślałem, że to ty.

— To naprawdę roztropnie z twojej strony, Charlie... Mam nadzieję, że zakopałeś go z powrotem tak, jak znalazłeś.

— Pewnie, że tak, a coś ty myślał?

Wcale go nie zakopał. W podnieceniu wpadł z powrotem do środka, pozostawiając rozkopany grób i włączoną lampę.

— Lepiej tu do mnie przyjedź. Mamy jeszcze inne kłopoty.

— Co za kłopoty?

— Powiem ci, jak przyjedziesz. I tak za dużo już nagadałeś przez telefon jak na jedną noc.

*

Przykrył zapakowane w worek zwłoki zmrożonymi kłocami błota, lecz nie był w stanie zrównać rozkopanego placka ziemi z resztą gruntu. Rozrucił lalka brył dokoła i dochodząc do wniosku, że powierzchnia jest mniej więcej równa, przysypał wszystko śniegiem. Kiedy odsunął się nieco dalej, grunt wciąż wydawał mu się brylasty i nierówny, więc zaczął go uklepywać łopatą. Po ośmiu czy dziewięciu solidnych uderzeniach znów sapał i świszczął, więc dał sobie spokój. Nagarnął jeszcze trochę śniegu na wierzch, wyrównał go łopatą i odwrócił się, by odejść. Przy drzwiach stanął. Z Deacona był wredny mały padalec i zginął pewnie, usiłując zabić Vica, ale wydawało się nie w porządku, odejść tak choćby bez krótkiej modlitwy. Wymamrotał „Zdrowaś Mario”, „Ojczy nasz” i to, co zdołał sobie przypomnieć z Psalmu 93, po czym otworzył drzwi. Na pewno cholernie to pomogło Deaconowi, pomyślał. Zaczął chodzić po ogrodzonym płotem podwórku, robiąc ślady na śniegu, żeby rozkopany placyk nie rzucał się zbyt w oczy. Następnie wyłączył lampę i spojrzał na grób, by się przekonać, czy jest bardziej, czy mniej widoczny niż wtedy, gdy widział go po raz pierwszy. Stwierdził, że wygląda nie najgorzej, i zamknął za sobą drzwi.

Była za piętnaście piąta, gdy dotarł do domu Vica. Światła były już pogaszone i Charlie ruszył do tylnych drzwi.

Vic czekał na niego w kuchni, ubrany w jasnoniebieską puchową kurtkę narciarską.

— Gdzieś się tak długo opierdalał? — Jego pozbawiona wyrazu, okrągła, zwykle blada twarz była teraz czerwona jak pomidor ze złości, zmęczenia albo zimna.

— Sprzątałem trochę w Dotyku Midasa.

— Niepotrzebnie. I tak znajdą Deacona za dwa albo trzy dni, a wtedy dawno nas już tu nie będzie. Chodź na dół, coś ci pokażę. Spodoba ci się.

Pośrodku piwnicy stał spory kufer podziurawiony przez kule w taki sposób, jakby ktoś strzelał od środka.

— Zabawimy się trochę, wyjeżdżając z miasta, Charlie.

— Jesteś już, kurwa, trupem, Cavanaugh. — Gniewny głos doszedł z wnętrza kufra, który podrygiwał i szurał o piach na splekanym zielonym linoleum.

— Co za wielkie słowa w ustach kogoś siedzącego w kufrze, Roy.

— Kto tam z tobą jest? Arglist?

— Zamknij się. Pomóż mi, Charlie, zabierzmy go na górę i wpakujemy do lincolna.

— Nie mam lincolna.

— To czym jeździsz?

— Mercedesem.

— Po jaką cholerę połaśiłeś się na jakieś zagraniczne gówno? Miałeś najlepszy amerykański wóz pod słońcem.

— Lincoln jest cały zarzygany.

Vic pokazał na podrygujący kufer: — Zmieści się do bagażnika mercedesa?

Charlie pokręcił głową. — Nie jestem pewien. Może trzeba go będzie położyć na tylnej kanapie.

— Nie ma mowy. Nie mam zamiaru słuchać tego złamasa przez całą drogę nad jezioro Bascomb.

— Arglist, słuchaj. — Głos był chrapliwy i pozbawiony tchu. — Jeszcze możesz ujść z tego z życiem, jeśli pomożesz mi się wydostać. A on i tak cię wykiwa.

— Zamknij się! — Vic kopnął kufer z wściekłością i zaraz skulił się z bólu. — Jezu, mój palec.

— Czemu go po prostu nie zastrzelisz?

— Bo chcę zobaczyć, jak tonie powoli w jeziorze. Zresztą i tak musielibyśmy pozbyć się jakoś ciała.

— A co się właściwie stało?

— Czekałem na ciebie i około pierwszej usłyszałem hałas, więc wyszedłem na dwór, żeby to sprawdzić. Patrzę, a tam Deacon chowa się za rogiem. Ogłuszyłem go, zabrałem do garażu i zmusiłem do powiedzenia, co wie i kto mógł o tym słyszeć...

— Słyszysz mnie, Charlie? Proponuję ci układ.

Vic znów miał kopnąć w kufer, ale zmienił zdanie, złapał za długi stalowy drąg i walnął nim w pokrywę. — Zamknij się, powiedziałem! Chodź, Charlie, idziemy na górę.

Wspięli się po schodach, a przez całą drogę do kuchni towarzyszył im ochryply głos Roya Gellesa proponującego Charliemu układ.

— Chodź do salonu, Charlie, zobaczę, czy nie uda mi się znaleźć w tym rumowisku czegoś do picia, zanim odjedziemy.

Salon był zdemolowany. Meble poprzewracane, tapicerka pocięta, szuflady powyciągane. Telewizor leżał na boku z dziurą wielkości kuli bilardowej w ekranie. Butelki na barku — pełne jeszcze, kiedy Charlie czekał tu na Vica — były teraz puste. Vic podszedł do kredensu z trunkami i otworzył, szukając czegokolwiek, co nadawałoby się do picia.

— Tego już za wiele, wiesz? On to, kurwa, zwyczajnie powylewał... — Vic pokręcił głową, patrząc na puste butelki, jakby przyglądał się skutkom zbezczeszczenia kościoła.

— Jak on się znalazł w tym kufrze?

— Aha, no tak. Ja wróciłem do domu po tym, jak pozbyłem się Deacona, a tutaj Roy robi mi demolkę w salonie. No to wziąłem tamten drąg i ogłuszyłem go tak jak Deacona, odebrałem spluwę, zawlokłem na dół i wsadziłem do kufra. Ledwo go tam wpakowałem, Charlie. Byłem taki wykończony, że zapomniałem sprawdzić, czy nie ma przy sobie drugiego gnata. Okazało się, że miał. O mało zawału nie dostałem, kiedy z kufra zaczęły wylatywać kule, mówię ci. — Wstał, kręcąc smutno głową. — No, ani kropelki.

— A może jakieś piwo w lodówce? — Charlie musiał się napić. Zaczynała go boleć głowa.

— Nic z tego. Zresztą i tak będziesz prowadził. Według mnie wciąż możemy zdążyć na ten lot o jedenastej do Nowego Jorku, nawet jak zaliczymy przystanek nad jeziorem Bascomb. Dalej, wprowadź merca do garażu i zobaczymy, czy damy radę wpakować Roya do bagażnika.

Charlie ze zdziwieniem stwierdził, że kufer naprawdę jest zbyt długi, żeby zmieścić go w bagażniku. A zaczynał już wierzyć, że ten wóz nigdy go nie zawiedzie.

— Moglibyśmy wsadzić go do połowy, zawiesić czerwoną szmatę i przywiązać klapę bagażnika sznurkiem — powiedział Vic.

— W kodeksie drogowym są przepisy dotyczące dużych ładunków przewożonych w bagażnikach.

— Twój problem polega na tym, że myślisz jak pieprzony prawnik, Charlie. Po prostu zróbmy tak i miejmy to z głowy, żebyśmy mogli wreszcie wyjechać z miasta.

— Jeśli zrobimy to niewłaściwie, jakiś gliniarz może postanowić nas zatrzymać i pouczyć, jak się zachować poprawnie. A co pocniemy, kiedy kufer zacznie do niego mówić?

— Nic takiego się nie stanie — orzekł Vic, ale twarz miał zaniepokojoną. — Ludzie przecież nieraz tak robią...

— Daj spokój, droga nad jezioro zajmie najwyżej dwadzieścia minut, nawet w tym śniegu. Połóżmy go po prostu na tylnej kanapie.

Z kufra znowu dobył się głos. — Opłaci ci się to, Charlie. Powiem, że nie mogłem cię znaleźć. Możesz zabrać ze sobą pieniądze. Wszystkie. Zaniosę głowę Vica w pudle na kapelusze i to Billowi wystarczy.

— Masz ochotę słuchać tego przez całą drogę, Charlie?

— W ten sposób będziemy mniej narażeni na zatrzymanie. A na doładek możemy wrzucić torby do bagażnika i nie będziemy musieli się potem przepakowywać.

Vic westchnął. — No dobra, wygrałeś. Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Jestem naprawdę zmęczony. Załadujmy już gnojka do samochodu i ruszajmy.

Dźwignęli kufer za rączki. Szamotanie Roya w środku sprawiło, że Charlie połuźnił uchwyt i upuścił nagle skrzynię na betonową posadzkę w garażu, co wywołało okrzyk bólu i zaskoczenia w środku. Podniósł swój koniec na nowo i razem z Vicem zdołali, choć nie bez trudu, umieścić kufer na tylnej kanapie. Charlie znowu się zdziwił, widząc, że wnętrze wozu jest przestronne, ale tylko pozornie.

— Wiesz, to cholernie duży kufer. Nie jestem pewien, czy wszedłby nawet do bagażnika lincolna.

— Może i masz rację — stwierdził Vic. — Zapakujmy torby i poryskajmy.

Kiedy skręcali ze starej autostrady stanowej pięć kilometrów na wschód od miasta, w zasięgu wzroku nie było ani jednego pojazdu. Zaklinania Roya ustały, a zastąpiło je niskie, niezrozumiałe mamrotanie.

Charlie zdołał już niemal wyprzeć te odgłosy ze swej świadomości dzięki płynącym z radia kolędom, gdy Vic wyciągnął rękę i wyłączył odbiornik.

— Nasłuchałem się już tych bredni tyle, że wystarczy mi do końca życia — powiedział i jedynym dźwiękiem słyszalnym ponad warkotem silnika i szumem ogrzewania stało się niewyraźne pojękiwanie.

Pewnie niewiele powietrza dostawało się do kufra przez dziury po kulach, pomyślał Charlie, ale bez niego Roy już dawno by się udusił. Vic siedział zapatrzony przed siebie z twarzą bez wyrazu, w kompletnym milczeniu. Wyglądał tak, że równie dobrze mógł właśnie jechać, by zdać do skupu butelki po napojach albo odebrać ubrania z pralni.

— Dałem Renacie negatyw — rzekł w zamyśleniu Charlie. Wciąż miał ochotę na drinka.

Vic zmarszczył czoło. — Co za negatyw?

— Ten z Cupcake.

Vic odwrócił się do niego, oszołomiony. — Dałeś jej negatyw? Po jaką cholere?

Wzruszył ramionami. Niepotrzebnie o tym wspomniał. — Jako gwiazdkowy prezent.

— To wcale nie jest zabawne. Nie robi się takich rzeczy. To narusza równowagę sił.

— A co nas to obchodzi? I tak już nas tam nie będzie.

— Nie o to chodzi.

— Czyli według ciebie w porządku jest przez trzy i pół roku rżnąć Billa Gerarda, a potem wyczyścić mu konta bankowe, ale dać komuś jedną parszywą fotkę to już podłość?

Vic pokręcił głową, zdegustowany. — Nieważne. Zapomnij o tym.

— Powiedziała mi, że Roy był u niej, szukał nas obu.

— Po co miałaby ci to mówić? Tak jakby to było coś złowieszczego? Co ty jej właściwie powiedziałaś?

— Nic.

— Daj spokój, Charlie, co niby mogła sobie pomyśleć, gdy dałeś jej ten negatyw? Ze wszystkich tępaków, jakich spotkałem w swoim życiu, ty jesteś najgorszy. Najgorszy.

— Vic, Bill Gerard wie. Dlatego wieziemy teraz Roya w tej skrzyni na tylnej kanapie.

Vic był zupełnie spokojny. — Nie w tym rzecz — powiedział cicho.

Milczeli przez chwilę, a do uszu Charliego dotarła modlitwa dobywająca się z kufra, „Zdrowaś Mario” na zmianę z „Ojcze nasz”.

Vic pokręcił głową. — Posłuchaj go tylko, raptem próbuje być dobry w ostatnich minutach życia.

— To ciekawe, akurat dziś w nocy odmówiłem „Zdrowaś Mario” pierwszy raz od nie wiem ilu lat, a teraz to.

— No, to niezwykle.

— Jesteś katolikiem, Vic?

— Jasne. Tak samo jak ty, no nie?

— W każdym razie kiedyś nim byłem.

— Co znaczy, kiedyś byłem? Jak już raz katolikiem zostałeś, to katolikiem umrzesz.

— Wiesz, ożeniłem się z kongregacjonalistką i moje dzieci są wychowywane w jej wierze.

— Nigdy nie pozwoliłbym wychować dzieciaków inaczej jak na katolików. Nie to, żeby Bonnie kiedykolwiek próbowała. — Vic odwrócił się i spojrzął na kufer. — Hej, Roy, co narozrabiałeś od ostatniej spowiedzi? Mam nadzieję, że nic straszego. — Roześmiał się. Chrapliwa, monotonna recytacja w kufrze ustalała, a Vic roześmiał się głośniej. — Wygląda na to, że Roy zaraz wylądjuje na samym dnie piekła.

— Chcę księdza — powiedział Roy. Mówił jak pijany.

— Mam rację, no nie, Charlie? Jak umrzesz z ciężkim grzechem na sumieniu i nie zdążysz się wyspowiadać, od razu idziesz się smażyć.

— Chyba coś takiego pamiętam — odparł Charlie — ale musiałbym spytać księdza albo specja od prawa kanonicznego. Mogą istnieć jakieś wyjątki, jeżeli człowiek naprawdę nie jest w stanie dotrzeć do księdza, a szczerze pragnie się wyspowiadać. Może wystarczy wtedy dłuższy pobyt w czyściecu...

— Pieprzeni prawnicy, zawsze szukają furtek. Moim zdaniem Roy powędruje z jeziora Bascomb prosto w czeluście ognia.

Słyszac to, Roy zaczął kopać gwałtownie w pokrywę, a Charlie wyobraził sobie, jak spuszcza skrzynię do lodowatego jeziora. Nie był pewien, czy zdoła się do tego zmusić, nie był nawet pewien, czy da radę stać tam i patrzeć, jak robi to Vic. Dlaczego Vic nie mógł biednego

łajdaka po prostu zastrzelić? Musieli mocno zboczyć z trasy i zmarnować sporo czasu, żeby tylko zaspokoić wielkie pragnienie zemsty Cavanaugha. Może Roy miał rację, może gdy tylko znajdą się nad jeziorem, Charlie podzieli jego los. Może powinien się zastanowić nad przyjęciem propozycji Roya. Wiedział, że gadka o pozwoleniu mu na wyjazd z pieniędzmi to bluff, ale być może istniała spora szansa na to, że Roy daruje mu życie. Charlie uznał, że to całkiem sprawiedliwy układ. Roy zawył niezrozumiale w kufrze, prawdopodobnie tracąc świadomość z braku powietrza lub może od uderzenia w głowę.

— Zabiłeś już kiedyś kogoś, Charlie? — Vic popatrzył na niego z ukosa.

— Nie.

— Zdawało mi się, że byłeś w wojsku. Nie walczyłeś w Wietnamie?

— Stacjonowałem w Niemczech. Zresztą i tak wyszedłem do cywila, zanim zaczęła się koncentracja sił w Wietnamie.

— Ja mogłem pojechać do Korei, gdybym nie siedział akurat w pudle. Nawet się zgłosiłem i powiedziałem, że pojadę na ochotnika, jak mnie tylko wypuszczą, ale nie łknęli tego. A naprawdę bym pojechał. Sam tego chciałem.

Charlie odchrząknął. — No dobrze, a jak to się stało, że pojechałeś aż do Midasa, żeby pogrzebać Deacona?

Vic wzruszył ramionami, jak gdyby to było oczywiste. — Gdybym zostawił go w domu albo zakopał na podwórzu, ktoś mógłby mnie zobaczyć, a gdybym kiedykolwiek został złapany, o wiele łatwiej by mnie było skazać. A dodatkowo wykombinowałem, że jak ty znikniesz i ja zniknę, i Roy zniknie, a ciało Deacona zostanie znalezione, to na kogo padnie podejrzenie?

— Na Billa Gerarda?

— No właśnie.

Oddech Roya rwał się teraz, z kufra dochodziło głośnie, świszczące sapanie.

— Może powinniśmy wpuścić mu tam trochę powietrza, Vic.

— Odbiło ci? Jeszcze dziesięć minut i będzie po nim.

Charlie zastanowił się, czy to możliwe, żeby Bill Gerard beknął za cały ten bałagan. Wcześniej jakoś nie przyszło mu do głowy, że on i Vic mogą być wzięci za ofiary, a nie za przestępców. Zostaną uznani za zaginionych

i prawdopodobnie martwych. Nagła, natrętna myśl wywołała chwilową panikę.

— Słuchaj, Vic? — Czuł, że przy imieniu głos podniósł mu się o oktawę.

— No? — Vic patrzył w drugą stronę, oglądając przez okno zaśniewany krajobraz naznaczony niskimi parkanami i słupami telefonicznymi.

— Jak ty myślisz, co się właściwie stało z Desiray?

Vic burknął coś pod nosem, nie odwracając głowy.

— Co? Nie słyszałem, co powiedziałaś.

Powtórzył głośniej, wciąż wpatrując się w okno: — Powiedziałem, nie martw się o Desiray.

— Nie martwię się, ja tylko, no wiesz, czasem się zastanawiam.

— No to się nie zastanawiaj.

Jechali dalej przy akompaniamencie głośnego charczenia i sapania dochodzącego z wnętrza kufra. W końcu Vic spojrział przed siebie.

— Posłuchaj, Charlie... Ona się połapała, co kombinujemy.

— Niby jak się połapała? Nikt inny się nie domyślił.

— Bzykałem się z nią w tamtym czasie. Często się widywaliśmy i zaczęła kojarzyć pewne fakty. Któregoś dnia spytała: „Kantujesz Billa Gerarda?” Zaskoczyła mnie. No i jej powiedziałem.

— Powiedziałeś jej?

— A jaki sens miałyby w tamtym momencie zaprzeczanie? Jezu, już i tak się domyśliła. Chciała jechać z nami i dostać swoją działkę. A tak dokładnie, to chciała jechać ze mną.

— Więc ją zabiłeś?

— A ty co byś zrobił? Chciała jednej trzeciej. To znaczy, jednej trzeciej z mojej części i jednej trzeciej z twojej.

— Jezu, Vic, ona miała dwójkę dzieci.

— Bez przesady, dzieciaki są teraz z jej siostrą i szwagrem. Z siostry jest porządna, religijna babka, zupełnie nie to co Desiray. Ma na maluchy o niebo lepszy wpływ niż ta chciwa dziwka. I nie zapominaj, że sam jesteś za to współodpowiedzialny. Bronilem twoich interesów tak samo jak swoich.

— No to gdzie jest jej... — Urwał i ujął to inaczej: — Gdzie ją ukryłeś?

- Tam, gdzie zaraz znajdzie się Roy. Też w kufrze.
- Jezu. Chyba nie wpakowałeś jej tam żywcem, co?
- Czy poczujesz się lepiej, jeżeli powiem, że nie?

Skinął głową. — Owszem.

— No dobra. Powiedzmy, że nie żyła, kiedy kufer wylądował w wodzie.

Żaden z nich nie odzywał się już, dopóki nie dojechali nad jezioro.

Do drewnianego pomostu nie wiodły żadne ślady opon na śniegu. Charlie zatrzymał samochód jakieś trzy metry od niego, następnie wysiadł i otworzył tylne drzwi od strony kierowcy. Vic otworzył drugie drzwi i pchał kufer, podczas gdy Charlie ciągnął. Charliego znów zaczęło boleć biodro — poślizgnął się, upadł i pociągnął za sobą kufer, ściągając go z tylnego siedzenia. Kiedy skrzynia opadła na ziemię, ze środka dobył się taki dźwięk, jakby ktoś spuścił powietrze z piłki do koszykówki. Jeszcze dwa, trzy centymetry, a róg kufra trafiłby go prosto w jaja.

— Nic ci nie jest?

— Nie — odparł Charlie, przekonany, że Vic zamierza go zabić, gdy tylko przestanie być mu potrzebny do pomocy we wpakowaniu Roya pod wodę.

Wstał i otrzepał się, a ból w biodrze się nasilił. Ruszyli z kufrem w stronę pomostu, przy czym Vic szedł jako pierwszy, tyłem. Stał ostrożnie na pomoście i nie zdążył na nim zrobić nawet dwóch kroków, gdy się poślizgnął i upadł. Kufer grzmotnął ciężko o deski pomostu, a z jego wnętrza dotarło ledwo słyszalne tym razem sapnięcie.

— Cholera. Dawaj, wrzućmy już tego palanta do wody i ruszajmy w drogę. Postaw skrzynię i pchaj.

Vic podniósł się i zaczął wlec kufer po pomoście. Charlie pchał, wprawiając skrzynię w podskoki na śliskich deskach.

— Dobra, stój. — Vic znajdował się na samym końcu pomostu. Odwrócił się, by popatrzeć na jezioro, zamarznięte i pokryte warstwą połykającego śniegu. Westchnął z zadowoleniem. — Ależ tu pięknie, Charlie.

— O tak...

Charlie patrzył na Vica podziwiającego widoki i na kufer opierający się o jego nogi w zgięciach kolan i podjąwszy decyzję, już się nachylił, by przesunąć trochę drewniane pudło, opierając się o nie ramieniem. Ciężki sprzęt uderzył Vica od tyłu, podcinając mu nogi i posyłając w powietrze. Vic zdołał utrzymać się w pionie ze stopami zwieszonymi tuż nad lodem i wyrzuconymi w górę rękami, z których jedną zaczepił na moment o krawędź pomostu, próbując się na nim utrzymać. Po chwili jednak puścił i po krótkim, bezgłośnym locie uderzył o lód z głuchym tąpnięciem, po którym nastąpił trzask, ale nie dał się słyszeć plusk.

— Ty tępy sukinsynu! Pomóż mi!

Charlie przechylił się nad kufrem i patrzył w dół na ciemną sylwetkę Vica rozciągniętego na lodzie, by równo rozłożyć ciężar ciała. Upadł z wysokości jakichś dwóch i pół metra; niski był tego roku poziom wody w jeziorze.

— Trzymaj się. Pójdę poszukać czegoś, żebyś mógł się chwycić.

— Tylko się, kurwa, pospiesz.

Charlie poszedł powoli do samochodu i otworzył bagażnik. Sięgnął ponad bagażami i wyciągnął łyżkę do opon i dziwny dwuczęściowy lewarek, jakiego nigdy wcześniej nie widział, po czym wrócił na pomost.

— Pospiesz się, ten lód zaraz się załamie.

Charlie skrzywił się, upuszczając jedną część lewarka parę centymetrów od twarzy Vica. Spadła, przebijając się przez śnieg, przez lód, i wyładowała w wodzie. Dało się słyszeć trzask, taki jak w osiadającym starym domu.

— Co ty, kurwa, wyprawiasz, Charlie? — Vic bardzo ostrożnie uniół głowę, odsuwając się delikatnie od wyrwanej przez żelastwo dziury i od rozprzestrzeniających się pęknięć, a jednocześnie oddalając się od brzegu.

— Wybacz, Vic.

— Ty gnoju.

— Przecież zamierzałeś mnie zabić.

— Nie wiesz, gdzie są pieniądze, Charlie. Beze mnie jesteś udupiony.

— Są w jednej z twoich walizek.

— Nieprawda.

Rozległ się kolejny trzask, o bardziej donośnym i wyższym brzmieniu, a Vic przesunął się bardzo delikatnie, spoglądając w stronę brzegu i sięgając po coś do kieszeni. Charlie upuścił drugą część lewarka. Ona także spadła prosto w dół jakieś dwadzieścia centymetrów od piersi Vica i lodowa otchłań się pod nim otworzyła. Znikł na moment, po którym jego twarz wyłoniła się, prychając. Jedynie głowa i odziane w puchową kurtkę barki były widoczne ponad wodą, gdy zaczął w niej przebierać nogami.

— Chryste, jak zimno... — Głos mu się łamał i drżał. — Charlie, pomóż mi. Nie miałem zamiaru cię zabić. Przysięgam.

Charlie zszedł z pomostu i zaczął grzebać w śniegu w poszukiwaniu kamienia. Wrócił nad wodę z dwoma całkiem sporymi — jeden ważył pewnie z pięć kilogramów — i upuścił mniejszy. Nie trafił w głowę Vica i rozległ się tylko głośny plusk. Charlie upuścił drugi, a Vic wrzasnął z bólu i zaskoczenia, gdy kamlot uderzył go prosto w ciemię, wydając dziwnie głuchy dźwięk. Vic popatrzył na Charliego, oszołomiony, po czym zniknął, głośno zasysając wodę z jeziora. Charlie przez półtorej minuty z zegarkiem w ręku obserwował wyrwę w lodzie, a następnie odwrócił się, by otworzyć kufer. Zaniepokoił się przez moment, że Vic wypłynie w przerębli, jak tylko zacznie puchnąć, ale stwierdził, że do tego czasu łódź się już pewnie zdąży odbudować. Zresztą to było duże jezioro i istniało małe prawdopodobieństwo, że wypłynie akurat tam, gdzie zatonął.

— Zaraz cię stamtąd wyciągnę, Roy, i pogadamy o układzie.

Jego wielki życiowy plan właśnie spalił na panewce, całe lata dokładnego kombinowania i oszustw diabli wzięli, a biedna Desiray leżała martwa w kufrze podobnym do tego, w lodowatej wodzie pod jego stopami zupełnie nadaremnie. Czuł dziwną ulgę, walcząc przy pomocy łyżki do opon z tanią kłódką, dopóki skobel nie wygiął się i nie puścił.

— Roy? — Włożył rękę do środka i potrząsnął biedakiem. Powieki Roya do połowy zakrywały nieruchome oczy, a szczeka opadła, ukazując tkwiący pomiędzy zębami język. Charlie sprawdził tętno na szyi, lecz nic nie wyczuł, choć nie wiedział tak naprawdę, gdzie go właściwie szukać. Potrząsnął Royem mocniej. — Daj spokój.

Roy się nie poruszył. Charlie przypomniał sobie starą historię, jaką jego pradziadek Arlen zwykł był opowiadać o wiejskim doktorze, który przywrócił do życia pozornie martwego rolnika poprzez złamanie mu wielkiego palca u nogi. Rolnik wrzasnął z bólu i zaskoczenia i usiadł, najwyraźniej cały i zdrowy, co stało się tematem pogłosek o zmartwychwstaniu i cudzie w całej okolicy, jednak złamany palec szerniał, wdała się gangrena i w ciągu tygodnia nieszczęśnik tak czy owak umarł. Opowieści tej zawsze towarzyszył radosny śmiech opowiadającego.

Charlie nie chciał zdejmować Royowi buta, więc złapał go za bezwładną lewą rękę i złamał mały palec. Wyraz twarzy Roya się nie zmienił. Włożył rękę do kufra i wyciągnął pusty pistolet Roya, niklowane małeństwo ukrywane zapewne w skarpecie. Czuł się paskudnie, okradając nieboszczyka, a na dodatek nie wiedział, gdzie zdobyć naboje ani jaka amunicja będzie pasować, a jednak pomyślał, że pistolet może mu się przydać. Włożył go do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

— Wybacz, Roy.

Zamknął kufer i zepchnął go z pomostu. Natychmiast powstała podłużna, prostokątna dziura w lodzie na lewo od tej pierwszej. Przez moment skrzynia unosiła się na powierzchni, aż wreszcie nabrała wody i zatonała.

Walizki Vica zawierały osiem, może dziesięć zmian ciepłych ubrań, trzy pary kowbojek z krokodylej skóry, przybory do golenia i tysiąc dolarów w czekach podróźnych. Innych pieniędzy nie było. Charlie zawlókł obie walizy na pomost i wrzucił je do większej przerębli, wrócił do mercedesa, włączył radio i ruszył z powrotem do domu Vica.

Orkiestra smyczkowa próbowała przedrzeć się przez inne instrumenty w nijakiej aranżacji „White Christmas”, kiedy jechał drogą, wzdłuż której po obu stronach ciągnęły się zaniedbane płoty i zasy. Zachrypli spiker bełkotał niskim, strwożonym głosem na tle kończącej się piosenki coś o głębszym znaczeniu obecnych opadów śniegu, jakby był to jakiś bożonarodzeniowy cud. Charlie po raz pierwszy od lat pomyślał o swym ósmym Bożym Narodzeniu, kiedy to sypało przez trzy dni non stop, a on dostał pod choinkę szczeniaka labradora. Choć miał to być prezent dla całej szóstki rodzeństwa, psiak natychmiast przywiązał się właśnie do Charliego. To on nadał mu imię Duke i Duke pozostał wyłącznie jego psem, przynajmniej do czasu wyjazdu na studia. Kiedy Charlie przyjeżdżał do domu na ferie, Duke szalał z radości, skomlał, szczekając i liżąc, gdzie popadło, zaś gdy Charlie zaczynał się pakować przed nieuchronnym powrotem na uczelnię, psie oczy przybierały wyraz komicznego wręcz smutku. Duke zdechł, kiedy Charlie był w wojsku, a teraz poczuł, że łzy napływają mu do oczu na myśl o starym psisku konającym, gdy go przy nim nie było. Uświadomił sobie, że nie wie nawet, gdzie rodzicie go pogrzebali. A skoro już o tym mowa, to jego pradziadek też zmarł, kiedy Charlie stacjonował w Niemczech, i jego miejsca pochówku także nie znał.

Zastanawiał się, czy opowieść pradziadka Arlena o rolniku była prawdziwa, czy też staruszek zmyślił ją, żeby przestraszyć Charliego i jego rodzeństwo. Większość z jego anegdot o młodości na dzikim zachodzie miała podobnie sensacyjny charakter, pełna była krwi, drobnej przemocy, pijanych kowbojów, wszechobecnych, okropnych choróbsk, mściwych Indian i snujących się duchów. Staruszek byłby zachwycony, słysząc o trzech trupach spędzających wspólnie zimę pod lodem jeziora Bascomb, o mordercy i jego dwóch ofiarach czekających wspólnie na wiosenną odwilż.

W głębi duszy Charlie był nie mniej wstrząśnięty tym, że Desiray syiała z Vicem, niż faktem, iż została przez niego zabita. Nie raz i nie dwa głośno wyrażała swą wielką niechęć do Vica, zaś w życiu zawodowym Vic nie mógł zdaniem Charliego zrobić dla niej nic, czego nie zrobiłby on sam. To prawda, że miała nienasycony apetyt na kokę. Pamiętał, kiedy wracał z nią raz do domu pewnego letniego wieczora i przyglądał się, jak wciąga kreskę za kreską, osiągając wraz z upływem czasu coraz wyższy stopień szaleństwa i zapijając każdą działkę tanim winem, a na koniec fundując Charliemu z wielkim entuzjazmem genialne obciążanie. Przyszło mu teraz do głowy, że jeśli Vic kupował od niej seks za kokę, to jego, jak się mogło zdawać, niewyczerpane zapasy białego proszku mogły skłonić ją do popełnienia fatalnego błędu polegającego na wysnuciu przed Vicem przypuszczenia co do źródła tego narkotyku... Charlie lubił Desiray, naprawdę bardzo ją lubił i przez wiele miesięcy starał się udawać przed samym sobą, że jej zniknięcie nie oznaczało tego, co wydawało się najbardziej prawdopodobne. Było mu przykro, że jednak nie żyła; było mu przykro, bo wiedział, że to robota Vica, za to wcale nie było mu przykro, że za jego sprawą nie żył też sam Vic.

Powrócił do rezydencji Cavanaugha, nie żywiąc wielkiej nadziei, że znajdzie tam pieniądze. Skoro Roy ich nie znalazł, musiały być gdzie indziej. Według Dennisa, Vic wpadł po południu do Tease-O-Ramy, jednak istniało zbyt wielkie ryzyko, że zajrzy tam także Charlie, by Vic miał zostawić kasę właśnie tam. Po pobieżnym i bezowocnym poszukiwaniu gorzałki, którą on i Vic mogli przeoczyć wcześniej, usiadł przy stole w

kuchni, by się zastanowić. Na blacie kuchennym tuż obok stała automatyczna sekretarka, a jej czerwone światelko mrugało.

— Halo? — Lekko chropawy i ostrożny głos należał do kobiety, która jednak nie powiedziała już nic więcej, tylko po paru sekundach odłożyła słuchawkę. Charliemu przyszła na myśl Renata, jednak po tym, jak pięciokrotnie odtworzył nagranie, wciąż nie miał pewności, czy to była ona, czy nie. Wśród rozrzuconych dokoła klamotów z kuchennej szuflady znalazł notatnik z telefonami i sprawdził pod nazwiskiem Renaty. Znalazł jej numer domowy, zanotowany dziecinnym pismem Vica, i zaczął go wykręcać. Przerwał i raz jeszcze spojrzął w dół.

Obok numeru telefonu widniał też jej domowy adres. Było wpół do szóstej rano. Niezależnie od tego, czy znajdzie pieniądze, czy nie, będzie musiał zniknąć z miasta już bardzo niedługo.

Domem Renaty był skromny biały budynek z dwuspadowym dachem we wschodniej części miasta, jakieś półtora kilometra na zachód od Złotej Klatki. Kiedy Charlie przejeżdżał, w salonie paliło się światło. Zaparkował mercedesa nieco dalej i wrócił pod drzwi Renaty pieszo. Śnieg przestał padać i wokół panowała niesamowita cisza, jeśli nie liczyć skrzypienia jego butów na zaśnieżonym chodniku. Wszedł na werandę i zastukał w przeszklenie w drzwiach. Chwilę później czyjaś dłoń odsunęła zasłone okna i wyjrzała Renata, patrząc na niego bez odrobiny zaskoczenia.

Otworzyła drzwi. — Witaj, Charlie.

Odsunęła się na bok, a on minął ją i wszedł do środka.

— Co cię tutaj sprowadza? Nadzieja, że jeszcze zechcę wynagrodzić cię za tamten życzliwy gest? — Zamknęła za sobą drzwi.

W jej salonie panowało ciepło i półmrok, a meble były stare i podniszczone. Na kominku płonął ogień. Renata miała na sobie obcisłe spodnie, czarny golf z przylegającej dzianiny i była bez butów. Przez cieniutką powłoczkę nylonowych pończoch przebijał jasnoczerwony lakier do paznokci, taki jak na długich paznokciach u rąk, i ten szczegół nieco go podniecił. Jej włosy wciąż były upięte w ciasny kok z tyłu głowy.

— Gdzie byłaś? Wpadłem do Złotej Klatki po naszej rozmowie, ale nikogo nie zastałem.

— Nie mogłam tam dłużej siedzieć i na ciebie czekać, Charlie. Powiedziałaś, że będziesz za dwadzieścia minut.

— Zatrzymała mnie policja. — Był pewien, że jechał niewiele dłużej, ale teraz nie miał czasu zastanawiać się nad takimi drobiazgami. — Słyszałem twoją wiadomość.

— Jaką wiadomość? — Podeszła do kuchni i stanęła do niego tyłem w otwartych drzwiach.

— Zostawiłaś wiadomość na automacie Vica.

— Po co niby miałabym dzwonić do Vica? Nie znam nawet jego telefonu. A poza tym zawsze gdy słyszę automatyczną sekretarkę, od razu odkładam słuchawkę. Nie lubię rozmawiać z maszyną.

— A zatem była to osoba mająca bardzo podobny głos jak twój.

— Podobny głos? Co powiedziała?

— Tylko „halo” i odłożyła słuchawkę.

— To nie byłam ja. A znalazłeś Vica?

— Tak, znalazłem. Vic nie żyje.

Uniosła jedną brew. — Roy Gelles go załatwił?

— Roy też nie żyje.

— A zatem możesz wyjechać bez przeszkód. Po co się tu zatrzymałaś?

Oparła się o framugę kuchenną ze skrzyżowanymi z przodu rękami i lekko pogardliwym uśmiechem rozbawienia, który zaczynał się formować w kącikach ust. Charliemu wydawało się, że celowo wygięła plecy w łuk, by uwydatnić piersi.

— Nie mogę znaleźć pieniędzy, a bez nich nigdzie się nie ruszę.

— Myślisz, że są tutaj?

— Nie wiem. Wiem tylko, że kobieta na automacie Vica miała taki sam głos jak ty.

Wzruszyła ramionami. — Rozejrzyj się, jak chcesz.

Usiadł przy stole w jadalni. — Raczej tego nie zrobię. Masz coś do picia?

— Tylko kawę i herbatę.

— Nic mocniejszego?

— Nie mam nawet wina. Więc jak, zrobić ci kawę czy nie?

— Chyba nie. — W głowie czuł łupanie, a ból w biodrze nie ustępował ani na chwilę.

— Może ta kobieta z automatycznej sekretarki to była Bonnie. Też ma ochrypli głos. No wiesz, typowy dla kobiet, które palą i nie stronią od gorzały.

— O ile wiem, Vic i Bonnie od trzech lat ze sobą nie rozmawiali, jeśli nie liczyć wymiany obelg.

— O ile wiesz. A może to ona ma pieniądze. — Usiadła na krześle obok niego i pochyliła się do przodu. — Nadal mieszka w ich dawnym domu, prawda?

Charlie skinął głową. Wydawało się to nieprawdopodobne. Charlie w życiu nie widział, żeby rozpadowi małżeństwa towarzyszyła taka zwierzęca wręcz złośliwość, jak to było w przypadku Vica i Bonnie; nawet u niego miało to łagodniejszy przebieg.

— Nie przyszło ci do głowy, że planował zabrać ze sobą ją i dzieciaki, a ciebie się pozbyć, co?

— Co do tego ostatniego to masz rację. Miał zamiar wpakować mnie do jeziora.

— A jeśli naprawdę chciał ją ze sobą zabrać, to mógł pomyśleć, że jej dom będzie bezpieczną kryjówką dla pieniędzy aż do wyjazdu nad ranem.

— To możliwe.

— Jeżeli nawet ona w tym nie uczestniczy, to czy nie mógł pojechać zobaczyć się z dziećmi? Może miał tam jakąś skrytkę, sejf pod podłogą albo coś w tym stylu...

Zaczynało to dla niego nabierać sensu. Vic był nie bardziej troskliwym ojcem niż on, ale Gwiazdka dałaby mu idealny pretekst, by pojechać do dawnego domu i coś ukryć. — Mógł je zapakować jak prezent i położyć pod choinką.

Renata skinęła głową. — O jakiej kwocie właściwie rozmawiamy, Charlie? Jeśli obaj zamierzaliście prysnąć z miasta i jakoś się ustawić, to musiało być tego znacznie więcej niż gotówka, którą udało wam się skubnąć w ciągu ostatnich paru lat.

— Wczoraj w południe wyczyściłem wszystkie firmowe konta.

— To ile tego było z pięciu czy sześciu lokali? Powiedzmy dwanaście kawalków, góra piętnaście. Wciąż nie dość, byś razem z Vicem mógł się z tym ulotnić i zacząć nowe życie.

Charlie westchnął i wstał. Była za piętnaście szósta. — Handlowaliśmy trochę koką na boku. Prawdę mówiąc, nie trochę, tylko całkiem sporo. Za plecami Billa.

— Jezu Chryste, Charlie. Bill Gerard posiekałby was na kawałki, gdyby się dowiedział.

— Nasz pomysł polegał na tym, żeby zarobić dużo pieniędzy i zwiać, *zanim* Bill się dowie.

— A zatem pieniędzy jest dużo.

— Cholernie dużo. Lepiej pojedę do Bonnie, zanim zejdą tam na dół i otworzą prezenty.

Wstała i podeszła do niego. — Gdybyś zechciał tu jeszcze wpaść przed wyjazdem, Charlie... — Położyła jedną rękę na jego barku, a drugą na biodrze. Nachylili się i pocałowali krótko. Jej usta smakowały miętową gumą do żucia, która miała zabić woń nikotyny, i to właśnie połączenie Charlie lubił najbardziej. W końcu Renata odsunęła się, opierając dłonie o jego pierś i wyginając palce tak, że przez płaszcz i koszulę czuł jej długie paznokcie. — Teraz powinienes już iść. — Jej obcy akcent zabrzmiał nieco wyraźniej niż zwykle.

Dziesięć minut później zatrzymał mercedesa trzy budynki od domu Bonnie, tyle że po drugiej stronie ulicy, na nowym osiedlu niemal identycznych piętrówek; w okolicy, na którą, gdy Charlie dorastał, składały się same pola uprawne. Wysiadł z samochodu i przeszedł przez jezdnię z lekkim kluciem nerwowości wywołanej mającym zaraz nastąpić włamaniem, tłumionej jednak przez świadomość, że nikt nie będzie o nic złego podejrzewał dobrze ubranego, białego mężczyzny w średnim wieku, jeżdżącego najnowszym modelem mercedesa — nieważne, że plątał się po okolicy przed szóstą rano. Fakt, że mężczyzna ów popełnił tego ranka swoje pierwsze morderstwo, a zaraz miał dokonać pierwszego w życiu włamania, przypadkowemu obserwatorowi nie przyszedłby nawet do głowy.

Podszedł do bocznej ściany domu i odgarnął śnieg wokół okienka do piwnicy. Przycupnął w utworzonym w ten sposób zagłębieniu i skupił się, wiedząc, że może pozwolić sobie tylko na jednego kopniaka i spowodowane nim głośne brzęknięcie. Prawa stopa trafiła prosto w szybę, tłukąc ją, przy czym but zsunął mu się z pięty, a hałas, jaki powstał, wydał

się nie do opisania. Przez to siedział potem nieruchomo dobre pół minuty, lecz wyglądało na to, że nikt go nie usłyszał. Ostrożnie zaczął wyciągać stopę z rozbitego okna, z butem dyndającym na czubkach palców, a kiedy już prawie mu się udało, but zahaczył o sterczący odłamek szkła i wpadł do piwnicy. Klnąc pod nosem, ukląkł, włożył rękę i zdołał jakoś otworzyć okno, nie podcinając sobie przy tym żył w nadgarstku.

Zszedł po cichu do piwnicy z kompletnie przemoczoną prawą skarpetą.

Absolutną niemal czerń łamały tylko bladoszare prostokąty okienek pod samym stropem. Znalazł drogę do ściany i szedł dalej niezgrabnie dokoła pomieszczenia, kierując się dotykiem i uważając, by nie porzucić ustawionych pod ścianami pudeł, aż w końcu dotarł do schodów dokładnie na wprost okien. Przesuwając dłonią w górę i w dół po ścianie, namacał kontakt i włączył światło. Piwnica była niewykończona, miała upstrzone plamami betonowe ściany i gładką cementową posadzkę, zarzuconą grubą warstwą niepotrzebnych kłopotów. Dwie gołe żarówki wisiały na drucie pod sufitem, z czego jedna świeciła znacznie słabiej od drugiej. Dłuższą chwilę spędził pod wybitym oknem w poszukiwaniu buta, przesuwając na boki pudła ze starymi ubraniami i zabawkami, by ze zdumieniem stwierdzić, że wszystko to na próżno. Jeszcze przez parę minut przeszukiwał resztę pomieszczenia, aż wreszcie się poddał. Zgasił światło i powoli wspiał się po schodach.

W kuchni było tylko odrobinę jaśniej niż w piwnicy. Otworzył drzwi lodówki, przytrzymując się jej prawą ręką, by nie stracić równowagi i maksymalnie wyciszyć głucho pyknięcie towarzyszące rozdzielaniu się gumowych uszczelek. Zajrzał do środka, ale nie znalazł piwa ani wina, tylko spory wybór napojów, soków owocowych i mleka, więc ruszył dalej.

Choinka była wielka, stała w przeciwległym kącie pokoju, a pod nią leżało chyba ze trzydzieści kolorowo opakowanych prezentów. Ukląkł, żeby je obejrzeć, lecz okazało się, że w ciemności nie jest w stanie odczytać podpisów na karnecikach. Na czworakach przeszedł za drzewko, znalazł wtyczkę i włożył ją do gniazdka w ścianie. Wielobarwne lampki

świeciły zaskakująco jasno, zalewając pokój delikatną poświatą, w której zobaczył stojący na niskim stoliku talerzyk z nie dojedzonymi ciasteczkami i opróżnioną do połowy szklanę mleka; przynajmniej nie musi się przejmować, że Bonnie zejdzie na dół poudawać Mikołaja. Na kominku wisiały trzy wypchane gwiazdkowe skarpety, a na gzymsie stało całe mnóstwo rodzinnych fotografii, z czego jedna, ku jego zaskoczeniu, przedstawiała nawet Vica. Charlie bardzo wątpił, by w domu Sarabeth można było gdzieś znaleźć jego zdjęcie, chyba że Melissa ukryła coś w jakimś swoim sekretnym miejscu. Podpisy na karnecikach były teraz świetnie widoczne i Charlie zaczął przeglądać prezenty. Pierwsza paczka podpisana ręką Vica była wielkim pudłem z napisem: „Dla Niny od taty”. Zaczął dłubać paznokciami przy taśmie klejącej, bezskutecznie usiłując nie podrzeć opakowania. Kiedy wreszcie zdjął papier z wierzchu, zobaczył słowa „BOBAS MNIAM-MNIAM” i informację, że zabawka jest odpowiednia dla dzieci od czterech do ośmiu lat. Podniósł pokrywę pudła i w środku ujrzał Bobasa Mniam-Mniam, instrukcję obsługi i nic poza tym. Pamiętał tę lalkę całkiem dobrze, bo sam dał taką Melissie jakieś dwa czy trzy lata wcześniej, kiedy panował na nie największy szal. Kiedy wkładało się w usta lalki coś do jedzenia, ta zdawała się rzeczywiście przeżuwać, a drobinki jedzenia spływały z kącików warg, tak że w którymś momencie matka obdarowanego dziecka musiała lalę umyć. Zabawka miała jeszcze kilka innych bardziej lub mniej obrzydliwych, wymagających wiele zachodu funkcji i Melissa wydawała się całkiem zadowolona, kiedy ją dostała. Odłożył lalkę do pudła i naprawił opakowanie najlepiej, jak umiał, po czym rozejrzał się za innymi paczkami od Vica. Znalazł jedną podpisaną „Dla Danny'ego od taty” i już miał ją otworzyć, gdy przyszło mu do głowy, że nawet Vic nie zostawiłby jednemu ze swoich dzieci prezentu, który jeszcze przed gwiazdkowym porankiem chciałby spod choinki zabrać. Pieniądze musiały być w paczce przeznaczonej dla Bonnie.

Ale gdzie jej szukać? Jezu, ci ludzie naprawdę lubili się obdarowywać. Dla Mamy od Susy. Dla Danny'ego od Niny. Dla Susy od Mikołaja. Wszelkie możliwe kombinacje, tylko nie dla Bonnie od Vica. Ale Charlie się nie poddawał. Babcia i dziadek, wujkowie, ciotki i kuzynostwo, wszyscy pewnie ze strony Bonnie. A w kącie, tuż obok miejsca, gdzie znalazł

wtyczkę od lampek, panoszyło się wielkie pudło owinięte w ten sam zielony papier co Bobas Mniam-Mniam. Podniósł je i przełożył nad innymi pakunkami — stosunkowo duży ciężar jego zawartości był nierównomiernie rozłożony. Charlie postawił pudło i otworzył karnecek: „Dla mojej jedynej Bonnie z wyrazami nadziei na przyszłość — Vic”.

Wziął szybki wdech i szykował się właśnie, by czmychnąć z prezentem za drzwi, kiedy powstrzymał go cieniutki głosik.

— Ty nie jesteś Świętym Mikołajem.

Obejrzał się przez ramię i ujrzał ciemnowłosą dziewczynkę, pięcioletnią, może sześciolletnią, ubraną w piżamę w Smurfy i wpatrzoną w niego wzrokiem pełnym palącej nienawiści.

Podniósł się i schylił, opierając dłonie o kolana. Wyszeptał odpowiedź, uciszając dziecko przez przyłożenie palca do ust: — Jestem jednym z jego pomocników. A ty to pewnie Nina.

— Jestem Susy — odparła głośno, pełnym wyższości tonem. — Nina ma już prawie dwanaście lat.

— A, no tak. — A zatem Ninę czekało rozczarowanie po rozpakowaniu Bobasa. — Jesteś taka duża, że wziąłem cię za twoją starszą siostrę. Ho, ho, ho.

— Jak się nazywasz? — Jej wyraz twarzy nie łagodniał.

— Charlie.

— I co tutaj robisz?

— Muszę się upewnić, że wszystkie paczki są dobrze podpisane.

— Ty kradniesz nasze prezenty.

— Zaraz wszystkich pobudzisz. A chyba tego nie chcesz, prawda?

— Nic mnie to nie obchodzi. Zresztą już i tak prawie rano.

— Ile masz lat, Susy?

— Pięć. — Wskazała na paczkę. — To prezent od mojego taty dla mojej mamy. Odłóż go.

Charlie spojrział na karnecek z udawanym zdziwieniem. — No tak, no tak. — Postawił pudło obok choinki, z brzegu całego zwaliska paczek.

— Nie tu. Tam, gdzie było. Z tyłu.

Podniósł je znowu i odstawił ostrożnie na pierwotne miejsce. — Proszę bardzo. No cóż, chyba mogę wracać na Biegun Północny. A ty może wróciłaś do łóżka, dopóki nie nastanie prawdziwy ranek.

Wpatrywała się w niego bez przekonania. — Jestem za bardzo przejęta, żeby zasnąć.

— Jeśli nie spróbujesz, będę musiał powiedzieć Mikołajowi. A jemu się to nie spodoba.

— Ty nie znasz Mikołaja.

— Tak uważasz?

— A dlaczego masz tylko jeden but?

— Drugi wypadł mi z sań.

— No dobrze. — Dziewczynka westchnęła z rezygnacją i się odwróciła. Już myślał, że mu się udało, a wtedy dziecko obejrzało się i zawołało przez ramię: — Idę zawołać mamę.

Charlie kucnął, złapał paczkę i ruszył biegiem przez ciemną kuchnię przy wtórze ogłuszającego wrzasku małej Susy, uderzając bolącym biodrem o ostry kant szafki. Zaczął zmagać się z rygłem przy kuchennych drzwiach.

— Mamo! Ktoś kradnie nasze prezenty! Mamo!

Jej głos miał brzmienie piły rżnącej marmur. Charlie otworzył drzwi i pognął do mercedesa tak szybko, jak tylko w jednym bucie potrafił. Wrzucił pudło na siedzenie pasażera i zapalił silnik, a kiedy odjeżdżał, dostrzegł zapalające się na piętrze światło.

Po przejechaniu półtora kilometra zdawało mu się, że usłyszał w oddali syrenę. Skręcił na parking przed supermarketem, zgasił światła i siedział pod latarnią, nie wyłączając silnika. Syrena zbliżała się, wyjąc coraz głośniej, aż ukazał się wóz policyjny, który przeciął skrzyżowanie na czerwonym świetle i pognął tam, gdzie znajdował się dom Bonnie. Charlie poczuł też ulgę, że na ulicach pojawiło się już trochę ludzi zmierzających na poranną mszę. Nie wiedział, czy Bonnie zobaczyła z okna mercedesa, czy nie, ale od teraz lepiej było nie rzucać się w oczy jako jedyny samochód na drodze.

Pora była wracać do Renaty, ale najpierw chciał spojrzeć na pieniądze. Z niecierpliwością rzucił się na zielony papier, pod którym odkrył zaklejony szczelnie taśmą karton z logo piwa Miller po dwóch stronach.

Po nieudanej próbie oddarcia taśmy paznokciem wyłączył silnik i rozpruł ją, przesuając wzdłuż kluczem ze stacyjki. Taśma na górze pękła dokładnie pośrodku, a on rozchylił klapy, czemu towarzyszyło głośne trzeszczenie przylepca oddzieranego od ścianek kartonu. W środku znalazł zgniecione w kulki gazety, pomarańczowe od padającego z latarni światła, i grzebał pośród nich, dopóki nie natrafił na coś twardego. Wyciągnął drewniany klocek o kształcie i wymiarach gąbki do tablicy. Zaczął wyrzucać pogniecione gazety na podłogę pod fotelem pasażera, aż natrafił na jeszcze dziesięć albo i więcej takich samych klocków, a na samym dnie pudła znalazł żółtą kartkę papieru z odręcznym napisem:

Wesołych świąt, SUKO!
ŻEGNAJ! Vic.

Oszolomiony, schylił się i wziął kilka głębokich wdechów, by nie dać się panice, ściskając kierownicę tak mocno, że zaczęły go boleć palce. Nie miał prawie w ogóle pieniędzy!... Może Renata zechciałaby wesprzeć go na tyle, by zdołał prysnąć z miasta. Z godną żółwia powolnością zdołał włożyć drewniane klocki i gazety z powrotem do pudła i postawić je na parkingu obok samochodu, po czym odjechał, z trudem wciskając twarde, sztywne pedały pozbawioną buta prawą stopą, obleczoną tylko w mokrą skarpetę.

Znowu zaparkował mercedesa w pewnej odległości od domu Renaty i pokuśtykał wolno w jego stronę z biodrem bolącym jak jeszcze nigdy dotąd i lupaniem w głowie zgodnym z rytmem serca. Kiedy już znajdzie się w środku, chętnie poczęstuje się proponowaną przez Renatę kawą, może nawet poprosi o aspirynę.

Zadzwoił do drzwi i czekał. Nikt się nie pojawiał. Drzwi z siatką przeciw owadom były uchylone, więc otworzył je szerzej i poruszył klamką. Zapadka puściła, a on wszedł do środka. Światło w salonie i w kuchni wciąż się paliło, ale w całym domu panowała cisza.

— Renata?

Nikt nie odpowiedział. Obok fotela przy kominku leżała otwarta książka w tanim wydaniu o dziwnych kolorach — leżała do góry spękanym grzbietem, na którym widniał tytuł w nieznanym Charliemu języku.

W kominku nadal płonął ogień, a najświeższe polano nie paliło się jeszcze zbyt długo. Ruszył korytarzem w głąb domu, wołając Renatę po imieniu.

Po lewej stronie dostrzegł wpółotwarte drzwi. W pokoju było ciemno, więc podszedł niepewnie przy słabym świetle dochodzącym z salonu do stolika nocnego, gdzie znajdowała się mała lampka z falbankami. Włączając ją, zobaczył, że stoi na koronkowej serwetce. Renata sypiała w staromodnym łożu z baldachimem, przykrytym kapą, która mogła mieć nawet ze sto lat. Ściany zawieszono były rodzinnymi zdjęciami, przy czym wiele z nich zrobiono w dobrze znanej lokalnej scenerii — jedno przedstawiało grupę ludzi na pikniku z okazji Święta Niepodległości, pewnie w latach trzydziestych, a pstryknięto je nad jeziorem Bascomb i w tle wyraźnie było widać pomost. Ani jedna z fotek nie przedstawiała Renaty i w gruncie rzeczy nic tutaj nie wyglądało tak, jakby według Charliego mogło do niej należeć. Miał wrażenie, że wynajęła ten dom kompletnie wyposażony, łącznie z sentymentalnymi pamiątkami z czegoś życia, i nie wniosła do niego nic, co mogłoby zdradzić jej prawdziwą tożsamość, jedynie ubrania i kilka tajemniczych książek w zagranicznych wydaniach.

Z tyłu dom był zamknięty na cztery spusty. Charlie zszedł po rozklekotanych drewnianych schodach do piwnicy, pustej, jeśli nie liczyć pompy do ścieków i podgrzewacza wody. Powoli wrócił na górę. Renata znikła, prawie na pewno z jego pieniędzmi, i z każdą mijającą sekundą Charlie miał coraz mniej możliwości działania.

Znów zaparkował za rogiem i doszedł do Złotej Klatki na piechotę, starając się jak najlżej stąpać nie obutą prawą nogą, żeby przypadkiem nie nadepnąć na ukryte pod śniegiem odłamki szkła. Jedynym samochodem na parkingu był czarny lincoln continental 1980 i przez krótką chwilę zdezorientowany Charlie pomyślał, że to jego własny firmowy wóz. Przyglądając się bliżej, zrozumiał jednak swoją pomyłkę — ten lincoln miał tablice rejestracyjne z innego stanu. Miał przed sobą wóz samego Billa Gerarda. W środku nikogo nie było.

Dwie ścieżki, jedna wydeptana przez mężczyznę po stronie kierowcy, druga przez kobietę po stronie pasażera, prowadziły od lincolna do bocznych drzwi budynku. Wyglądało na to, że były to jedyne odciski stóp, jakie pojawiły się tutaj, odkąd przestał padać śnieg. Charlie najpierw podszedł do bocznych drzwi i delikatnie nacisnął klamkę. Były zamknięte na klucz, podobnie jak wejście główne. Popatrzył na budkę telefoniczną na rogu i usiłował wymyślić jakieś sensowne uzasadnienie konieczności dostania się do Klatki poza godzinami pracy. Nie przychodziło mu do głowy nic w miarę przekonującego, ale i tak podszedł do budki i wykręcił do informacji.

— Możecie mi podać numer Sidneya McCalluma?

— Jest S.J. McCallum przy Tennessee i D.S. McCallum przy Dwudziestej Trzeciej.

— Poproszę obu.

Najpierw wypróbował S.J. McCallum przy Tennessee. S.J., okazała się młodą kobietą, wściekłą, że została obudzona przed świtem w bożonarodzeniowy poranek, i choć nie była Sidneyem, to potok przekleństw, jaki spłynął ze słuchawki na Charliego, był tak soczysty i barwny, że mogło

istnieć między nimi jakieś pokrewieństwo. D.S. przy Dwudziestej Trzeciej oznaczało D. Sidneya McCalluma, który nie zdążył jeszcze położyć się spać, gdy zadzwonił Charlie.

— I nijak nie mogę się przemóc — tłumaczył — bo ciągle jestem wnerwiony na moją mamuszkę i jej męża, że wyruszyli sobie do tego pie-przonego Ogrodu Bogów, zostawiając mi dzieciaki na głowie. A do tego jeszcze ten dupek, chłopak Rusti, podniósł mi ciśnienie, i to nie byle jak.

— A ja myślałem, że po takim zastrzyku adrenaliny powinienes teraz być zmęczony.

— Ale nie jestem. Co się dzieje?

— Nie mam się gdzie podziać. Mogę do ciebie wpaść?

Sidney był zaskoczony. — Dobra. Nawet się nieźle składa, bo muszę z tobą o czymś pogadać. Mógłbym ci usmażyć jakieś jajka i zaparzyć kawę, gdybyś chciał. Mam nadzieję, że dzieciaki pośpią jeszcze parę godzin.

Charlie zapisał adres i pokuśtykał z powrotem do mercedesa, najszybciej jak mógł.

Sidney wpuścił go do swego domu już pięć minut później.

— Wybacz ten bajzel. Zwykle nikt do nas nie przychodzi.

W domu panował bałagan, lecz było czysto, zaś w samym bałaganie czynnikiem dominującym były zabawki. Kiedy Sidney prowadził do kuchni, Charlie rozglądał się po pokoju za wieszakiem na klucze.

— Przez cały czas snujesz się po mieście?

— Mniej więcej.

— Mnie też się to czasem zdarza po robocie. Przynajmniej wtedy, gdy nie mam u siebie dzieci. Po prostu wychodzę z baru i jeżdżę w kółko bez celu. — Spojrzał w dół na skarpetkę Charliego. — Wygląda na to, że zgubiłeś but.

— No. — Nie spieszył się z wyjaśnieniem i miał nadzieję, że Sidney nie będzie się go domagał.

— Mam ci pożyczyć jakieś traperki czy coś? Jaki rozmiar nosisz?

— Dziewiątkę.

— A ja trzynastkę, i to szeroką. Przykro mi. — Otworzył szafkę. — Mogę zrobić ci kawę, jak chcesz.

— Wolałbym coś mocniejszego, jeżeli pozwolisz. — W kuchni też nie dostrzegł żadnego wieszaka na klucze.

— Chyba nic nie mam. Raczej nie piję w domu, ze względu na dzieci... — Kiedy Sidney otworzył lodówkę, Charliemu ulżyło na widok dwóch butelek piwa na półce w drzwiach. — No, jednak masz szczęście. — Sidney wyciągnął jedną i otworzył, zahaczając o krawędź blatu.

Charlie z wdzięcznością wziął od niego piwo i podniósł na wysokość oczu. Dwa trzyprocentowe browarki nie uśmierzą bólu głowy, ale przynajmniej złagodzą nieco napięcie.

— Może jednak napiję się razem z tobą — stwierdził Sidney, sięgając po drugą butelkę, a Charliemuomal serce nie pękło z żalu, gdy potężny barman otworzył drugie piwo dla siebie.

Charlie wziął pierwszy łyk na próbę i załamał się jeszcze bardziej, bo zdał sobie sprawę, że trunek musiał stać w lodówce chyba od ponad roku. Piwo było kwaśne i zwietrzałe, gorzkie jak sfermentowana aspiryna, lecz usiłował sobie wmówić, że zdoła jakoś je wypić. Przełknął maleńki haust, choć nie bez trudu.

— No to za ten Nowy Rok, Charlie — rzekł Sidney i wziął potężny łyk, który zrobił jednak powrotny kurs, nim zdążył dotrzeć do gardła, a Sidney obryzgał zepsutym piwem drzwi lodówki i płaszcz Charliego. — Cholera! Zasmrodziło się. Mówiłem ci, że w domu raczej nie piję. Twoje jest dobre?

— Tak, trochę zwietrzałe, ale może być — powiedział Charlie, biorąc szybko kolejny łyk. Smakował jeszcze gorzej niż poprzedni, więc postawił butelkę obok zlewu, godząc się z porażką. — Chyba masz rację, faktycznie trochę się popsulo.

Sidney smutno pokręcił wielką głową i przechylił obie butelki nad odpływem, a wyciekające piwo nawet się nie speniło. — No to zrobię kawę. Idź do pokoju i usiądź.

Charlie usiadł na kanapie i rozglądał się, próbując sobie wyobrazić, gdzie mogą być klucze, o ile nie tkwiły w kieszeni u Sidneya w spodniach. Jeśli naprawdę tam były, Charlie nie miał pojęcia, co mógłby zrobić. Wybór zdawał się ograniczony do ogłuszenia Sidneya w momencie, kiedy by się tego nie spodziewał, albo zapytania go grzecznie, czy

nie zechciałby na parę godzin kluczy pożyczyć. Żadna z tych opcji nie przedstawiała się zbyt obiecująco. Po kilku minutach Sidney wyszedł z kuchni, postawił przed Charliem kawę i usiadł w fotelu naprzeciwko.

— Ty pewnie ciągle zastanawiasz się, o czym to chciałem z tobą pogadać...

Charlie kompletnie zapomniał, że Sidney wspominał o jakiejś sprawie, którą chciał z nim omówić. — No, w zasadzie tak. To o co chodzi?

— Myślisz, że ten gówniarz złoży na mnie skargę?

— Nie wiem. Wątpię. — Nie zastanawiał się nad tym.

— Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłem. Aż mnie mdli, gdy o tym pomyślę. Całkiem, jakbym miał pieprzonego kaca. Ale on rzucił się na nią z tą łyżką do opon, Charlie... A ten jej porąbany nowy chłopak nic by nie pomógł. Siedział skulony w pozycji płodowej i *skamlał*, gdy tamten rozbił szybę z jego strony i rzucił się na niego i na Rusti. — Pokręcił głową. — Ale mimo wszystko... Nie wiem, dlaczego zwyczajnie nie wlałem mu trochę i nie kazałem spieprzać. Okaleczyłem mu ręce pewnie na resztę życia.

— Myślałem, że o to ci chodziło. W końcu to gitarzysta.

Sidney uśmiechnął się nieznacznie na tę myśl. — No.

— Spójrz na to może też z innej strony. Teraz trudniej mu będzie kogokolwiek pobić.

— Fakt. A jak pomyślę o podbitym oku Rusti, od razu czuję się lepiej... Chociaż nie to mnie gryzie, Charlie. Chodzi o zasadę. Ja po prostu nie wierzę w rozwiązywanie problemów przy pomocy siły. Karma i takie tam bzdury.

— Ale przecież jesteś wykidajłą.

— Byłbyś zdziwiony, ilu rozrabiaków odejdzie spokojnie, słysząc jedynie ostrzeżenie. To kwestia tonu, jakim się mówi. I intensywności spojrzenia.

— Jasne, widziałem cię w akcji. Jednak czasem spojrzenie nie wystarczy.

— Wiem, wiem. No ale jak myślisz, jakie jest prawdopodobieństwo, że zostanę pozwany?

— Diabli wiedzą. Znam całkiem dobrze gliniarzy, którzy zawieźli go na pogotowie, i widziałem, że nie byli wzruszeni jego losem bardziej od ciebie, więc wątpię, by mieli ci przysporzyć kłopotów. Zresztą gówniarz i tak bredził, jak go zabierali.

— A ty zajmowałeś się kiedyś sprawą napaści, Charlie?

— Nie. Będziesz musiał wziąć sobie prawnika specjalizującego się w sprawach kryminalnych, jeśli chłopak wniesie oskarżenie, ale byłbym naprawdę zaskoczony, gdyby to zrobił. On wie w ogóle, kim jesteś?

— Tak jakby. Wie, że jestem barmanem w Złotej Klatce.

Charlie zapisał nazwisko i numer telefonu na reklamie marlboro na ostatniej stronie programu telewizyjnego leżącego przed nim na ławie. — Zadzwoń do tego człowieka, jakby coś. Opowiedz mu o wszystkim, niczego nie pomijaj, a on już gówniarza załatwi, w majestacie prawa, oczywiście. Nie masz się czym przejmować.

Biorąc ostrożny łyk, sprawdził temperaturę kawy, po czym wypił ją prawie duszkiem. Charliemu trudno było skupić się na czymkolwiek innym niż to, co mogło się teraz dziać w Złotej Klatce. Wyobrażał sobie, że Bill Gerard i Renata liczą w tej chwili pieniądze. Jego pieniądze. Część z nich została ukradzona Billowi, to fakt, ale większość on i Vic zarobili całkiem uczciwie.

Potężny barman westchnął i wstał. — Masz ochotę na jajecznicę? Będę smażył.

— Jasne — odparł Charlie, a Sidney wrócił do kuchni.

Charlie wetknął ręce do kieszeni płaszcza i pomacał własne klucze, a gdy tak siedział i nimi pobrzękiwał, wpadł na pewien pomysł. Miał w pamięci niewyraźny obraz Sidneya w Złotej Klatce podchodzącego do wiszącego za barem płaszcza, żeby wyjąć klucze; trzymał je w kieszeni, żeby zawsze móc je łatwo znaleźć. Charlie zbliżył się do szafy przy drzwiach wejściowych i otworzył ją. Przyjrzał się ubraniom, próbując odgadnąć, które z okryć jest tym właściwym.

— O, przepraszam — odezwał się Sidney, stając w drzwiach do kuchni — powinienem wziąć od ciebie płaszcz, jak tylko wszedłeś.

Charlie uśmiechnął się sztywno i zdjął płaszcz, żeby go powiesić, jakby to właśnie przez cały czas zamierzał zrobić.

— Chciałem cię tylko zapytać — dodał Sidney — czy chcesz trzy jajka, czy cztery.

— Raczej trzy.

Sidney powrócił do kuchni, a Charlie ujrzał znajomy płaszcz na wieszaku na samym końcu drążka w szafie. Włożył rękę najpierw do jednej kieszeni, potem do drugiej. W drugiej znalazł wielki pęk kluczy. Po cichu wsunął je do kieszeni własnego okrycia i zaraz też odwrócił się do drzwi prowadzących na dwór.

Wtedy Sidney znów pojawił się w wejściu do kuchni. — Nie możesz znaleźć wieszaka?

— Już znalazłem.

Zdjął płaszcz i powiesił w szafie, a tymczasem Sidney powrócił do piczenia.

— Jeszcze minutka i będą gotowe.

Gdyby dał teraz nogę, zawsze istniała możliwość, że Sidney ruszy za nim i połapie się w tych kluczach, a bez nich w żaden sposób on sam nie dostanie się do Złotej Klatki. Usiadł z powrotem na kanapie i zaczął przeglądać program TV, wmawiając sobie, że Bill i Renata mają sporo do przeliczenia i dlatego wciąż będą w Klatce, kiedy on tam powróci. Program pełen był zapowiedzi tych samych gwiazdkowych kreskówek, które musiał oglądać w kółko od nowa, rok w rok, kiedy mieszkał jeszcze z Sarabeth i dziećmi. Wciąż mógł z pamięci wyrecytować dialogi prowadzone w niektórych z nich.

Sidney wyszedł z kuchni z dwoma talerzami szarawej jajecznicy i postawił je na ławie wraz z buteleczką sosu tabasco.

Charlie wziął kęs popielatego dania, zauważając coś twardego i zasnętego na jednym z zębów widelca. Jajka były bez smaku, połął je więc sownicie tabasco.

— I co, jak tam jajecznica?

— Dobra, dzięki — odparł, a po dodaniu sosu była to niemal prawda.

— Wiesz, znacznie mi poprawiłeś humor w związku z całym tym zamieszaniem, Charlie. Jestem twoim dłużnikiem.

— Nie jesteś. Zjem jajecznicę i jesteśmy kwita. — Charlie nie zdawał sobie z tego sprawy, ale naprawdę był głodny. Gdyby miał więcej czasu,

poprosiłby Sidneya o dokładkę, lecz gdy tylko opróżnił talerz, wstał, zostawiając brudne nakrycie na ławie. — Chyba już lepiej pójdę — rzekł.

— Tak, ja też powinienem się kimnąć parę godzin, zanim dzieciaki wstaną.

Charliemu przyszło do głowy, że nie ma pojęcia, ilu dzieci dochował się Sidney, i w ogóle nic o nich nie wie. — Życz im ode mnie wesołych świąt.

— Dzięki, stary. Tobie też życzę wszystkiego najlepszego. Prawdziwy z ciebie przyjaciel, wiesz? — Sidney wziął go w swe niedźwiedziowate objęcia, ściskając aż do bólu. — Wkrótce się zobaczymy.

Otworzył drzwi, a Charlie ruszył z powrotem do mercedesa.

— A to co, pozbyłeś się lincolna?

— Nie, to firmowa bryka — odrzekł Charlie, wsiadając.

Wjechał na parking przed Złotą Klatką i zatrzymał się prostopadle do lincolna Billa Gerarda, niemalże go dotykając, tak iż Bill nie byłby w stanie odjechać bez przestawienia merca albo uszkodzenia obu wozów. Charlie nie zastanowił się, co właściwie chce przez to osiągnąć, ale poczuł się w tym momencie niebywale zapobiegliwy. Wysiadł i rozejrzał się po śniegu. Zobaczył te same dwie wydeptane ścieżki prowadzące do budynku, a także tę, którą wydeptał sam pomiędzy obojgiem drzwi, będąc tu poprzednio — żadne inne ślady się nie pojawiły. Stając przy drzwiach głównych, wypróbował trzy klucze z pęku Sidneya, zanim znalazł ten, który wszedł do zamka i dał się przekreścić. Powoli otworzył drzwi, zyskał jako taką pewność, że w ciemnej sali jest pusto, wślizgnął się do środka i zamknął za sobą po cichu. Światło za barem się paliło, podobnie jak z boku, u Renaty w biurze. Skradał się wzdłuż bocznej ściany i nasłuchiwał. Nie słysząc żadnych głosów, dotarł do drzwi biura.

W środku słychać było oddychanie Renaty. Brzmiało to tak, jakby strasznie się z czymś męczyła. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągnął mały pistolet Roya Gellesa i otworzył drzwi.

Renata spojrzała na niego zza biurka z ukrytymi pod blatem rękami. — No, co rusz mnie tej nocy zaskakujesz, Charlie — powiedziała zniżonym głosem.

Machnął rewolwerem. — Weź te rączki tak, żebym je widział.

— Nie bądź, do cholery, idiotą. I mów ciszej. Naoglądałeś się za dużo starych filmów.

Wymierzył z pustej broni prosto w jej twarz. — Chcę widzieć twoje ręce na biurku.

— Nie mogę. Sam zobacz.

Głową pokazała mu, że ma przejść za biurko, a on, nie bez pewnych obaw, posłuchał. Jej ręce były przykute do nogi mebla, przez co musiała siedzieć na krześle pochylona do przodu.

— Robota Billa?

— Jesteś geniuszem, Charlie.

— Cholera. Gdzie on jest? I co będzie, jak wróci? To moje dziadostwo nie jest nabite. — Skojarzenie tej sytuacji z filmem gangsterskim, które przed chwilą przyprawiało go o dreszczyk emocji, straciło swój czar.

— Poszedł się odlać.

— A gdzie jest kluczyk?

— Nie wiem. Pewnie w jego kieszeni.

— No trudno. Podniosę biurko, a ty zsuniesz z nogi kajdanki. Pryśniemy stąd, zanim Bill się odpryska.

— Nie tak prędko. On ma twoje pieniądze.

— Skąd?

— Nie wiem.

— Cóż, pewne jest, że pod choinką u Bonnie ich nie było.

— Przyjechał z nimi do mnie do domu parę minut po twoim wyjściu. Oskarżył mnie, że skumałam się z Vicem.

— Tylko z Vicem? Nie ze mną?

— Nie mówił nic konkretnego o nikim prócz Vica. Próbował zmusić mnie do mówienia.

— Jak?

— Odsuń sobie ściągacz mojego swetra na karku...

Wyciągnął rękę, odsunął ściągacz i się skrzywił. Trzy nabrzmiałe, czerwone kółka znaczyły prawą stronę szyi. — Jezu, czy to ślady po petowaniu? — Zdał sobie sprawę z obecności świeżego dymu papierosowego w pomieszczeniu.

Renata pokiwała głową, nie okazując ani odrobiny żalu nad samą sobą. — Pod barem jest strzelba. Umiesz się nią posługiwać?

— Na pewno lepiej niż tym tutaj. — Schował zabawkę Roya z powrotem do kieszeni płaszcza.

— To idź tam i zaczekaj. Kiedy Bill tu wróci, nasłuchuj, aż powiem: „No, dobrze, wyjawię ci, co wiem”. To będzie dla ciebie znak, że powinieneś trafić bez pudła.

— Będę w sali za sceną — rzekł.

Renata potaknęła.

Strzelba leżała na wygodnej półce pod barem. Charlie wyciągnął ją i bardzo powoli otworzył zamek, żeby jakieś głośniejsze pstryknięcie nie dotarło do kabiny Gerarda. Broń była nabita i gotowa do strzału. Z małego pudełka obok miejsca, gdzie leżała, wziął dodatkową garść naboju i wrzucił je do kieszeni płaszcza. Od wyjścia z wojska nie pykał z żadnej broni, a strzelby używał ostatnio chyba jako nastolatek. Próbował sobie przypomnieć, co wtedy ustrzelił, ale jakoś mu nie szło. Może to była kaczką, a może przepiórką. Nigdy nie miał większej ochoty wstawać przed świtem, a potem siedzieć w cuchnącej zasadzce i czekać, aż nadleci kaczką. Zamknął zamek i trzymając strzelbę lufą do góry, poszedł z nią ku małej okrągłej scenie. Pierwsza próba przykłonienia wywołała kolejne potężne ukłucie bólu w biodrze i w końcu położył się jakoś na boku, gotów podnieść się, kiedy Gerard przejdzie z toalety do biura Renaty.

Wolną ręką otarł się o coś miękkiego na podłodze, a gdy to podniósł, rozpoznał niebieskie majteczki Amy Sue. Zastanawiał się, dlaczego nie założyła ich z powrotem po swoim ostatnim występie, lecz w końcu uznał, że nie chce i nie musi tego wiedzieć. Przez moment pocierał jedwabisty materiał w palcach, po czym zahaczył jedną nogawkę o lufę strzelby i zaczął nią wywijać, patrząc, jak błyszczące, niebieskie gatki wirują w zimnym, stęchłym powietrzu klubu.

Przestał, gdy usłyszał szum spuszczonej wody, ledwo dostrzegając, jak majteczki ześlizgnęły się do połowy lufy. Odbezpieczył broń i wyjrzał zza rogu sceny. Drzwi toalety się otworzyły i wyłonił się Bill Gerard, wysoki i brzuchaty, z siwymi włosami, zwykle nieskazitelnie przyczesanymi, tym razem w kompletnym nieładzie. Zapinał akurat pas, przez rękę miał

przewieszoną brązową marynarkę od trzyczęściowego garnituru, a rozpięta kamizelka zwisała luźno z jego wąskich ramion. Nawet z dziesięciu metrów Charlie widział, że ma erekcję i że przydałoby mu się też golenie. Powiedział końcówką lufy za głowę Billa, wyprzedzając ją nieznacznie. W chwili gdy miał już strzelić, Bill zaskoczył go swoim krzyżącym głosem i było po okazji.

— Ty wiesz, co mnie najbardziej wkurza — wrzasnął w stronę biura.
— Że nie będzie mnie przy tym, jak wnuki otworzą rano prezenty, jeżeli zaraz nie wyruszę w drogę. A jak już wrócę, to będę wykończony...

Zniknął w biurze, zaś obolały Charlie niezgrabnie dźwignął się na nogi. Słyszał głos Renaty, ale nie mógł jej zrozumieć. Bill Gerard przestał się wydzierać, ale nawet gdy mówił tonem zwykłej rozmowy, jego gardłowy, ryczący głos był doskonale słyszalny na pozycji Charliego.

— No to jak długo masz zamiar trzymać mnie tu w Boże Narodzenie? — Charlie tkwił jakieś sześć metrów od drzwi. — Zdaje się, że moglibyśmy to wyjaśnić całkiem szybko, gdybyś tylko zdecydowała się mówić.

Renata coś powiedziała, lecz Charlie nie rozumiał.

— Niech ci będzie. A teraz wiesz, co bym chciał, żebyś dla mnie zrobiła? Chcę, żebyś otworzyła te swoje śliczne, czerwone usteczka, a jak już pojmiesz, kto tutaj rządzi, może będziesz bardziej skłonna podać mi informacje, których potrzebuję.

Charlie znów nie zrozumiał odpowiedzi Renaty, ale był teraz na tyle blisko, że widział, co się dzieje w biurze.

Gerard wyciągnął z rozporoka swojego ptaka i trzymał go w stanie wzwodu parę centymetrów od pozbawionej wyrazu twarzy Renaty. Nie zdradziła się zupełnie niczym, że widzi Charliego stojącego tuż za drzwiami, za plecami szefa.

— No, otwórz buźkę dla Billa — mówił Gerard, podchodząc jeszcze bliżej do Renaty, a Charlie w tym czasie wziął go na muszkę. — No, dalej, do cholery, ja nie żartuję.

Głowa Gerarda znajdowała się jakieś cztery i pół metra od końca lufy. Charlie się zawahał. Pomyśl, że to kaczka. Nieruchoma, kędzierzawa kaczka ze wzwodem. Nacisnął spust i strzelba wypaliła, dobywając z ust

Gerarda pełen zaskoczenia skowyt i pokrywając jego siwe włosy czerwonymi kropkami, lecz wbrew oczekiwaniom Charliego, nie rozsadzając mu czaszki.

— Co to, kurwa... — Głos Billa brzmiał o oktawę wyżej niż zwykle, kiedy obrócił się, wciąż trzymając w dłoni swego małego. — Charlie? Jezu, jedyny facet w tym towarzystwie, któremu, jak mi się zdawało, mogłem ufać. — Spojrzał na strzelbę. — Śrutówka? Próbowalesz zabić mnie z pieprzonej śrutówki załadowanej jak na węża? Sam nie wiem, czy powinienem się śmiać, czy czuć się urażony.

— Nie ruszaj się, Bill. — Charlie zbliżył się do Gerarda. — Na razie chciałem tylko zwrócić twoją uwagę. A z tej odległości będziesz trupem na miejscu.

Gerard uśmiechnął się szyderczo, puścił członka, spod kamizelki wyciągnął nagle pistolet kaliber .22 i pomachał nim Charliemu przed nosem. — Naprawdę, srasz we własne gniazdo, Charlie. A teraz odłóż to gównno.

Charlie wciąż trzymał Billa na muszce i starał się z całych sił nie patrzeć w dół na Renatę, która dyskretnie zsunęła się z krzesła i opadła na kolana z głową na wysokości Gerardowego członka, dyndającego wciąż w stanie lekkiego wzwodu.

— Ty pierdołowaty półgłówku, nawet nie masz obu butów! No, dalej, Charlie. Chcę usłyszeć o wszystkim, co zrobiłeś, by stracić kompletnie moje zaufanie, zanim cię zastrzelę. Chcę szczegółów. Chcę...

— Głos Gerarda się załamał, oczy zrobiły się wielkie, a ręka z pistoletem opadła. — O kurwa mać...

Charlie wreszcie pozwolił sobie na spojrzenie w dół, na Renatę, i zobaczył ją z ustami wokół Gerardowej pałeczki, lecz nie tak, jak życzyłby sobie tego Bill. Chwyła jego fujarę z boku, odsłaniając zęby i szykując się do przegryzienia jej na trzy oddzielne kawałki. Chwilowa panika, jaka ogarnęła Billa, szybko przerodziła się we wściekłość, a lufa pistoletu dotknęła prawej kości policzkowej Renaty.

— Jeżeli choć przez myśl mi przejdzie, że masz zamiar ugryźć, zostaniesz bez oka.

Charlie szybko zrobił trzy kroki i wypalił z końcówką lufy jakieś czterdzieści centymetrów od twarzy Gerarda. Śrut ze strzelby przedarł się przez skórę i Gerard poleciał do tyłu. Renata rozluźniła uchwyt, odsunęła

się i patrzyła, jak facet wali się na podłogę z twarzą nakrapianą małymi, dziwnie czystymi dziurkami, które wypełniały się szybko krwią i przelewały, gdy leżał tak, zasysając nierówno powietrze.

— A ja tyle ci pomogłem, Charlie. Kurwa... — Głos dobywał mu się z trudem, gardło wypełniało się płynem.

— Charlie! — warknęła Renata, nie pozostawiając wątpliwości, kto tu panuje nad sytuacją. — Podnieś ten pieprzony pistolet i skończ z nim.

Podniósł z podłogi pistolet i wycelował w podziurawioną, sączącą krwią twarz Billa Gerarda. Bill nie wyglądał na szczególnie zaciekawionego tym, jaki będzie następny ruch Charliego.

— I tak umiera — wykrztusił Charlie.

— No to weź tamtą poduszkę i połóż mu na twarz.

Z krzesła w kącie biura sięgnął zieloną, aksamitną poduszkę i położył na twarzy Gerarda, tak jak mu polecono. Gerard w ogóle się nie opierał — prawdę mówiąc, był chyba ledwo świadomy obecności Charliego. Charlie przycisnęła lufę do poduszki i strzelił. Odgłos nie był nawet taki straszny, pomyślał, ale zaczął się martwić hałasem, jakiego narobił przedtem, strzelając ze śrutówki. Już prawie podniósł poduszkę, ale zmienił zdanie. Renata patrzyła na niego chłodno z góry.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, że to taki drobny śrut? Niewiele brakowało, a zginęlibyśmy oboje.

— Dlatego kazałam ci czekać, dopóki sama nie powiem: „Wyjawię ci, co wiem”.

— Nie słyszałem stamtąd, co w ogóle mówisz. Zresztą gdybym jeszcze zaczekał, wsadziłby ci swojego małego do ust.

— No i co z tego, do jasnej cholery? Jego mały i tak się tam znalazł, no nie? Miałam zamiar zacząć mu obciążać, żeby zmylić jego czujność, a wtedy dałabym ci znak, żebyś mógł podejść bliżej i go zabić. — Pokręciła głową, nie mogąc się chyba nadziwić jego niemożności wykonania najprostszych poleceń.

Charlie westchnął. — Żeby dać mi znak, musiałybyś przerwać obciążanie, a wtedy by mnie usłyszał.

— Nie odezwałabym się, dopóki nie zaczęłyby szczytować.

— A co to w ogóle ma znaczyć, taka pukawka za barem? Nabita śrutem na węża, na litość boską?

— To pomysł Sidneya. Żeby jednak nikogo nie zabić.

— Z prawnego punktu widzenia to kompletna głupota, Renato. Okaleczenie wpakowałyby was w znacznie poważniejsze opaly z sądem niż zabójstwo.

— Cóż, teraz już to sama wiem.

— No dobra, to gdzie są te pieniądze?

Kiwnęła głową w stronę czegoś, co wyglądało jak staromodna torba lekarska przycupnięta na podłodze. Charlie podniósł ją i postawił na biurku.

— No, śmiało, otwórz. Bill sam już mija pokazał.

Charlie wziął głęboki wdech. Odpiął zatrzaski i otworzył.

— Ile tego jest, Charlie?

Omali się nie rozpląkał na widok setek powiązanych gumkami w pliki i wrzuconych byle jak do torby. — Diabło dużo.

Na wierzchu leżała koperta zawierająca dwa bilety lotnicze na nazwiska G, i B. Newman. Dziękując Bogu, wrzucił jeszcze do torby pistolet. Bill Gerard ocalił jego plany.

— Wystarczy tego, żebym pojechała z tobą, czy mnie też masz zamiar zabić?

Podniósł na nią zdumiony wzrok. — Nie zamierzam cię zabijać.

— Na podłodze mojego biura leży właśnie facet z mózgiem wyprutym przez pocisk kaliber dwadzieścia dwa, Charlie. Dlatego niełatwo mi będzie utrzymać się w tym biznesie. Prawdę mówiąc, będę miała szczęście, jeżeli wywinę się od więzienia. Wygląda na to, że masz w torbie znacznie więcej, niż wart jest cały ten mój klub. Jeśli nie chcesz mnie ze sobą wziąć, to równie dobrze możesz mnie zabić.

— Nie zamierzam cię zabijać.

— No więc mnie ze sobą zabierz. Postaram się, żebyś nie żałował. Ja potrafię sporo w dziedzinie rozrywki, Charlie...

Spojrzzał na bilety. Oprócz nich w kopercie znajdował się plan podróży i faktura z adnotacją, że zapłacono gotówką. Nigdzie nie widniało pełne imię G, ani B. Newmanów, nic też nie wskazywało na plec jednego ani drugiego. Równie dobrze mógł to być pan Gregory Newman z małżonką. Znał nazwisko i nowojorski adres pewnego fałszerza dokumentów, który

za dwa dni miał go zaopatrzyć w nowy paszport, wystarczyło więc zapłacić, by zdobycie nowego dokumentu dla Renaty nie stanowiło najmniejszego problemu. Zresztą już sam fakt, że w torbie były dwa bilety, świadczył o tym, że Vic planował zabrać ze sobą jakąś kobietę, a może nie? Gdzieś na granicy świadomości Charliego zaświtała myśl, że może jednak nie było to wcale takie oczywiste, lecz nie kłopotał się tym długo.

— No dobrze. Możesz ze mną jechać.

Bill Gerard nie tylko ocalił jego plany. Bill Gerard pomógł Charliemu spełnić najbardziej bajeczną fantazję, której sam przed sobą nawet nigdy nie wyartykułował, ale tkwiła od zawsze zakopana w głębi jego podświadomości: oto on i Renata gdzieś w tropikach bzykają się na furze pieniędzy tuż przy dobrze zaopatrzonym barku.

— No to podnieś biurko.

Charlie uniósł róg biurka, w euforii nie czując nawet bólu w biodrze. I zapytał jeszcze: — Myślisz, że ktoś słyszał te strzały?

— Raczej nie — odparła, zsuwając z nogi mebla łańcuch od kajdanek. — Mamy tu dobrą izolację akustyczną ze względu na muzykę. Strzelba nie jest znowu taka głośna, a przy strzale z pistoletu miałeś niezły tłumik w postaci poduszki. Choć lepiej pewnie nie tkwić tutaj dłużej, niż to konieczne. Teraz może poszperasz mu w kieszeniach i znajdziesz kluczyk do kajdanek, a potem pojedziemy do mnie, żebym się mogła spakować.

Ukląkł i włożył rękę do kieszeni w spodniach Billa Gerarda. Ciało drgnęło raz, ledwo wyczuwalnie, kiedy go dotknął, i Charlie w panice zerwał z twarzy zbryzganą krwią poduszkę. Rany już nie sączyły.

— Nie panikuj, on nie żyje. Znajdź tylko klucz.

Jeszcze raz wsunął rękę do kieszeni spodni i wyciągnął portfel Billa, a potem wielki pęk kluczy, który rzucił Renacie.

— Chyba nie trzymał kluczyka do kajdanek razem z kluczami do domu, nie sądzisz? Sprawdź w kieszeni koszuli.

W kieszeni koszuli faktycznie znalazły się dwa kluczyki na małym drucianym kółku. Charlie otworzył obręcze na nadgarstkach, a Renata znów odciągnęła dzianinę swetra od poparzeń na karku.

— Będę musiała posmarować to jakąś maścią z antybiotykiem... No chodź, jedźmy już.

— A mogę się najpierw napić piwa?

Sięgnęła do najniższej szuflady w biurku i podała mu butelkę Johnny Walkera. — Dla ciebie, możemy zabrać to ze sobą.

— Zaczekaj tylko chwilę.

Charlie ukląkł ponownie koło stóp Gerarda i ściągnął mu buty. Rozmiar jedenaście. Zdjął swój jedyny but i obie skarpetki i założył suche skarpetki Billa, po czym przymierzył lewy but, pantofel w kolorze burgunda. Leżał lepiej niż jego własny. Założył drugi i przeszedł się po pokoju. Doszedł do wniosku, że pozostałe problemy to pestka.

Jazda na południe i dotarcie na lotnisko zajmą przynajmniej dwie i pół godziny, w zależności od warunków na drogach, ale samolot do Nowego Jorku o jedenastej przed południem wydawał się wciąż całkiem realną perspektywą, a gdyby nawet na niego nie zdążyli, to były przecież jeszcze inne. Zastanawiał się nad możliwością zrobienia dopłaty do pierwszej klasy.

Tym razem zaparkował na samym podjeździe Renaty. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale niebo rozjaśniło się już nieco, przybierając szarawy odcień, kiedy wchodzili do domu tylnymi drzwiami.

Zaczekaj w salonie, Charlie, a ja pójdę się spakować...

Wszedł i usiadł obok kominka, przezornie stawiając torbę u swoich stóp. Jeszcze raz podniósł książkę Renaty, usiłując rozpoznać język, w jakim została napisana. Alfabet był łaciński, ale po całym tekście rozsiadane były dziwne znaki i akcenty, a na stronie tytułowej nie udało mu się znaleźć żadnej nazwy, która kojarzyłaby się z jakimkolwiek znanym miastem. Papier był tani i delikatny, a w miejscu załamania grzbietu odkleiło się kilka kartek. Okładkę zdobił mało profesjonalny obrazek przedstawiający farmera z żoną, spoglądających odważnie w mglistą przyszłość, co mogło wskazywać na pochodzenie z bloku wschodniego — z Węgier? z Polski? z Litwy?

— Zdaje się, że nie ma czasu, żeby się pobzykać, ale jeśli masz ochotę, mogę ci obciągnąć, zanim ruszymy w drogę — krzyknęła z sypialni. Jej akcent wydał się odrobinę bardziej wyraźny niż zwykle, tak jakby wyczuła, że Charlie zastanawia się nad jej pochodzeniem. — A w międzyczasie może przyrządzisz sobie drinka?

Spojrzał z góry na torbę. W środku był czarny Johnny Walker. Postanowił zaczekać, aż Renata mu obciągnie, i wtedy się napić. Ruszył do niej. Renata stała nad leżącą na łóżku otwartą walizką. Spytał: — Zostawiasz te zdjęcia?

Popatrzyła na oprawione w ramki fotografie, jakby dopiero sobie przypomniała, że tam wiszą. — Nie należą do mnie.

— A do kogo?

— Skąd mam wiedzieć? Zaczekaj w salonie.

— Skąd ty jesteś, Renato? Skąd pochodzisz?

— Dlaczego mnie wypytujesz, Charlie? Co to ma do rzeczy?

— Byłem po prostu ciekaw. Zawsze zastanawiałem się, skąd do nas przybyłaś.

— To długa historia. A my będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby się poznać, nie sądzisz?

— No tak.

Wrócił na fotel koło kominka, otworzył torbę i odkręcił Johnny Walkera, rozrywając banderolę akcyzy. Jego wzrok padł na .22. Czy był zabezpieczony? Czy pistolet kaliber .22 posiadał w ogóle zabezpieczenie? Odstawił butelkę i wziął do ręki broń. Nigdy wcześniej nie zabił człowieka, a w ciągu ostatniej nocy załatwił już dwóch. Trzech, jeśli liczyć pomoc Vicowi w zabójstwie Roya Gellesa. Powiedzmy, że dwóch i pół. Zastanawiał się, ilu ludzi na przestrzeni lat zabił każdy z tej trójki. Poza tym, że Vic zabił Desiray, nie mógł być pewny niczego. Bill Gerard podobno zatłukł kiedyś gołymi rękami jedną ze swych ulicznych dziwek tylko za to, że mu odpyskowała, ale Charlie zawsze podejrzewał, że ta historia była mocno przesadzona albo wręcz cała zmyślona w celu wywołania wrażenia i zastraszenia kolegów po fachu i wszelkiej konkurencji. Koniec końców okazało się, że zabić Billa było całkiem łatwo, nawet kompletnemu żółtodziobowi. Charlie zważył pistolet w dłoni, myśląc o tym, jaki sam był bliski śmierci. Zwykły odruch nerwowy wywołany przez zęby Renaty zaciskające się na penisie Billa ocaliły tak Charliego, jak i samą Renatę przed kulką.

Włożył .22 z powrotem do torby i zaczął już sobie wyobrażać, jak Renata bierze mu do buzi, kiedy jej plan powrócił do niego z przerażającą wyrazistością: jej zamiarem było obciągnąć Billowi i zabić go w chwili, gdy jego czujność by osłabła! Obejrzał się za siebie, za kominek, w stronę

sypialni. Wyjazd Renaty razem z nim nie trzymał się kupy. Zdolność do całkowitego polegania na czyjejś szczodrości nie leżała w jej naturze.

Cholerny idiota. Odstawił butelkę i zbliżył się do drzwi sypialni.

— Już prawie jestem gotowa, Charlie. Wracaj do salonu i usiądź.

— Chciałem cię tylko o coś zapytać.

Przerwała pakowanie i podniosła na niego wzrok. — O co? Nie przygotował sobie tak naprawdę żadnego pytania. — No, już o nic. Przepraszam.

— To wracaj tam i siadaj. Za moment skończę, a wtedy przyjdę i zrobię ci tak dobrze, jak ci jeszcze nigdy nie było.

Wrócił do salonu i usiadł. Wyjął .22 i czekał. Mało brakowało, a pozwoliliby, żeby niewypowiedziana ulga z powodu odzyskania pieniędzy i niewyobrażalnie piękna perspektywa życia ze zjawiskową, nieosiągalną dotąd kobietą przyćmiły jego zdolność dokonywania rzetelnej oceny sytuacji. Renata była w zмовie z Vicem i najpewniej to ona zawiadomiła gliny o włamaniu do domu Bonnie. Miał w torbie ponad ćwierć miliona dolarów i omal nie przehandlował tego za obciążanie, którego końca nawet by nie dożył.

Słuchał, jak Renata śpiewa w sypialni piosenkę, której nie mógł rozpoznać. Musiała być w coś uzbrojona. Jego taktyczną przewagę mogła stanowić jedynie jej wiara, że wciąż znajduje się pod jej urokiem.

— Już prawie mam wszystko gotowe, Charlie — zawołała. — Chcesz teraz, żebym była naga albo w jakiejś seksownej bieliźnie?

I jedna, i druga wersja mogła osłabić jego postanowienie. — Bądź lepiej kompletnie ubrana.

— Może w takim kostiumie jak wczoraj?

To by było jeszcze gorsze. Zamknął oczy. — W tym, co masz teraz na sobie. Czas ucieka.

— Jak sobie życzysz, Charlie.

Wstał i przeszedł przez pokój. Stał w ukryciu w pobliżu drzwi do kuchni, z pistoletem.

— Jak długo twoim zdaniem zostaniemy w Nowym Jorku? Dwa dni, trzy? A potem wyjedziemy z kraju? Co, Charlie?

Zatrzymała się przy kominku, oglądając się za siebie w stronę łazienki, a on podniósł pistolet. Była piękna. Jej twarz wyglądała delikatniej niż kiedykolwiek przedtem. Była niemal słodka.

— Charlie? — Zachichotała, jakby jego nieobecność mogła oznaczać jedynie zabawę. Odwróciła się w stronę sypialni z czołem zmarszczonym z pełnej rozbawienia ciekawości. — Jesteś tam? Zakradłeś się z drugiej strony korytarza?

Kiedy znikła mu z oczu, opuścił pistolet. Podążył za nią na korytarz.

— Charlie?

Stała z głową wetkniętą do sypialni i jedną nogą wyciągniętą do tyłu dla równowagi. To był najlepszy moment, dopóki nie widział jej twarzy. Udawaj, że to kaczką. Wypalił, a dźwięk rozniósł się po domu jak huk petardy, zaś Renata padła na futrynę z niewielką mokrą plamą na plecach czarnego swetra. Sapnęła cicho, osuwając się na dębową podłogę. Ładując tam, obróciła głowę na tyle, że spoglądała teraz na Charliego.

— I coś ty zrobił? Trafiłeś mnie chyba w płuco. Jezu, Charlie, wezwij lekarza. Jezu. Jezu...

— Przykro mi — powiedział Charlie, celując znowu, i naprawdę było mu przykro.

Drugi strzał wydał się głośniejszy niż pierwszy, tak iż wiedział, że tym razem będzie musiał uciekać w pośpiechu. Ta kula też trafiła ją w klatkę piersiową.

— Dlaczego, Charlie, dlaczego? — Nic nie rozumiejący wzrok, przepłniony smutkiem głos i wyraz twarzy dały mu chwilową pewność, że podjął błędną decyzję, ale teraz nie mógł jej już odwrócić.

— Przykro mi — powtórzył.

— Wezwij pogotowie.

— Wiesz, że nie mogę.

— No to usiądź tu i mnie przytul — zakwiliła.

Ukląkł przy niej, zamierzając ją pocieszyć tylko po to, by za moment w akcie miłosierdzia ją dobić. Zaczęła zawodzić, kiedy objął ją ramieniem, a gdy zawodzenie przerodziło się w ryk przekleństwa, ledwo zdążył się od niej odsunąć i uniknąć ciosu nożem do filetowania. Ostrze skaleczyło mu skórę z boku szyi, a on, dźwigając się na nogi, porzucił wszelką

nadzieję na przyłożenie jej lufy do skroni. Wypalił trzeci raz i ten okazał się na tyle blisko, że wpakował jej kulkę w czoło, uciszając ją w połowie jakiejś węgierskiej, litewskiej bądź polskiej kłątwy.

Stał nad nią, chlipiąc, niepokieszony, że dowiodła mu, iż się co do niej nie pomylił. Wrzucił pistolet do torby z pieniędzmi i wyszedł tylnymi drzwiami. Niebo było już jaśniejsze i choć wciąż nie do końca jasne i zasnuwane chmurami, to niosło już obietnicę poranka. U nikogo z sąsiadów nie zapaliło się światło, ale on musiał założyć, że był widziany.

Pojechał do Złotej Klatki, by wziąć samochód Billa Gerarda, przypuszczając, iż sąsiedzi słyszeli strzały, a któryś z nich mógł się wykazać przytomnością umysłu i zanotować numery rejestracyjne mercedesa Betsy van Heuten. Nie podobało mu się, że zmuszony jest porzucić merca, i przyszło mu nawet do głowy, żeby podmienić tablice, ale to by zajęło zbyt dużo czasu i mógłby zostać zobaczony. Zresztą czekała go i tak tylko dwuipół-, może trzygodzinna jazda na lotnisko.

Zaparkował mercedesa obok lincolna i kluczami Sidneya otworzył boczne drzwi do klubu. W ciemności przeszedł do kantorka Renaty, gdzie leżały zwłoki Billa. Na biurku wciąż spoczywała śrutówka, a na niej okręcone wokół lufy połyskujące na niebiesko majteczki Amy Sue. Klucze Billa leżały tuż obok, tam, gdzie rzuciła je Renata. Włożył je do bocznej kieszeni, razem ze swoimi i Sidneya. Słyszcząc, jak pobrzękują, i czując nieporęcznie ciężki, nierówny kształt wciskający mu się w udo, pomyślał o problemach, jakie może mieć przy wykrywaczu metalu na lotnisku, więc wyciągnął własne klucze i rzucił je na podłogę, jako najmniej przydatny zestaw ze wszystkich trzech. Nie było to miejsce zbrodni doskonałej, pomyślał, z jego kluczami na podłodze obok trupa, z odciskami palców na całej strzelbie leżącej na biurku, ale nie miał czasu pozbyć się czegokolwiek, a poza tym zanim ktokolwiek znajdzie ciało i jakoś się w tym wszystkim połapie, on już od dawna będzie tu jedynie wspomnieniem. W pewnym sensie wydało mu się to nawet zabawne.

Wyjeżdżał z parkingu lincolnem Billa Gerarda, kiedy przyszło mu do głowy coś w sprawie kluczy Sidneya. To nie były jedynie klucze do klubu, ale też te do domu i do samochodu, dlatego trudno by mu było je wszystkie potem odtworzyć. Nic się nie stanie, jeżeli podjedzie do Sidneya, by wrzucić mu klucze do skrzynki na listy. I zaraz potem wyruszy w drogę.

Podjechał pod dom Sidneya i zaparkował. Wysiadł, wrzucił klucze do skrzynia, po czym wrócił, usiadł za kierownicą, a za moment otworzył drzwi i znów wysiadł. W święta nie przychodziła poczta, a Sidney na pewno będzie potrzebował kluczy prędzej, niż nadarzy mu się okazja zajrzenia do skrzynia. Wyjął z niej cały pęk, przeszedł przez pokryty skrzypiącym śniegiem trawnik i podszedł do wejścia. Drzwi zewnętrzne były otwarte, więc położył klucze na klamce tych za nimi, prosto do domu, żeby spadły, gdy ktoś będzie wychodził. Był już prawie przy samochodzie, kiedy drzwi się otworzyły, a klucze opadły z delikatnym metalicznym brzękiem.

- Charlie?
 - O, Sidney, słuchaj, przez przypadek zabrałem twoje klucze.
 - Moje klucze? — Sidney kucnęła i podniósł pęk. — Jak to się stało?
 - Spadły na dno szafy, kiedy wieszałem płaszcz, więc podniosłem je i pomyślałem, że to moje. Nie położyłeś się jeszcze?
 - Nie mam po co, dzieciaki i tak wstaną już za godzinę. Dzięki, że mi przywoziłeś te klucze, bez nich miałbym przerąbane.
 - No, to wesołych świąt.
 - Nawzajem, Charlie.
- Sidney odwrócił się i wszedł do środka.

Zaczynał już odczuwać zmęczenie i przez moment pomyślał nawet o lotnisku miejskim, żeby uniknąć długiej jazdy, ale akurat ta część planu Vica zdawała się mieć największy sens — gdyby odleciał samolotem stąd, zostawiłby po sobie ślad, który doprowadziłby do niego, nim zdążyłby zwać za granicę, podczas gdy przy zaplanowanym rozwiązaniu mogło upłynąć nawet kilka dni, zanim ktokolwiek wpadłby na jego trop w

samolocie do Nowego Jorku odlatującym z lotniska znajdującego się jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów na południe od miasta. Jechał więc ulicami na obrzeżach miasta na południe i zachód, kierując się ku rogatomk wysuniętym najbardziej na południe, co stanowiło stary nawyk mający na celu oszczędność trzydziestu czy czterdziestu centów za przejazd autostradą. Pod wpływem impulsu zboczył nieco z trasy, by wjechać do dzielnicy, gdzie mieszkała jedna z jego dawnych dziewczyn, i stanął przed jej domem.

Zajmowała szczytowe mieszkanie w jednym z kilku identycznych budynków z czerwonej cegły, mieszczących po cztery ciasne mieszkania każdy. Nie miał całkowitej pewności, w którym z domów mieszkała, i nie miał zielonego pojęcia, co się z nią teraz działo. Prawdę mówiąc, pamiętał niewiele ponad to, jak miała na imię, jak wyglądała i gdzie mieszkała, ale wydawało mu się, kiedy tak tutaj siedział, że spędził w jednej z tych zapuszczonych klitek parę najlepszych nocy swego życia. Budynki podupadły mocno od czasu, kiedy był tu ostatnio, a w szarej mgle poranka widać było przez siatkę przeciw owadom farbę odpadającą w długich, cieniach, pionowych płatach z drzwi najbliższego mieszkania. Odjechał i skierował się znów w stronę wjazdu na autostradę.

Oplaty przy wjeździe na autostradę pobierał starszy, bardzo pogodny człowiek. — Wesolych świąt — powiedział, wręczając mu winiętkę. — Wygląda na to, że śnieg przestał padać na dobre.

— Mam nadzieję.

— Jedzie pan odwiedzić rodzinę?

— Aha.

— No to życzę wszystkim miłego świętowania.

— Dziękuję i nawzajem — odparł, zamykając okno lincolna.

Wjechał na autostradę, a po przejechaniu pięciu kilometrów minął znak informujący, że właśnie przekroczył granice administracyjne miasta.

Żeby nigdy już tu nie powrócić, dopowiedział w myślach.

Droga była nieco śliska, ale czarna, bez nagromadzonego śniegu, tak iż mógł jechać z wyższą od dozwolonej prędkością, nie bojąc się, że straci panowanie nad kierownicą. W wielkim wozie czuł się dobrze i swojsko. Chociaż szczerze mówiąc tęsknił za mercedesem — przez co siedząc znów za kółkiem niezawodnego lincolna, poczuł wyrzuty sumienia, jakby dopuścił się zdrady, mimo że ten akurat wóz należał nie do niego, lecz do Billa Gerarda. Przynajmniej kiedyś.

Na spokojnej, niemal pustej drodze uświadomił sobie, że odkąd ruszył spod Złotej Klatki, jechał w kompletnej ciszy. Włączył radio i stroił je tak długo, aż pojawił się czysty sygnał. Usłyszał jeszcze jedno kowbojskie wykonanie jakiejś kolędy, po którym do roboty wrócił mówiący przez nos reporter, donoszący na żywo z komendy policji. Charlie zastanawiał się nad czasem pracy tego człowieka. Nigdy nie zdarzyło mu się usłyszeć, by relacje te przedstawiał ktoś inny, a nie zauważył też, by

kiedykolwiek ich na antenie zabrakło, na przykład podczas choroby albo urlopu reportera. Charlie słuchał z dziwną satysfakcją, jak facet radośnie i ze szczegółami opowiada o awanturze w lokalu ze striptizem na północ od miasta, gdzie wezwano ludzi szeryfa, a potem wspomniał o włamaniu do domu w jednej z zachodnich dzielnic, czyli, być może, o odwiedzinach Charliego u Bonnie. Wreszcie przeszedł do jakichś chuligańskich wybryków, które Charliego nie dotyczyły ani nie obchodziły. Jak na razie facet nie miał do powiedzenia nic na temat znalezionych tu czy ówdzie zwłok.

Charlie zobaczył pierwszą w tej podróży stację benzynową i spojrzał na wskaźnik poziomu paliwa. Strzałka pokazywała już prawie rezerwę, a on nie miał pojęcia, Wedy znów trafi na miejsce, gdzie w Boże Narodzenie będzie mógł kupić benzynę, więc zjechał na wewnętrzny pas, a potem na dostępną z obu nitek autostrady stację. Stał obok dystrybutora, wyjął z jednego z plików w torbie studolarowy banknot i napiął go kilka razy, trzymając w obu dłoniach, napawając się jego wyglądem i fakturą. Długo czekał, by móc wydać cokolwiek z tych pieniędzy.

Na stacji nie było nikogo oprócz kasjerki, pulchnej, nieszczęśliwie wyglądającej dziewczyny o krótkich kasztanowych włosach i ziemistej, świadczącej o niezdrowym odżywianiu cerze.

— Wesółch świąt — zawołał Charlie, wchodząc.

Dziewczyna podniosła mało radosny wzrok, lecz nie odpowiedziała, gdy tymczasem Charlie wziął ze stosu styropianowy kubek i nalał sobie kawy z plastikowego dzbanka. Postawił kubek na ladzie i położył stówę.

— Kawa i tankowanie do pełna z pompy numer siedem.

Wydeła wargi. — Nie rozmienię panu tego. Zresztą wcale nie muszę. Widział pan napis?

Wskazała za siebie na wiszącą na ścianie tabliczkę:

NIE PRZYJMUJEMY 50-TEK, 100-TEK
ANI CZEKÓW

— No dobrze to zrobimy tak: reszta dla pani.

Zmarszczyła brwi, przekonana, że kryje się za tym coś nienormalnego. — Ale to będzie jakieś dziewięćdziesiąt dolców.

- I wesołych świąt.
- No... to nawzajem — odparła, przyglądając się banknotowi. Kiedy już z zadowoleniem uznała, że jest prawdziwy, włączyła dystrybutor. — Dziękuję panu. A kawę ma pan gratis.

Po powrocie na drogę poczuł, że kawa trochę mu pomogła, lecz wciąż czuł się senny, pomimo zimna. Poruszył pokręteł od radia, ale znalazł mniej więcej to samo co wczoraj: świąteczne muzykowanie i żadnych audycji. W przeciwieństwie do jego służbowego lincolna, wóz Billa miał też odtwarzacz, więc Charlie wyciągnął rękę i otworzył schowek. W środku były dwie kasety: *Spraw sobie milutki, ciepłe święta i Największe przeboje Franka Sinatry, Cz. II*. Stwierdził, że już lepsze będzie radio.

Na następnym przystanku przy autostradzie stacja benzynowa i restauracja były zamknięte, a Charlie pogratulował sobie, że zjechał wcześniej i zatankował. Zdążył nawet poczuć się już głupio, że nalał do pełna, choć zamierzał porzucić wóz, ale zdał sobie sprawę, że na przejechanie całej trasy zużyje przecież pół albo i trzy czwarte baku.

Po obu stronach drogi ciągnęły się bezlistne, mizerne drzewa. Niebo wciąż było szare, choć w oddali, tuż nad horyzontem zaczęły pojawiać się plamy żółci. Od czasu do czasu na przedniej szybie lądowały jakieś zbłąkane płatki śniegu, a Charlie cieszył się, wiedząc, że po dwóch, góra trzech dniach w Nowym Jorku nie będzie musiał spędzić w zimnym klimacie już ani godziny.

Trzy kilometry od nieczynnego przystanku przy autostradzie minął wóz campingowy zaparkowany na poboczu drogi, mrugający światłami awaryjnymi. Starszy mężczyzna zaglądał pod maskę, a obok niego stała kobieta, mniej więcej w tym samym wieku, kuląc się z zimna i patrząc tak, jakby się miała zaraz rozplakać. Zrobiło mu się ich żal, ale stwierdził, że niedługo pewnie będzie przejeżdżał tędy patrol policji autostradowej. A on musiał zdążyć na samolot.

Przejechawszy jakieś kolejne dwa kilometry, pomyślał o strachu i rozpacz na twarzy starej kobiety i ogarnęły go wątpliwości. Odkąd wyruszył w drogę, nie widział ani jednego patrolu. Było zimno jak diabli,

a on wiedział, że zawsze może złapać następny samolot, jeśli zajdzie potrzeba. Wyjechał już z miasta, więc mógł sobie pozwolić na dobroduszość.

A co tam, pomyślał, w końcu są święta! Zjechał na lewy pas i zawrócił w miejscu zarezerwowanym dla gliniarzy, przed czym przestrzegał znak:

MIEJSCE ZAWRACANIA
TYLKO DLA POLICJI AUTOSTRADOWEJ

Minął ich, jadąc w przeciwnym kierunku, i odczuł dziwną satysfakcję, widząc, że wciąż tam są. Zawrócić mógł dopiero na najbliższym przystanku, więc zjechał tam, objechał restaurację i znalazł się znów na pasie wiodącym na południe. Po przejechaniu trzech kilometrów zatrzymał się za wielkim, beżowym wozem campingowym. Starszy mężczyzna wciąż grzebał pod maską, ubrany w puchową kamizelkę i wyświechtany beret.

— Jakies kłopoty?

Mężczyzna spojrzał na niego zza podniesionej kłapy. — To cholerstwo to jakiś nowoczesny wymysł, nie mogę się połapać, co z nim jest nie tak...

— Zabrakło nam paliwa — odezwała się kobieta głosem dławionym wyrzutem. — A ty nie potrafisz odczytać wskaźnika ilości paliwa, i to jest właśnie całe nie tak. — Kobieta też miała na sobie kamizelkę i toczek. — Chyba z dziesięć czy piętnaście samochodów minęło nas, odkąd stanęliśmy, i nikt się nie zatrzymał, dopiero pan.

— Mógłbym podwieźć państwa na stację benzynową, tylko nie wiem, gdzie znajdziemy którąś czynną w Boże Narodzenie. Macie państwo jakiś wąż? — spytał Charlie. — Ja zatankowałem do pełna chyba z pięćdziesiąt kilometrów stąd. A jeżeli nie, to mógłbym się cofnąć i podrzucić was na tamtą stację.

— Trzeba było się zatrzymać, jak ją mijaliśmy — stwierdziła kobieta. — Tak jak ci mówiłam.

— Dość już mam na dzisiaj tego twojego zrzędzenia. — Mężczyzna posłał pełne złości spojrzenie, które najwyraźniej nie zrobiło na niej najmniejszego wrażenia. — Tak, mam wąż. Przynies go, Dot, wiesz, gdzie jest.

Kobieta wdrapała się do samochodu, podczas gdy mężczyzna nie przestawał wpatrywać się w silnik. — Wie pan, wcale nie jestem przekonany, czy tu chodzi o paliwo. Z tymi diabelskimi nowymi silnikami to nigdy nic nie wiadomo.

Dot wróciła za moment z gumowym węzłem i niedużym, takim ośmiolitrowym kanistrem, a starszy pan zabrał je do lincolna, gdzie Charlie już otworzył bak.

— Pomóc panu?

— Potrafię jeszcze sam spuścić trochę benzyny. Wielkie dzięki.

Podczas gdy mężczyzna ssał przez wąż paliwo, Charlie wrócił do Dot. Powiedziała do niego:

— Przepraszam za Gunthera. On już ubzdurał sobie, że święta mu diabli wzięli.

— W porządku. Dokąd państwo jedziecie?

— Raczej nie tam, gdzie trzeba. Jemu się wydaje, że zna jakąś boczną drogę na południe od jednego ze zjazdów, gdzie moglibyśmy skręcić na zachód i zaoszczędzić trochę czasu. Cóż, może i ją zna, ale po co oszczędzać czas w ten sposób, skoro traci się go później z powodu braku paliwa?

— Ma pani rację.

— Z mojego pierwszego męża był pijus i łgarz, ale jak długo go znałam, nigdy nie zabrakło mu benzyny na drodze. Ja sama jestem dyplomowaną pielęgniarzką. Zawsze musiałam być odpowiedzialna i punktualna i nigdy w życiu nie zabrakło mi paliwa. A on... — Z pogardą wskazała przez ramię na Gunthera, ssącego benzynę i spuszczonego ją z lincolna do kanistra. — To największy zarozumialec, jakiego znam. Niech pan tylko popatrzy na tego grata. Ledwo możemy sobie na niego pozwolić, ale jest. Co mnie napadło, że za niego wyszłam, sama nie mam pojęcia...

Gunther podniósł głowę, mrużąc oczy. — Coś ty tam panu powiedziała?

— Że jest z ciebie zarozumialec, ty stary durniu.

Prychnął i wrócił do roboty.

— Zaprosiłabym pana do środka, żeby pan nie zmarzył, ale straszny tam bałagan, a zresztą on i tak zaraz skończy.

— Niech się pani nie kłopotce — odparł Charlie. — Jak to cacko sprawuje się na lodzie?

— Dziadowsko. Przynajmniej gdy Gunther siedzi za kółkiem. Wie pan, że ma pan skaleczenie na szyi?

Charlie dotknął palcem miejsca, gdzie Renata musnęła go nożem do filetowania. Poczł szorstkość i grudki zakrzepłej krwi, a kiedy cofnął dłoń, zobaczył, że połyskuje czerwienią. — Zaciąłem się. Zaciąłem się przy goleniu.

Gunther wstał, mając niemal pełen kanister, i podszedł do baku swego campera, żeby go nieco zasilić.

— Pewnie trzeba będzie się cofnąć na tamtą stację — stwierdziła Dot. — Przy tej ilości paliwa i tak daleko nie zajedziemy...

— Śmiało, Gunther — krzyknął Charlie — niech pan napuści jeszcze jeden kanister, jeśli trzeba.

— Będę wdzięczny — odkrzyknął Gunther, po czym wziął pusty kanister i wąż z powrotem do lincolna i przyssał się znowu.

— To bardzo miło z pana strony. — Dot zadrżała. — Sama nie wiem, co nas opętało, żeby wyruszać w drogę w taki świąteczny poranek.

W oddali na północy pojawił się samochód, a gdy podjechał bliżej, zwieracz Charliego zacisnął się po raz kolejny od wigilijnego wieczoru. Był to radiowóz policji stanowej, który w dodatku teraz zwolnił. Kiedy się z nimi zrównał, stanął, a jeden z gliniarzy wystawił głowę przez okno.

— Macie państwo jakieś kłopoty?

— Już nie, panie władzo. Ten młody dżentelmen użyczył nam nieco benzyny.

— To cacko nie jeździ na ropę?

— Nie, akurat ten model pije benzynę. Zresztą zwykle cholernie trudno znaleźć stację, gdzie można zatankować olej.

Gliniarz na miejscu pasażera wychylił się i spojrzął na Gunthera z wężem, którego jeden koniec tkwił w jego ustach, a drugi w baku lincolna. Gunther podniósł wzrok, po czym nie poruszając wargami, skinął lekko do policjantów i machnął ręką, że wszystko jest w porządku.

— Dobra. A więc wesołych świąt wszystkim, he?

Charlie i Dot kiwnęli głowami z uśmiechem, a policjanci ruszyli w drogę, zamykając okno.

Gunther dokończył ponowne napełnianie kanistra i podszedł do campera. Wlał większość paliwa do baku, po czym wdrapał się do kabiny i spróbował uruchomić silnik. Motor zaświszczał, zaterkotał i nie zaskoczył.

— Widzicie? Mówiłem, że to wcale nie przez to cholerne paliwo.

— Czy ty naprawdę nie masz o niczym pojęcia? Wlej trochę do gaźnika, do cholery.

Gunther wysiadł z kanistrem, przez chwilę szperał przy gaźniku, aż wreszcie wlał do niego resztkę benzyny. Dot spojrzała na Charliego z rękami wciąż założonymi na piersi.

— Kiedyś był *policjantem*. Może pan to sobie wyobrazić? W życiu nie spotkałam kogoś równie nieporadnego.

Gunther wrócił do kabiny wozu. Przy pierwszej próbie silnik zaskoczył i zaczął warczeć miarowo. Mężczyzna spojrzał na maskę, jakby nie wierzył, że motor nie przerwie nagle swej pracy. Wytknął głowę i krzyknął: — No, uruchomiłem go!

— Gratulacje.

— Zaczekam tylko chwilę, aż się rozgrzeje.

— Jakies półtora kilometra stąd jest miejsce, gdzie będziecie mogli nawrócić — powiedział Charlie.

— Jeszcze raz dziękuję. — Dot obeszła wóz i wsiadła z prawej strony.

Charlie przyglądał się przez chwilę, jak warczą na siebie w kabinie, i zrobiło mu się jakoś tak przyjemnie. Stał się chyba kimś ważnym w ich życiu... Miał już wrócić do lincolna, kiedy zdał sobie sprawę, że musi się załatwić. Stracił i tak dość czasu, żeby miał się jeszcze zatrzymać na sikanie. Jakies cztery czy pięć metrów od pobocza rosły w rzędzie drzewa, więc ruszył w ich stronę, obchodząc z tyłu campera.

Za drzewami rozciągało się pole, a w oddali Charlie zobaczył stodołę i coś, co wyglądało na dach domu. Odlał się na drzewo, patrząc, jak parujący strumień tworzy łuk i rozpryskuje się o ciemniejącą korę. Teraz, kiedy był wolnym człowiekiem, wszystko wydawało się inne.

Z niespotykaną dotąd intensywnością czuł zapach moczu, kory i dymu z palonego drewna. Zapiął rozpiętkę, odwrócił się w stronę domu i zobaczył, że faktycznie z komina unosi się dym. Wyszedł zza drzew, by znów obejść wóz campingowy z tyłu, i zatrzymał się, by spojrzeć na to, co Gunther wymalował wielką prostą czcionką:

TO NIE CEL PODRÓŻY SIĘ LICZY,
ALE TO, CO CZŁOWIEK UJRZY PO DRODZE.
DOT I GUNTHER

A więc to dlatego te diabelstwa jeżdżą zawsze tak wolno, pomyślał Charlie, i miał już ruszyć dalej, gdy camper zniecka szarpnął wstecz, a tylna drabina trafiła go prosto w twarz, przewracając na śnieg. W następnej chwili poczuł, jak prawa tylna opona miażdży mu prawą rękę, a potem żebra, zaś pole widzenia zawęziło mu się nagle, zasnuwając się czerwienią i czernią wokół malejącego błyskawicznie kręgu, aż w końcu wszystko znikło.

Jezu Chryste, Gunther, uderzyłeś w coś wielkiego...

Camper podskoczył po raz drugi, gdy jego koła przetoczyły się po czymś o sporych gabarytach.

— Akurat — odwarknął.

— Zatrzymaj się i zobaczymy, co to jest.

Gunther z rozmysłem ją zignorował i wrzucił jedynekę. Camper znowu podskoczył, przetaczając się po owym czymś do przodu.

— Do cholery, stawaj. Ja wysiadam.

Otworzyła drzwi i wyskoczyła, spadając na śnieg, gdy wóz dopiero zwalniał.

— Kobieto, mówiłem ci już nieraz, żebyś nie wysiadała, dopóki samochód całkiem nie stanie!

Zwróciła się do Gunthera, krzycząc nerwowo: — O Boże, Gunther, lepiej wysiądź. Przejechałeś go.

Młody człowiek leżał na ziemi za wozem, a plama krwi na śniegu pod jego plecami rozlewała się wokół tułowia. Dot sięgnęła po nadgarstek, lecz nie wyczuła pulsu, po czym podniosła prawą powiekę, żeby sprawdzić źrenice.

Gunther dogramolił się do niej i stanął nad ciałem. — Nie żyje?

- Pewnie.
- Ale po jaką cholere ten bałwan w ogóle tam stał?
- Skąd mam wiedzieć?

Dotknęła kołnierza jego płaszcza. Rzecz była droga i wyglądała na ciepłą, skrojoną z jakiegoś grubego, przypominającego tweed materiału. Na nogach mężczyzny tkwiły wyglancowane do połysku pantofle w kolorze burgunda. Oczy Dot powilgotniały. Ten młody człowiek był niewiele starszy od jej własnego syna.

- Co teraz zrobimy?
- Chyba zatrzymamy tamtych policjantów, jak znów będą przejeżdżać.
- Świetnie. Po prostu świetnie. I wpakujemy się w niezłe szambo, próbując wyjaśnić, jak do tego doszło. Pewnie, cholera, stracę prawo jazdy.

Kobieta sięgnęła do kieszeni drogiego płaszcza po portfel. — Zobaczmy, kto to jest...

Portfela nie było; znalazła tylko pęk kluczy.

— Portfel leży chyba na desce rozdzielczej — odpowiedział Gunther.

Wziął od niej klucze i otworzył drzwi po stronie pasażera. Wyciągnął portfel.

— Nazywał się Charles Lewis Arglist. Członek Stanowej Rady Adwokackiej. Karta Visa, Mastercard...

Zdjął z siedzenia torbę i zajrzał do środka. Bilety lotnicze, pistolet kaliber .22, butelka Johnny Walkera i taka ilość pieniędzy, jakiej Gunther w całym swoim życiu nie widział. Wziął głęboki wdech, wypuścił powoli powietrze, po czym zamknął torbę i spokojnie zaniósł ją w poblizsze campera razem z portfelem.

- Na półce nad mikrofalówką leży brezent. Idź po niego.
- Po jakiego diabła?

Otworzył torbę i pokazał jej zawartość. — Ten pan pojedzie jednak z nami.

Przez chwilę patrzyła na Gunthera i na pieniądze, po czym spojrzała znów na leżące na ziemi zwłoki. — Dobry Boże, musiał obrabować bank.

— Pospiesz się i dawaj ten brezent, zanim ktoś tędy przejedzie i go zobaczy. I podaj mi łopate, żebym mógł odrzucić ten zakrwawiony śnieg pomiędzy drzewa.

Pół godziny później byli już z powrotem na stacji benzynowej i nalewali benzynę. Niebo zaczynało się przecierać i widać było małe niebieskie łaty pośród chmur. Dot nie odezwała się prawie ani słowem, odkąd zwinęli ciało i schowali je w luku bagażowym, co zresztą pasowało Guntherowi. Zawrócą na południe i dotrą do jego zachodniego skrótu, który po osiemdziesięciu kilometrach krzyżuje się ze starą drogą prowadzącą do kamieniołomu. To co po nim zostało, od lat było zalane, a teraz przez wiele następnych lat miało skrywać ciało tego młodego człowieka. Oni sami pojedą dalej na zachód i zanim dotrą tam, dokąd się wybierają, i zaczną wydawać po trochu te pieniądze, Dot zupełnie zapomni o młodzińcu.

Wszedł do środka, zapłacił za benzynę i wziął dwa kubki kawy. Młoda kobieta za ladą wydawała się całkiem radosna, zważywszy na to, że przyszło jej pracować w Boże Narodzenie, i kiedy wychodził, życzyła mu wesołych świąt.

— Myślisz, że ci policjanci nas zapamiętali? — spytała Dot, gdy ponownie uruchomił silnik.

— Nie patrzyli na naszą rejestrację. Zainteresowali się tylko pojazdem, który mógł być w tarapatach. Za jakiś czas zatrzymają się, zobaczą, że jego samochód nadal tam stoi, i przyjmą założenie, że został porzucony. Większość zakrwawionego śniegu zgarnąłem tam, gdzie nie widać go z pobocza drogi. W końcu uznają to za zaginięcie i nigdy go nie znajdą. Najważniejsze, że mamy kupę szmalu. W razie czego zawsze będziemy mogli się wykupić, a poza tym spłacimy pożyczkę hipoteczną i jeśli będziemy ostrożni, reszta starczy nam jeszcze na bardzo, bardzo długo. — Wjechał na wiodącą na południe nitkę autostrady i włączył świąteczną kasetę, którą znalazł u młodego człowieka w schowku.

Dot uśmiechnęła się, nieco już pocieszona. Guntherowi było przykro, że przejechał młodzieńca, ale stało się i nic już nie można było na to poradzić. Pewien był jednego: nigdy, przenigdy nie odda nikomu tych pieniędzy.

— Jak myślisz, na którą będziemy w Ogrodzie Bogów? — spytała Dot.

— Na piątą, najdalej na szóstą.

Z taśmy płynęła jakaś miła kołęda i pomimo czekającego go mało przyjemnego zadania Gunther poczuł się tak zrelaksowany, jak nie czuł się, odkąd wyjechali z domu tego ranka.

Dot oparła się i zamknęła oczy, zapominając o kawie, i zanim minęli pusty samochód, młody człowiek przysł z jej niespokojnych myśli, zastąpiony przez piękną torbę pełną pieniędzy.